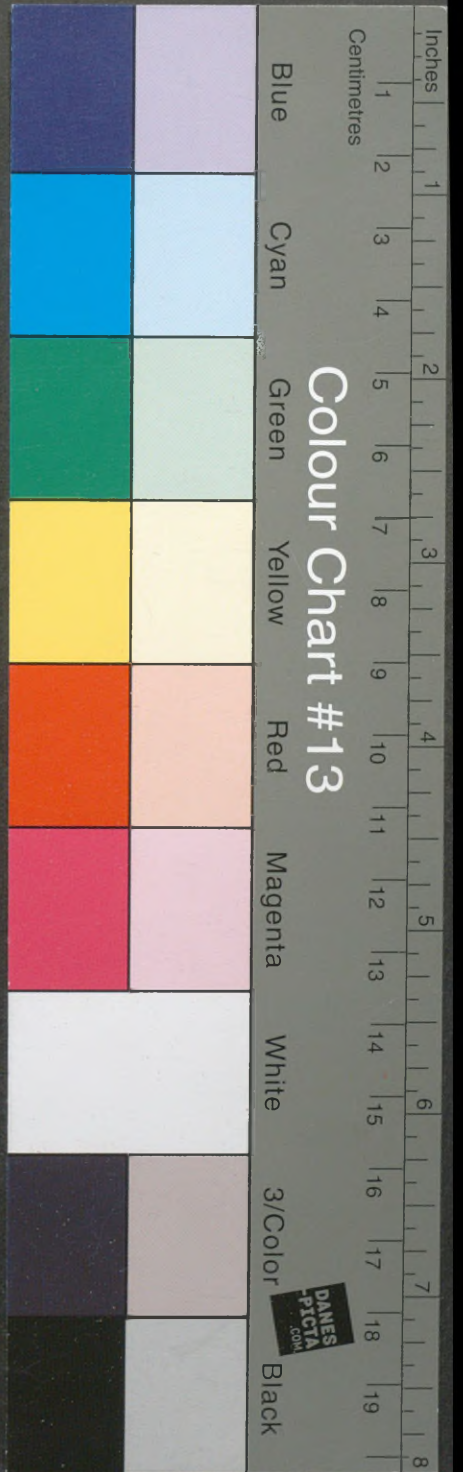
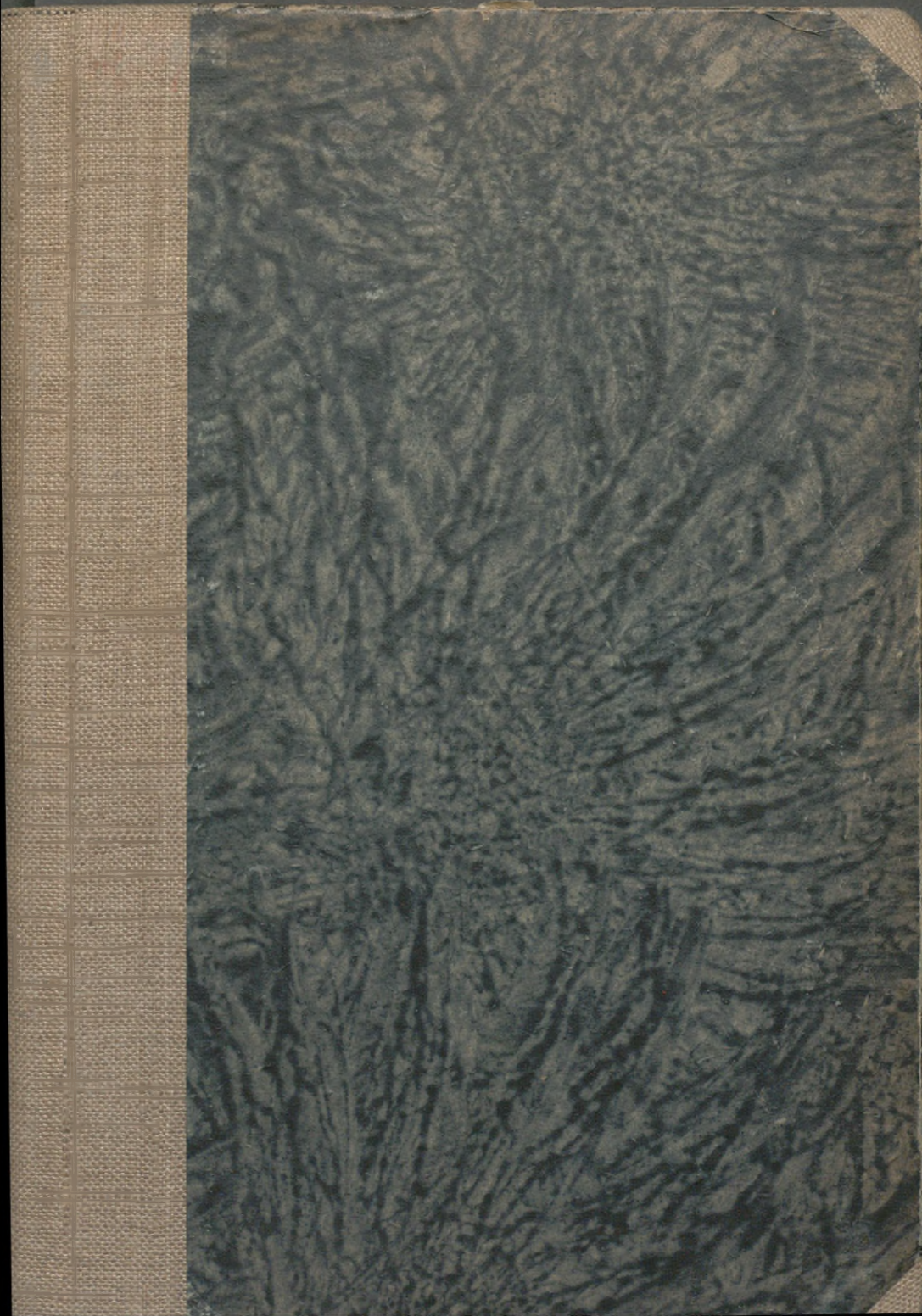
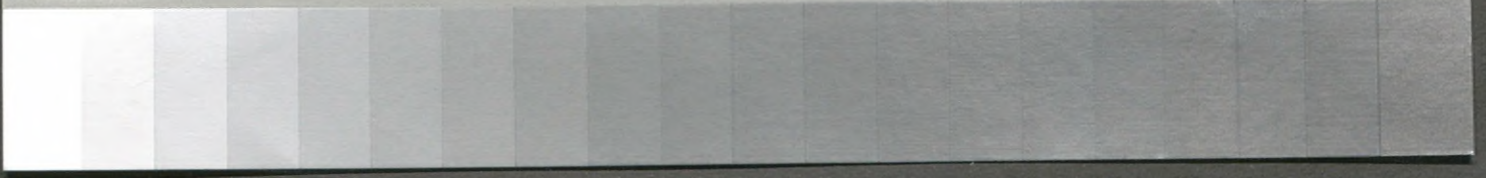


Grey Scale #13



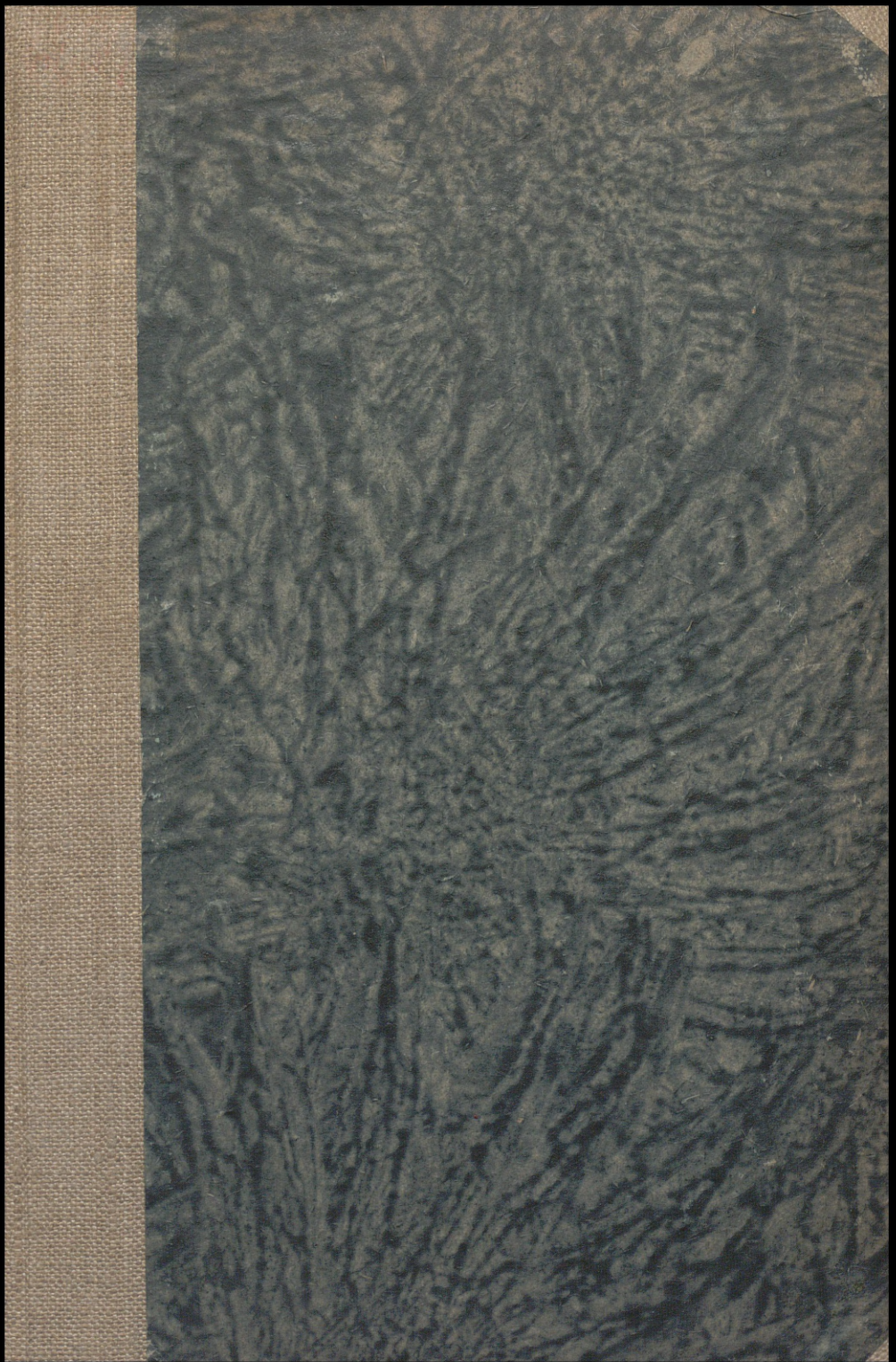
1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black





BIBLIOTEKA MACIERZY POLSKIEJ

---

Nr. 80.

**WSPOMNIENIA**  
**Z POWSTANIA 1863 ROKU**  
**I Z ŻYCIA NA WYGNANIU W SYBERYI**

SPISAŁ

**KORNEL ZIELONKA**

**BIBLIOTEKA**  
**Wyższej Szkoły Politt.-Wych.**



WE LWOWIE  
MACIERZ POLSKA  
ADMINISTRACJA W GMACHU SEJMOWYM

1913

93(438)9; 92

24331/2

l. inw. 1882-1887

BIBLIOTEKA  
Wyższe; Szkliv Polit. - Wych.

## CZEŚĆ PIERWSZA.

### I.

Biorę udział w powstaniu. — Przejście granicy do Królestwa. — Wstąpienie do oddziału Rębajły. — Wymarsz z obozu. — Spotkanie się z oddziałem Chmielińskiego. — Zoczenie wojska moskiewskiego. — Strzały armatnie. — Napotykamy w marszu naszą kawalerję a z nią generała hr. Hauke-Bosaka. — Wchodzimy do klasztoru Ś.-Krzyskiego.

Zapał ogólny i gorąca chęć służenia sprawie ojczy-  
stej powołały mię w szeregi powstańców 1863 roku<sup>1)</sup>. Oj-  
ciec mój nawet był zdecydowany z czterema najstarszymi  
synami, z których najmłodszy 15 lat liczył, wyruszyć na  
pole walki. Względ jednak na czworo młodszych dzieci  
i na matkę — bo zostawiłby ich bez opieki — powstrzy-  
mały go od tych zamiarów. Więc nas starszych synów  
pobłogosławił i do powstania wyprawił, a sam z całym  
poświęceniem i narażaniem się w organizacyi oddziałów  
niezwykle czynny udział wziął, za co po ogłoszeniu stanu  
wojennego w Galicyi aresztowany, przeszło rok w więzie-  
niu austryackiem, jako więzień stanu, przesiedział.

Zatem wyruszyliśmy... Najstarszy mój brat, Ludwik,  
udał się w Lubelskie, gdzie w kilku potyczkach brał udział,  
i tam dosłużył się rangi majora; w końcu pod Fajslawi-

---

<sup>1)</sup> O powstaniu z r. 1863 wydała Macierz Polska dwie książeczki,  
mianowicie Dr. Stelli Sawickiego »Rok 1863« i M. Mossoczowej »Krwawe  
dzieje«.

cami do niewoli wzięty i w Sybir do kopalń nerczyńskich był zasądzony.

Ja z młodszym moim bratem, Kazimierzem i najmłodszym Józefem, z oddziałem pułkownika Dyonizego Czachowskiego przeszliśmy granicę Królestwa Polskiego. Oddział ten, należycie uzbrojony i w karabiny belgijskie zaopatrzony i nieźle wyćwiczony, liczył z kawaleryą około 800 ludzi.

Po przejściu granicy, intendent oddziału tego gdzieś się stracił, a że przy nim kasa była, obecność jego stała się konieczną. Ponieważ w Galicyi w czasie organizowania służbę kuryera pełniłem i przez to poznałem większą część Galicyi, zatem dostaję rozkaz od Czachowskiego wrócić tam, gdzie intendent mógł się udać — i odszukać go. Ponieważ brat mój Józef, to dzieciak był prawie, przytem wątły, a po włożeniu tornistry, ładownicy i karabinu, czego udźwignąć nie mógł, ustał w pochodzie, że go na furę wziąć musiano, przeto dowódca kazał mi go zabrać z sobą, bo i tak nie byłoby z niego pożytku, raczej zawadzałby w obozie. Matka nasza była przeciwną, aby on szedł do powstania, bo uważała, że dzieciak trudom nie podoła; jednak on tak się do wojaczki zapalił, że żadne przedstawienia nie pomogły. Teraz dopiero przekonał się, iż same chęci nie starczą.

Po powrocie do Galicyi, zaraz udałem się do komisarza organizacyi narodowej, Trzecieckiego, w Woli Mieleckiej, aby dopomógł mi w odszukaniu intendenta. Jak się później dowiedziałem, tenże intendent z powodu jakiejś przygody odłączył się od oddziału, wnet go jednak dopędził i znalazł się przy Czachowskim. Wobec tego, rozumie się, nasze poszukiwania były nadaremne.

Teraz szukam sposobu, żebym się mógł jak najprędzej z Czachowskim połączyć, aby zdać mu sprawę z poruczonej misyi. Szczęśliwie udaje mi się dostać przepustkę do Królestwa na nazwisko jednego czeladnika ślusarskiego, który miał udać się do dóbr staszowskich w Królestwie Polskiem, jako ślusarski rzemieślnik.

Przebrany odpowiednio do fachu tego, poplamiwszy ubranie tłuszczem i czernidłem, również ręce i nieco twarz, do torby zabrałem trochę narzędzi ślusarskich, i tak ucharakteryzowany, w Imię Boże puściłem się w podróż. Mając przepustkę, dostałem się już legalnie przez komorę w Baranowie do Królestwa. Na komorze urzędnik cłowy podejrzliwie przypatrywał mi się, ale gdy przepustka i opis osoby nie mogły dać powodu do podejrzeń, a w torbie narzędzia ślusarskie przemówiły za tożsamością mej osoby, podpisał przepustkę i mogłem dalej jechać.

Najętą furmanką chłopską jadę... Ledwo jednak pół mili oddaliłem się od granicy, spotykam patrol kozacki z kilkunastu koni złożony. Jestem trochę zaniepokojony, aby mnie nie poturbowali a może nie zaaresztowali, gdyby moja osoba, choć tak niepocześnie wyglądająca, miała podejrzenie wzbudzić. W złej doli najlepiej jest dobrą minę stroić; zatem śmiejąc się w głos, zaczynam żywo coś memu furmanowi opowiadać, a na Moskali niby nie zwracam uwagi. Gdyśmy się jednak z nimi zrównali — przyznać się muszę — serce do mojej miny nie chciało się zastosować i biciem przyspieszonym przeczyło uśmiechowi udanemu. Dzięki Bogu! Chwila krytyczna przeszła, bośmy nie zaczepieni przejechali. Jednak nie długo spokojnie jechałem... bo mając wjeżdżać w las, widzę, że stamtąd wysuwa się bura masa żołdactwa moskiewskiego. To drugie spotkanie zarówno staje mi się niemiłym; trzeba jednak dalej swoją rolę grać i tak samo, jak na widok kozaków, zaczynam wesoło z furmanem rozmawiać. Gdyśmy się zrównali z piechotą moskiewską — furman, choć Mazur, ruską filozofię znał dobrze, że »lipsze ne zaczypaty«, więc zjechał z drogi — niech się ta czereda przewali... W tem podchodzi do fury, zdawało mi się, że to był jakiś starszy rangą, i pyta się:

— Kto jesteś i gdzie jedziesz?

Nie umiejac po moskiewsku, jakoś to pytanie zrozumiałem i śmiało, akcentem mazurskim, odpowiadam:

— Jestem ślusar, jadę do Stasowa, dyć tam mam robotę w cukierni (cukrowni).

Zaglądnął do torby — narzędzia ślusarskie widocznie utwierdziły go, jakoby prawdę mówił — i dalszą legitymację uważał za niepotrzebną, a tylko kazał mi słomę z siedzenia podnieść, czy tam niema broni lub czegoś zakazanego. Gdy nic nie było, machnął ręką i poszedł za swoimi — i tak znów ruszyliśmy dalej.

Mój furman wszczyną rozmowę pochwalną dla mnie: żem »zmyślny i dościpny«, iż diegciarzowi podejść się nie dałem, bo piesbeskurcyje mogliby nas poturbować a może i chudactwo moje (konie i wóz) zabrać. Z powiedzenia tego wnioskowałem, że chłop domyślił się, iż w innym celu jadę, jak przed nim i Moskałami mówiłem. Zbyłem go milczeniem, bo przezorność nakazywała mi być ostrożnym.

Aż do Staszowa nie spotkałem się z Moskałami — dopiero tam, gdy pod wieczór dojechałem, zastałem masę żołdactwa. Jadąc do dworu, ocierałem się o nich, żaden przeciw Moskał nie zaczął mnie i stanąłem przed mieszkaniem Rotha, pełnomocnika dóbr tamtejszych, którego z Galicyi znałem. Gdy się jemu przypomniałem, bowiem trudnoby mnie w tym kostyumie poznać mógł i o celu przyjazdu uwiadomiłem, aż za głowę się chwycił z ambarasu i obawy, co ze mną zrobić, jak skryć, gdy właśnie tyle wojska we wsi i wszvstkie mieszkania przez nich zajęte.

— Toś pan trafił! Obaj możemy być zgubieni, jeśliby cel przybycia pańskiego odkryli. Muszę pana przed tą możliwością zabezpieczyć, do czego przepustka dobrze posłuży — i kazał zawołać skarbowego kowala.

Gdy się ten zjawił, odzywa się do niego:

— To jest — wskazując na mnie — czeladnik przyjęty do robót ślusarskich, masz go tymczasem w kuźni zajęć i zaraz weź z sobą.

Kowal domyślił się, o co chodzi i nie prowadzi mnie do swego mieszkania, gdzie miał na kwaterze kilku żołnierzy,

lecz do kuźni i tam w komórce umieszcza, zalecając, abym stamtąd nie wychodził. Przyniósł mi cichaczem burkę i koc na posłanie i do nakrycia, z czem ulokowałem się na ławce i tak zasnąłem. Raniutko budzi mnie i radosną wiadomość oznajmia, że Moskale zaraz wyruszają.

— Mam koniowi komendanta zaraz podkowę przybić — stawaj pan do miecha, a ja z czeladnikiem chciałbym się z tem jak najprędzej uporać.

I rzeczywiście tak się sprawili prędko, do czego i ja się przyczyniłem, dmąc w ognisko potężnie miechem, że koń w mig był okuty. Widziałem z kuźni, jak Moskale wymaszerowali i wówczas lżej mi już na sercu zrobiło się, a wszystkim zdawało się, jakby ze wsi zmora jaka ustąpiła.

Za chwilę przyszedł Roth i zabrał mnie do siebie. Mówił mi, że całą noc bezsennie spędził z obawy o mnie i przytem o siebie, abym w podejrzenie Moskalom nie wpadł, bo wtenczas i jego do odpowiedzialności pociągnęliby. W mojem ubraniu, jak wyżej opisałem, umyślnie poczernionem i potłuszczonem, nie chciałem znaleźć się pośród rodziny Rotha i dlatego prosiłem go o dalsze wysłanie mnie. Zacny! żadną miarą nie chciał się na to zgodzić, gdyż w całej okolicy masa Moskali kręciła się i łatwo w ich szpony mógłbym wpaść, i dla tego głównie powodu puścić mnie nie chciał. Żeby jednak nie był żenowany, prawie siłą zmusił mnie, abym się w jego ubraniu przebrał, a nadto musiałem przyjąć ułankę podbitą futerkiem i czapkę zimową, bo zima już za pasem była. Tak przebranego, obmytego i z pewną pretensją przystrojonego, przedstawił swej rodzinie. Po kilku dniach dostałem pewną wiadomość, że już bezpiecznie dalej ruszyć mogę, opuściłem przeto ten zacny i sympatyczny dom.

O losie partyi Czachowskiego dowiedziałem się tam, że gdy ten oddział znalazł się w głębi kraju, Moskale dobrze poinformowani o ruchach tegoż, zgromadziwszy znaczne siły — rozbili go, a Czachowski sam z kawaleryą uszedł w radomską gubernię. Ta wiadomość boleśnie mnie

dotknęła, że tak znakomicie zorganizowaną partyę taki smutny los spotkał, przyczem byłem wielce zaniepokojony o mego brata Kazimierza, który w tej partyi znajdował się, nie mając sposobu dowiedzieć się o nim.

Wiedząc, gdzie Czachowski znajduje się, stało się moją myślą przewodnią dostać się do niego i w tym celu postanowiłem dążyć w radomskie, gdzie — jak mi mówiono — miał przebywać jeszcze. Aby dostać się tam, pierwszy etap wytyczyłem sobie Grabki, w powiecie kieleckim obok Chmielnika położone. W tej miejscowości na krótko przed powstaniem rozpocząłem praktykę gospodarczą, więc byłem nieco z tą okolicą obznajomiony i przez to najlepiej ta miejscowość nadawała się dla celu moich zamiarów. Zatem ze Staszowa, według ułożonego planu, rzemiennym dyszlem, manowcami, unikając traktów, aby z Moskałami nie zdybać się, dotarłem do Grabek.

Po zasięgnięciu rady obywateli tamtejszych, którzy zgodnie orzekli, że dostać się w radomskie uważają prawie za niepodobieństwo, bowiem w całej tam okolicy, również i w kieleckim, jest wielki ruch wojska moskiewskiego, przeto nie trudno dostać się w ich ręce. Doradzali mi również z tego powodu zaniechać tego zamiaru, bo nie wiadomo, gdzie na pewne teraz Czachowski obraca się. Co tu począć? Wracać do Galicyi przecież nie mogę, gdy już jestem na terenie, gdzie walka o nasze prawa się toczy. Dowiaduję się jednak, że w najbliższej okolicy koło Chmielnika formuje się nowy oddział w sąsiednich lasach; zatem niema dla mnie innej rady, jak tam się udać.

Pod wieczór wyruszam z Grabek i drogami polowemi dostaję się do tych lasów, a gajowy tamtejszy ma mnie do obozu zaprowadzić. Około północy dostaję się do jego chaty pod lasem. Z wielką ostrożnością ścieżkami prowadzi mnie, gdzie miejsce na obóz obrano. Już świta, gdy spostrzegam naszą pikietę — ta zatrzymuje nas; gajowy mówi hasło, a ja cel swego przybycia — więc puszcza nas.

Wśród lasów tych na polanie przewodnik wskazuje naczelnika tego oddziału i podprowadza mnie ku niemu.

Jest nim Karol Kalita, oficer wojska austriackiego, mężczyzna w sile wieku, o sprężystych i energicznych ruchach, sympatycznego oblicza, a jako komendant wzbudzający zaufanie żołnierza — tam pod przybranem nazwiskiem »Rębańło« znany. Już po wojskowemu salutuję, przedstawiam się i melduję, skąd jestem i jak się tu dostałem, a to w poszukiwaniu za pułkownikiem Czachowskim, aby mu zdać sprawę z poruczonej mi przez niego misyi. Na to odrzekł Rębańło:

— Do niego możemy się z bronią w ręku przebieć — staraj się być dzielnym, a jeśli się z nim spotkamy, zdasz raport. Teraz bracie zostań z nami, dziel trudy, a może — co daj Boże — i sławę.

Tymczasem przydzielili mnie do jednej z kompanii.

Oddział ten zaczął się dopiero organizować; żywo tego jeszcze mało dni liczył. Dotychczas 200 kilkadziesiąt ochotnika zebrało się. Broni jeszcze mało; trochę karabinów i strzelb; wielu było bez broni, do których i ja należałem. Broń i amunicya miały nadejść, również spodziewano się liczniejszego napływu ochotników. Pierwszy dzień przeminął na ćwiczeniu w obrotach, zapoznawaniu się z komendą i t. d. Strawę prosto z kotła dostawaliśmy, chleb i kto chciał kieliszek prostej wódki.

Tej nocy zajechało kilka fur z bronią, amunicją, odzieżą i żywnością. Mnie dano jakiś karabin i postawiono na pikiecie, gdzie stałem do północy. Obowiązkiem takiej warty było przedewszystkiem czuwać, aby Moskale do obozu nie wdarli się i nikogo, kto hasła nie znał, tam nie wpuścić, lecz zatrzymać i o tem przez pikietę bliższą obozu dowódcę lub oficera dyżurnego uwiadomić; również nie wolno było nikogo bez zezwolenia władzy wypuścić. Po zluzowaniu mnie z warty, gdy poprzedniej nocy ani oka nie zmrużyłem, położywszy się na gałązkach, twardo zasnąłem. Namiotów żadnych nie było — trochę słomy lub chrustu stanowiło posłanie; o przykryciu się nie było mowy, bo koców nie posiadaliśmy, a byłyby się bardzo zdały,

było to bowiem przy końcu października, a dojmujący chłód w nocy dawał się już dobrze we znaki.

Zaraz rano rozdano nam wczoraj przywiezioną broń i amunicję, a potrzebującym ubranie i obuwie. Mój karabin do nabijania lasztkiem i bagnet trochę zardzewiały; dosyć to było ciężkie. Zaraz wzięliśmy się do czyszczenia tej broni. Ponieważ system tego karabinu tak mnie jak i wielu innym nie był znany, zatem ci, którym użycie tej broni nie było obce, mieli obowiązek nieumiejących obchodzenia się z nią pouczyć. Więc i ja korzystałem z tej nauki i z trudem niewielkim wszedłem w dobrą znajomość z moim karabinem, który byłby mi znośnym i dobrym towarzyszem, gdyby nie był tak ciężki; przeto z tej racji nazwałem go »puszką«.

W dniu tym jeszcze kilku ochotników przybyło i ci zaraz dostali broń. Nauka komendy, nabijania karabinu, składania się i stawania z bagnetem do ataku cały dzień trwała z pośpiechem takim, jakby zaraz potrzeba tego spróbowania na Moskałach miała nastąpić. I rzeczywiście tak się stać miało. Jeszcze tego samego dnia popołudniu przybył do obozu jakiś poważny jegomość i podszedł do naszego naczelnika. Z niespokojnych i żywych ruchów dyskutujących było można poznać, że jakaś ważna sprawa między nimi się toczy, a nasz naczelnik szczególne zdradzał zaniepokojenie. W końcu uścisk rąk, jakby na zgodę nastąpił — i nieznajomy poseł odjechał.

Po oddaleniu się przybyłego, dłuższą chwilę stał Rębałto w zamyśleniu, aż nareszcie zwołał oficerów i z nimi miał naradę. Co uradzili, nie było nam wiadomem, tylko za chwilę oznajmiono nam, że stąd wyruszamy prócz tych, co jeszcze broni nie dostali i ci mają w obozie pozostać. Niedługo wydano rozkaz do wymarszu, ustawiono kompaniami i zakomenderowano »marsz!« Idziemy dosyć długo tym lasem, jakby jemu końca nie było; noc ciemna a las ją jeszcze ciemniejszą czyni; potykamy się w głębokich wybojach. Wreszcie wyszliśmy z tego lasu i wkroczyliśmy do jakiejś wsi. Pochód taki w nocnej porze, przy ciszy,

kiedy tylko niewyraźne szepty dochodzą, bez wiedzy, jak długo mamy iść i dokąd? i co nas czeka? — działa przygnębiająco. Gdy przechodzimy przez wieś, szczekanie psów budzi mieszkańców; kto z nich głowę wychyli, spojrzy — i wnet ze strachem cofnie ją; wszystko dla nich, jak również i dla nas tajemnicą pokryte!... Wchodzimy znów w las — idzie się jakby na omacki, bo noc i las gęsty wszystko ciemniłą pokrywa. Wyszliśmy w końcu z niego i już polami znaczymy nasz pochód, aż nad ranem zmęczeniu tym forsownym marszem, stajemy we wsi Szczecno. Tu zastajemy partyę Zygmunta Chmielińskiego.

Ręabajło ustawił nas na jakimś większym placu, a sam udał się do dworu, gdzie Chmieliński ze swoim sztabem zakwaterował się. Oddział jego zaimponował nam dobrze uzbrojoną piechotę w ilości około 700 ludzi i tak samo kawaleryą na dobrych koniach.

Niebawem powraca nasz dowódca z miną, jak uważamy, zafrasowaną. Zakomenderował pogotowie do pochodu i marsz! prowadzi nas za wieś. Tu rozstawiają nas w różnych punktach i każą mieć baczne oko na Moskali; a gdyby się z której strony pokazali, natenczas mamy zaraz dać znać naszemu dowódcy przez rozstawione pi kiety.

Przyszedłszy do Szczecna, spodziewaliśmy się, że po całonocnym marszu trochę spoczniemy i dostaniemy jaki posiłek, choćby po kawałku chleba i kieliszku wódki, bo przy strudzeniu byliśmy i głodni; albowiem gdyśmy wyruszyli z obozu, brakło chleba a i innego pożywienia bardzo skąpo było, zatem ruszyliśmy głodni, a po takim spacerze głód jeszcze dosadniej odezwał się.

Stoimy na wyznaczonych posterunkach, mając baczność uwagę na drogi, któremi Moskale mogliby się pokazać. Już dobrze z południa a nas nie zmieniają. Czy zapomnieli o nas? W czystym polu wystawieni na zimny wiatr jesienny (bo było to przy końcu października), trzęsiemy się z zimna, tupiemy nogami i zabijamy ręce, aby się choć ogrzać. Nasz dowódca zniecierpliwiony i oburzony na ta-

kie lekceważenie jego i partyi naszej, posyła adjutanta swego do Chmielińskiego, żądając złuzowania nas a w każdym razie przysłania chleba i trochę wódki. Już zmierzch pada, gdy adjutant powrócił, ale wrócił z rozkazem od Chmielińskiego, że mamy dalej stać a chleba i wódki przysłać nie może, bo jego partya wszystko zjadła i wypła. Adjutant wracając, chciał po drodze we wsi choć chleba dla nas kupić, jednak tego ani kawałka dostać nie mógł, gdyż wszystko, co było we wsi do spożycia, partya Chmielińskiego sprzątnęła.

Co robić? kiedy taki rozkaz — trudna rada! — trzęsąc się z zimna, stoimy dalej i śpiący i głodni i zmęczeni. Noc już dawno zapadła, a dla nas żadna zmiana i pocieszenie nie przychodzi. Cierpliwość jednak naszego dowódcy wyszła już z granic, bo szle ponownie adjutanta do Chmielińskiego z przedstawieniem, że żołnierze jego już tak są strudzeni i pomarzli, że poginać mogą, przeto stanowczo musi się ich zaraz z widet ściągnąć — a jeśli to natychmiast nie nastąpi, kategorycznie oznajmia, iż wbrew dyscyplinie, będzie zmuszony forpoczty z swoim oddziałem opuścić. Jakież jednak było zdziwienie dowódcy naszego, gdy adjutant powrócił i melduje, że Chmieliński w nocy ze Szczecna wyruszył i już ich tam ani śladu. A zdziwienie jeszcze większe, że go o wymarszu swoim nie uwiadomił, zostawiając nas na pastwę Moskali, którzy, jak mu dobrze wiadomem było, w wielkiej sile wyruszyli z Kielc i innych miejscowości na rozbicie jego oddziału. Wyglądało to, że manewrem poświęcenia naszej partyi chciał się salwować, aby uniknąć starcia z Moskalami<sup>1)</sup>.

W tej chwili nastąpił rozkaz naszego dowódcy ściągnięcia nas z forpoczty, co gdy się stało, zwołał oficerów na krótką naradę, na której postanowiono zaraz wyruszyć lasami do pierwszej większej wsi, gdzieby można partyę pożywić i dać jej trochę wypocząć. Posuwając się lasami,

---

<sup>1)</sup> Z pamiętników pułkownika Karola Kality (Rębajły) z kampanii 1863 r.

doszliśmy do jakiejś wsi, gdzie mieliśmy odpocząć i posilić się, lecz tu dowiadujemy się, że co tylko Moskale stąd wyszli a Kozacy kręcą się, więc zatrzymać się tu byłoby niebezpiecznie, a przytem musi się wyjść z pierścienia, którym Moskale chcąc Chmielińskiego osaczyć, mogliby i nas zarazem w matnię wpakować. Musimy przeto wejść znów w głębokie lasy i tymi dostać się do Cisowa, gdzie napełnione i żywności dostaniemy i po strudzeniu tak dolegliwym wypocząć będzie można. Jesteśmy niezwykle już pomęczeni, jednak nadzieja pożywienia się w Cisowie i wypoczęcia tam dodaje nam sił. Około południa dowlekliśmy się do tej miejscowości, uśmiechającej się do nas nadzieją zaspokojenia głodu i choć chwileczki snu dla pokrzepienia niezwykle strudzonych członków. Lecz jakież zdziwienie i rozczarowanie spotkało nas, gdy tam zastajemy partyę Chmielińskiego, która na oczekaniu tak wieś objadła, że już dla nas, choćby za wysoką cenę, kawałka chleba zdobyć się nie dało.

Zatrzymaliśmy się we wsi, a nasz dowódca poszedł do dworu, gdzie Chmieliński zakwaterował się; pewnie udał się tam w celu porozumienia się z Chmielińskim co do dalszego wspólnego działania. Za małą chwilkę wraca Rębajło błądy i w najwyższym stopniu zirytowany. (Domyślamy się, że musiało coś nadzwyczajnego zająć a może i starcie między dowódcami). Skoro tylko zjawił się przed nami, zakomenderował: marsz! Idziemy i za wsią na pagórku na skraju lasu stajemy, skąd roztaczał się widok na wieś i dalszą okolicę. Tu mamy spocząć. Stąd widzieliśmy, jak niebawem Chmieliński opuścił wieś i znikł nam z oczów.

Może w godzinę po wyruszeniu tej partyi spostrzegamy drogą od strony Szczecna szpicę kozacką, a za nią wysuwa się masa piechoty moskiewskiej z kawaleryą i armatami. To Czengery, generał wojsk moskiewskich z Kielc nadciągą. Relacye przeto o wyruszeniu wojsk moskiewskich dla rozbicia partyi Chmielińskiego okazują się wierne, bo Czengery już po piętach depcze Chmielińskiemu, a i nam także, choć o naszym oddziale wiedzieć nie mógł. Gdy

nas spostrzegli, bo kilku z naszych nierozważnie z poza drzew wysunęło się — powstał między Moskałami taki ruch, jak w ulu, gdy się pszczoły podkurzy. Zaraz wymierzono ku nam działa, których strzały nie przeszkodziły nam, a tylko konary i gałęzie z drzew posypały się. Byłoby nonsensem walkę przyjąć, więc cofnęliśmy się w głąb lasów, a Moskale nie wiedząc o naszej sile, ścigać nas nie odważyli się.

Dążymy do lasów Ś-to Krzyskich i aby dostać się w pasmo lasów graniczących z Łysą Górą, wypadało przejść nam przez znaczny kawał pola, przez które przemknęliśmy się szczęśliwie, niespostrzeżeni przez Moskali, którzy drogą przez wieś w naszym kierunku posuwali się. Przez to stało się, że biorąc naszą partyę za partyę Chmielińskiego, temuż pozwolili wydostać się z pierścienia, jakim go już okrążali.

Gdyśmy w inne pasmo lasów wstąpili, była już noc, zatem trzecia doba z małymi odpoczynkami, o głodzie — a gdy sen mroczy, pragnienie dokucza, wyczerpały nam się siły, a wskutek tego organizm w stan gorączkowy popadł. Czuje się suszę i spiekotę w ustach, oczy z niewyspania pieką a osłabione powieki same ślaniają się na nie. W tem zmęczeniu jakaż to ciężka torba, ładownica, szczególnie »puszka«, od której ciężaru już tak ramiona obolały!

Idziemy tym lasem pod górę — często słyszy się głosy »Kozaki!«, bo przywidywało się naszym w nocy, że oni w ślad za nami idą, co wielce denerwowało. Ale rzeczywiście słyszymy już wyraźny tentent kopyt końskich — to pewnośc, że z kozakami spotkaliśmy się. W tem komenda odzywa się: »stój!« Wszyscy bez rozkazu chwyciliśmy za broń i czekamy dalszych rozkazów. Na wiadomość, że to nasi, radość wielka zapanowała między nami.

Była to nasza kawalerya, która z Galicyi wyruszyła pod dowództwem Szamejta, a z którym generał hr. Bosak-Hauke jechał. Lżej nam zrobiło się pod taką ochroną i już raźniej dalej ruszyliśmy. Ten las to był las Śto Krzyski,

a my tam do klasztoru na górze dążyliśmy. Tak byłem zmęczony i senny, że w końcu w pochodzie zasnąłem i bezwiednie idąc, dopiero, gdyśmy stanęli pod klasztorem, do świadomości przyszedłem. Ktoś może zapytać, jak można w stanie uśpionym iść? Ja mu odpowiem, że tak — bo w tym pochodzie sam na sobie doświadczyłem tego, a o czym poprzód nie miałem pojęcia; lecz jeszcze dziwniejsze, że idąc nie upadłem — wszak w lesie droga nie jest jak po stole, potknąć się łatwo. Nazajutrz przekonałem się, wracając tą drogą, że była pełna wybojów. W tem zdarzeniu nie byłem odosobniony, bo wielu z towarzyszków ten stan podzielało.

Bąłem się, aby mnie tej nocy na pikiecie nie postawiono, bo zasnąłbym z pewnością. Gdyśmy weszli do klasztoru, każdy pod ciężarem znużenia upadł jak nieżywy i zaraz zasnął; sen ten, choć krótki a przerywany niepokojem napadu przez Moskali, cokolwiek pokrzepiłby, gdyby reszty sił nie odbierał głód i pragnienie z powodu suszy w ustach i gorączki wewnętrznej.



## II.

Wymarsz z klasztoru do Jezierek. — Starcie się naszej pikiety z widetą moskiewską. — Bitwa. — Dostają się do niewoli. — Czengery i jego groźby. — Odpoczynek w Bodzentynie. — Pohulanie Moskali. — Posiłek. — Pochód do Kielc. — Więzienie tam. — Dostają ubranie i bieliznę. — Wymarsz z Kielc do Radomia. — W drodze zaniepokojenie Moskali z powodu spodziewanego napadu naszych. — Radom. — Zachorowałem tam i dostają się do szpitala wojskowego. — Niespodziewane zjawienie się u mnie matki mej. — Panie z miasta odwiedzają chorych w szpitalu. — Pani Kamińska. — Pani Lubieniecka z córkami. — Starania ich, aby zatrzymać mnie dłużej w Radomiu. — Wymarsz z Radomia. — W Warszawie umieszczają nas w cytadeli, widok jej działa przygnębiająco. — Kaźnie. — Nawoływanie żołdaków. — Paraszka. — Zawiedzione mniemanie o oficerze dyżurnym. — Inspekcyja jeneralna. — Prowadzą nas w nocy na kolej. — Płacz Warszawianek. — W drodze do Pskowa przechwalania się konwoju. — Powstanie. — Kokardka. — Zatrzymują nas w Pskowie.

Rano wyszliśmy z tego przez zakonników opuszczonego klasztoru — kawalerya z nami. Dowódcy naszego nie widzimy i dowiadujemy się, że zwichnął sobie nogę i dalej iść nie może. Ucieszyliśmy się, gdy po drodze trafiamy na potok, gdzie gasimy szalone pragnienie; również kawalerya konie napoiła. Pokrzepieni wodą, schodzimy lasem po pochyłości w dół i gdy się las kończy, na widnokręgu dalej widzimy osadę, to wieś Jeziorki. Po dłuższym pochodzie stajemy tam; pozwalają nam rozejść się po domach, aby się posilić i odpocząć trochę. Ledwośmy się rozeszli, słyszymy trąbkę na alarm. Wybiegamy na ulicę, a tu do-

latuje nas głos pojedynczych strzałów: to już pikietą nasza ściera się z widetą moskiewską. Bosak, który objął komendę, daje rozkaz wracać do Śto Krzyskich lasów, skąd przyszliśmy. Zatem wyruszamy, a konnica nasza kryje pochód ten, stanowiąc ariergardę.

Wstępujemy na pagórek, a tu, jak okiem sięgnąć, błyszczą bagnety moskiewskie. Chmara ich na przełaj sunie na nas, a z drugiej strony już kozacy rozsypali się i z karabinków strzelają do nas z zamiarem widocznym wstrzymania naszego pochodu. Już kule świszczą i furczą, lecz jeszcze nas nie rażą. Rozsypaliśmy się w tyralierkę i na strzały odpowiadamy ciągle, zarazem posuwamy się naprzód — to samo czyni nasza kawalerya, ciągle ku kozakom szle kule.

Wtem zoczyliśmy, że dragoni moskiewscy sformowali się i całym pędem na nas, a właściwie na naszą konnicę walą, aby jej czasu nie zostawić do przygotowania i zebrania się na przyjęcie tego ataku. Atoli nasi w jednej chwili uszykowali się i w największym porządku na spotkanie dragonów, co koń wyskoczy, z kopyta ruszyli. Już w szalonym rozpędzie są coraz bliżej... i bliżej siebie.. jeszcze kilka skoków... a straszne, zarazem imponujące zderzenie i zwarcie się nastąpiło — a w błysnięciu i szczęku szabel chwila piekielnego zamętu! I stało się coś nadspodziewanego i cudownego prawie... Jak huragan, co wdarł się do lasu, siłą swego naporu toruje sobie drogę, kładąc drzewa z hukiem i trzaskiem jedno na drugie — tak zuchy nasi podobnym naporem złamali linię dragonów i gdy wpadli w środek, rąbiąc w prawo i w lewo szablami — jak huragan drzewa — tak oni Moskali kładli. Ci ostatni w jednej chwili rozbici, rozsypali się na wszystkie strony, prócz tych, co się na ziemię zwalili.

W tym chaosie i ścisku postać jednego z naszych ponad wszystkimi widoczniej zarysowała się... to koń jego spiął się dęba i nad wszystkimi końmi głową góruje, a swego jeźdźca nad wszystkich wyniosł. Znał swego pana, że jest dzielny rębacz i znakomity szermierz, bo szabla

mu w rękę jak błyskawica miga i straszne ciosy wrogom zadaje. Szkoda, że to jedną chwilkę trwało, na dalszy popis pola nie stało!

Od tej szarży znalazłem się nie dalej jak sto kroków. Z dumą i zachwytem patrzyłem na to, co się stało i podziwiałem brawurę, składność a niemal i wściekłość naszych, z jaką na Moskali natarli. I pod Somo-Sierrą nie mogło być dzielniej! Jakaż zawziętość i żądza obudziła się we mnie, żeby choć jednego wroga uśmiercić! Z tem pragnieniem przed samem starciem się wypaliłem w kupę dragonów; trudno wiedzieć, czy skutek chęciom odpowiedział? a brakło czasu powtórzyć raz jeszcze, bo zanim karabin nabiłem, dragoni byli już w rozsypce. Tak prędko nasi z nimi się sprawili, że jeszcze tylko za uciekającymi mogłem kulę posłać.

Kawalerya nasza po krótkim pościgu, poczęstowawszy na drogę niejednego dragona — powróciła do nas. Widzę konie luzem bez jeźdźców rozbiegłe; rozpoznać, czy z pod naszych czy z pod Moskali — nie można, bo coperdziej trzeba dążyć ku lasom Ś-Krzyskim, aby nam drogę tam nie odcięli, gdyż po ruchach Moskali widać, że do tego zdążają.

Dowódca naszej kawaleryi (Mieczysław?) Szamejt, jeden z dzielniejszych oficerów armii austryackiej, zorganizował w Galicyi ten oddział. Przeważnie werbował takich, którzy już w kawaleryi służyli, a także i innych dzielnych, co dobrze konia zażyć i bronią władać umieli. Konie były doskonałe, ludzie uzbrojeni w szable i karabinki a umundurowani jednakowo. Taki oddział i pod komendą tak dzielnego dowódcy, mógł śmiało stawić czoło i większej sile; liczył pewnie przeszło sto koni. Pod jego ochroną jechał były pułkownik wojska rosyjskiego, hr. Bosak-Hauke, dla objęcia dowództwa w Królestwie Polskiem nad partyzantką, a my przypadkowo zetknęliśmy się z tym oddziałem, jak wspominałem.

Skoro dragoni moskiewscy znacznie oddalili się, naraz straszny huk wstrząsnął powietrzem. Oglądałem się,

a tam z pagórka paszcze armatnie zieją ogniem — padają kule i granaty. Tu granat ryje ziemię i z hukiem eksploduje — drugi niedaleko odemnie rozszarpał towarzysza, a odłamki jego przeleciały mi nad głową. Można zauważyć, że cały ogień artylerii skierowany głównie na naszą konnicę, chcieliby przede wszystkim ją znieść.

Już zostaliśmy z trzech stron otoczeni: z prawego boku przez piechotę, z lewego przez dragonów i kozaków, a z tyłu artyleria do nas wali. Teraz dla naszej kawalerii niema wyboru i musi z placu boju ustąpić, jeśli nie chce zginąć lub dostać się do niewoli, co nastąpiłoby niechybnie wobec tak przeważających sił nieprzyjaciela. Zatem rozsądnie i słusznie czyni, że opuściła plac boju, bo w lepszych warunkach pewnie a z pożytkiem będzie nieraz jeszcze potrzebna. Na uchodzącą konnicę naszą skierowano strzały armatnie, a także dragoni i kozacy puścili się w poгон. Lecz czy nie mogli dopędzić, czy obawiali się natrzeć — bo zawrócili — a następnie dragoni zajęli pozycję pod lasem, dokąd dążyliśmy.

Teraz już ze wszystkich stron jesteśmy wielką nawałą wojska otoczeni i pozbawieni nadziei wyswobodzenia się z tej matni. Pomimo tego położenia bronimy się jednak i zawzięcie strzelamy do Moskali, a dowód tego, gdyż w końcu pustka w ładownicy została. Nasz oddział przedstawiał małą wysepkę, na którą gęsty ogień ze wszystkich stron skierowano, aby znieść nas do szczętu, a to zdawało się, że nastąpićby powinno, gdyby Moskale lepiej strzelali. Pomimo to gdzie spojrzeć — tu zabity — tam ranny! Huk armat nia ustaje, a z nim kule i granaty padają. Świst i furczenie kul karabinowych coraz gęstszy. Rannych i zabitych przybywa. Trzask pękających granatów i furczenie rozsadzonych odłamków razem ze świstem krzyżujących się kul karabinowych nad głową i wokoło — stwarzał chwile bez nadziei. Czy niema ratunku i wszyscy mamy zginąć?!... Determinacya jednak zabiła wszelki lęk, jakby zamarcie czucia nastąpiło — i obojętnem już było, co ma się stać. Mimo to ciągle posuwamy się naprzód, a żadnemu

nie przychodzi myśl poddania się — raczej śmierć do wyboru!...

Przechodzimy przez potok — a gdy czwartą dobę znajduję się w dolegliwościach z pochodu, głodu, pragnienia, niewywczasu — takie znużenie i bezsilność owładnęły mną, że na przeciwny dość stromy brzeg tego potoku pomimo całego wysiłku wdrapać się nie mogę, a gdy się tak forsuję, jak sypną do mnie kulami, to tak biły do brzegu, jakby kto pełną garścią groch rzucał. Musiałem się przeto cofnąć pod przeciwny brzeg i z rezygnacją oczekuję końca swego. Prawdziwie cudem nazwać można, że mnie żadna kula nie trafiła, bo mogły podziurawić jak rzeszoto. W tym czasie, gdy przytulony do brzegu siedzę, kule ponad głową ze świstem przelatują, a ten świst tak się wraził w moją pamięć i słuch, że jeszcze dziś echo tego słyszę. Pod brzegiem, gdzie siliłem się na wierzch dostać, widziałem dwóch zabitych, a może rannych, którzy stoczyli się do wody. I mnie mógł ten los spotkać, gdybym się był nie cofnął.

Siedząc tak przytulony, słyszę wrzawę coraz bliżej dochodzących Moskali; już są niedaleko... jeszcze kilka kroków, a ujrzą mnie... Naraz odezwały się nademną złowrogie dzikie głosy i już widzę kilka luf i bagnatów ku mnie skierowanych i wrzask: »brasaj rużio« (rzucaj karabin). Choć tego nie zrozumiałem, domyśliłem się, o co chodzi i rzuciłem moją »puszkę«. W jednej chwili zdarli ze mnie czapkę i ułankę. Jeden szarpnął za łańcuszek od zegarka i urwał go, gdy drugi równocześnie zegarek wyciągnął z pozostałym kawałkiem łańcuszka. Z powodu tego wszczęła się między nimi sprzeczka i wzajemne wrywanie sobie łańcuszka i zegarka, którato zdobycz — na zasadzie jakiego paragrafu ich kodeksu rabunkowego — nie wiem któremu z nich przypaść powinna. Byłem przygotowany na śmierć i czekam, gdy mnie rozbiorą — pewnie zastrzelą lub zakłują. Jednakże w chwili szarpania się żołdaków o sporny przedmiot, wpadł między nich jakiś starszy w randze i popędził naprzód, a mnie oddał jednemu

pod wartość — i w ten sposób z opresyi tej uwolniony zostałem.

Prowadzący mnie żołnierz wziął mnie za to w obroty i nie szczędząc uderzeń kolbą, ściągnął ze mnie kamizelkę i z kieszeń w spodniach powyciągał, co było, a nadto obmacał po ciele, czy czego do zrabowania nie znajdzie. Wściekły był, że pieniędzy nie znalazł, gdyż tę trochę monety, jaką miałem, schowałem do ułanki, którą ze mnie zdarli; rozbawiony pewno z tego powodu, prowadząc mnie, tłukł bez miłosierdzia kolbą i hańbił ostatnimi wyrazami, w jakie język moskiewski wysoce zasobny jest. Tak czule się mną opiekował, aż przyszedliśmy do miejsca, gdzie wszyscy, co przy życiu zostali i co byli mniej ranni, znaleźli się jak w sieć ujęci. Tam mnie drab konwojujący przyprowadził i w rzędzie naszych postawił, a na pożegnanie tak silnie jeszcze kolbą w piersi uderzył, że na wznak padłem. Natenczas inni żołnierze, kopiąc mnie w brutalny sposób, pomogli podnieść się. Nastąpiło liczenie nas; widzę, że partya nasza ogromnie zmalała. Czy udało się któremu ująć? Ilu zabitych i rannych? — prawdy dowiedzieć się trudno, bo wprawdzie Moskale podawali cyfrę, jednak ta samych zabitych według ich rachunku przносиła cyfrę wszystkich razem w partyi znajdujących się, więc jak od nich dowiedzieć się, jakie były nasze w ludziach straty? — i tego nie dowiedzieliśmy się już nigdy.

Generał Czengery, dowodzący wojskiem moskiewskim, pyta się nas, gdzie Chmieliński? Był bowiem pewny, że to część jego partyi. Mówimy, że my z oddziału Rębajły.

— A ten nowy bandyta gdzie?

— Nie wiemy, bo z nami nie był.

— Więc kto was pędził b...?

— Sami.

— Breszecie jak psy, ale ja się dowiem. Tożto wam rozbójniki spieszo było do lasu, aby stamtąd napadać na spokojnych ludzi (zapewne Moskali miał na myśli); jednak nie dałem wam doczekać się tego szczęścia!

Następnie pytał się każdego: skąd? Gdy kilku odpo-

wiedziało, że z Galicyi — jak skoczy na nas w pasyi i ostatniemi słowami zacznie przezywać od rabusiów, drabów, wilków i t. p.

— Czekajcie! ja was wszystkich powywieszam i taki z wami zrobię porządek, że pewnie z tej nory zbojcekiej żaden się więcej nie pokaże!

W trakcie tego, gdyśmy tak stali i słuchali tej rozrzucającej nas przemowy, jeden z naszych z raną na piersiach krwią broczącą, nagle zachwiał się i runął nieżywy na ziemię z powodu przestrelonej piersi. Dziwne przecież, jak mógł tak długo stać, nim śmierć nastąpiła.

Ja rozebrany do koszuli z przemoczonemi nogami dygotałem z zimna, bo wiatr chłodny przenikał; było to 29 października 1863 r. Jakiś żołnierz przyniósł mi stary, brudny, zniszczony kożuszek, rzucił mi go, mówiąc: »masz, zanim cię powieszą — abyś nie zdechł«. Zapewne był to ten, który ze mnie ułankę zdarł i w nią ubrał się pod szynel, zatem kożuch był mu niepotrzebny; a zrobił dobrą zamianę, bo ułanka nowa i porządna, a kożuch drańciwy, a jednak choć taki, byłem z niego rad, bo od zimna mnie ratował.

Dano rozkaz do wymarszu, wówczas obstała nas piechota i konnica — i ruszyliśmy. Wszyscy jesteśmy strasznie pomęczeni, a ja przytem tak srodze kolbą stłuczony i obcasami skopany, że ruszyć się nie mogę, a tu iść każą! Ustawili nas czwórkami, bierzemy się pod ręce i tak jeden drugiego wspiera, gdyż inaczej nie bylibyśmy w stanie iść.

Tak doszliśmy do miasteczka Bodzentyna. Umieszczono nas w jakiejś szopie pod silną wartą. Przy niesłychanem strudzeniu jesteśmy głodni i spragnieni, że głód aż kurczy żołądek, a w ustach gorzko z gorączki i pragnienia. Dopominamy się o wodę, bo na nic więcej nie mamy nadziei — sądząc, że Moskale będą dla nas bezwzględni i choć tak żądni posiłku, tego nam nie dadzą. W tej szopie raczej popadaliśmy na ziemię, jak pokładli się, a natenczas jedyne żądanie streściło się w dwóch sło-

wach: wody i wypoczynku! Wody dostarczyli nam żydzi, zapewne na rozkaz Moskali, a wypoczynek czekał nas na wilgotnej zimnej ziemi.

Jakież było nasze zdziwienie, gdy nam żołdacy przynieśli wiadro wódki i chleba. Przedtem nigdy wódki nie piłem, a teraz z taką pożądlivością aż dwie miarki golałem; ależ jaki to był specyał, choć rodzima wódka prościucha! Myślałem, że głowa zakręci mi się po tej ilości — ale gdzie tam! Organizmowi tak wyczerpanemu z sił widocznie taka podnieta była konieczną; a gdy porcyę chleba, choć czarnego, ze smakiem strzepałem — to i człowiek nieco odżył. Później nigdy mi w życiu trunek żaden tak nie smakował, jak wówczas ta śmierdziucha.

Nie można narzekać, żeby o nas nie pamiętano, bo za tym posiłkiem kilku żołnierzy dobrze podchmielonych i w humorach wesołych przyniosło nam kilkanaście chałatów, czapek, kapeluszy etc., a nawet zamieszła się w tem brudna i zniszczona watówka (spodnica watowana). Śmiejąc się, mówią:

— Biercie komu potrzeba — to wam »jewreji« (żydzi) przysłali.

Idąc przez miasteczko, widzieliśmy, jak kozacy i piechota bez pardonu zdzierali z żydów czapki, ubrania i co się wzięć dało. Musieli wtenczas swoim zwyczajem dobrze »pagulat« i narabować, z czego pośledniejsza część i nam się dostała, a z tej dla mnie przypadła w udziale przepoccona czapica żydowska, trochę wprawdzie za duża, bo mi ciągle na nos spadała, ale w takiej potrzebie lepsza i taka, jak żadna.

Po dwugodzinnym może wypoczynku poprowadzono nas dalej do Kielc. Doświadczenie zrobione, że trzymanie się pod ramiona ulgę w pochodzie czyni, stosowaliśmy dalej — i tak z wielkim wysiłkiem doszliśmy do Kielc, gdy już północ była. Naprzeciw tryumfatorów wyszła muzyka wojskowa nieznośnie piskliwa. Okrzykom hura! nie było końca — a o ile wrogowie nasi cieszyli się, o tyle my i całe miasto w smutku się pograżżyło.

Już i brama więzienna otworem stanęła i weszliśmy na podwórze wysokim murem zamknięte. Dalej i kaźnia otworzyła się i nas wszystkich do niej wpakowano, a pakowano literalnie w całym znaczeniu tego wyrazu, tak, żeśmy stali jeden przy drugim — i tak wepchniętych i ściśniętych — zamknięto. O ułożeniu się do spoczynku nie było mowy, bo i przykucnąć nie dało się, tak ciasno staliśmy. Zdawało się, że podusimy się; już brakuje powietrza do oddychania. Okno zakratowane było wysoko, zatem podsadziliśmy jednego, aby otworzył, lecz gdy to się nie dało, poradziliśmy, aby szybę wybił, co gdy się stało, na brzęk szkła warta zewnątrz larum podniosła. To nas nic nie obchodziło, gdy nam powietrza trzeba, które gdy przez wybitą szybę weszło, już lżej oddychać dało. Jednakże zawsze zaduch ciężki panował. Tak stojąc ściśnięci w dusznym powietrzu, przemęczyliśmy się do rana.

Dzień dawno był, gdy otworzono drzwi naszej kaźni. Żołnierze, którzy przyszli nas wyprowadzić, gdy na nich para i zepsute powietrze z kaźni buchnęło, jakby jaką siłą trąceni, aż się w tył zatoczyli. Na wpół omdlali stanęliśmy na podwórzu więziennym; na nogach ustać nie mogliśmy; zawrót głowy mącił przytomność i odbierał możność zdania sobie sprawy, co się z nami dzieje. Popatrzyłem po swoich — straszny był ich wygląd: to półtrupcy! Ustawiono nas w szereg i porachowano, rubasznie trącając każdego palcem w piersi. Wtem nadszedł Czengery z oficerami; na ich twarzach zaigrał uśmiech szyderski, gdy spoglądnęli na tych, co w chałaty i czapki żydowskie ubrani byli. Czengery, wskazując na nas z uśmiechem złośliwym, rzeknie do otoczenia swego:

— Oto wojsko polskie!

Palnął nam kazanie po polsku (mówił dobrze tym językiem) na temat zbrodni, jaką popełniamy, narażając kraj na zniszczenie a siebie na śmierć, która jeśli nas na polu nie spotkała, na szubienicy czeka, bo każe nas wszystkich powywieszać i t. p.

Następnie spisano z każdym protokół: Imię jego i ojca, nazwisko; skąd pochodzi; czy brał udział w innych bandach (nie wyrażano się inaczej o oddziałach powstańczych); czy między ujętymi niema herszta (dowódcy) lub jakiego wyższego rangą i t. p. Za wydanie dowódcy lub oficera obiecywali uwolnienie i nagrodę. Jednak nie znalazł się żaden, któryby swego przełożonego zdradził.

Po ściągnięciu z nas generaliów, rozmieszczono po kaźniach więziennych i dano jakąś ciepłą strawę i kawałek chleba, czem nieco posililiśmy się. Ze zmęczenia i senności upadłem na pryczę i na twardych deskach, pomimo, że mnie każdy członek ze zmęczenia bolał, szczególnie najdotkliwiej od uderzeń kolbą i skopania, od czego prawie cały w sińcach byłem — tak twardo zasnąłem, że dopiero na drugi dzień zbudziłem się, a zbudziwszy, z trudem podnieść się mogłem, gdyż byłem bardzo osłabiony i dotkliwie zbolały.

W Kielcach zastaliśmy jeńców z innych oddziałów — a w czasie dwutygodniowego tam pobytu jeszcze przybywało aresztowanych w różnych miejscach i w domu.

Zrozumieliśmy teraz, dlaczego Rębajło z oddziałem niezorganizowanym zupełnie wyruszyć musiał. Otóż cała siła Moskali z Kielc, Chęcin, Sandomierza i innych miejscowości zebrała się, aby uderzyć na Chmielińskiego, bo to był wówczas w tej miejscowości całej oddział dla Moskali najniebezpieczniejszy. Zagrożony Chmieliński wezwał na pomoc Rębajłę. Pojawianie się nasze i Chmielińskiego w tylu miejscach miało na celu nie dać Moskalom się zorientować, do czego ruchy nasze zmierzają i ciągle w błędzie ich trzymać, i dlatego to postanowiono, że razem te dwa oddziały trzymać się nie miały. Chmielińskiemu przez ten manewr udało się z matni wymknąć, a i nam byłoby tak samo poszło, gdybyśmy się byli w górach Świętokrzyskich kilka godzin dłużej zatrzymali lub nie szli do Jeziorek, gdzieśmy się właśnie na Moskali natknęli. Żołnierze moskiewscy mówili nam, że gdy z Chmielińskim spotkać się nie mogli, wracali już do

Kielc, a w tym powrocie na nasz oddział trafili. Od nich także dowiedzieliśmy się, że z samych Kielc wyszło 12 rot piechoty, pół baterii artylerii, dwie sotnie kozaków i szwadron dragonów, a z innych miejscowości także nie mało — było więc tej czerni parę tysięcy. Cóż nasza garstka wobec takiej przewagi znaczyła i co zdziałać mogła?

W Kielcach pozwolili nas jadłem z miasta zasilać, a nawet ubranie i bieliznę niektórzy otrzymywali. Ja dostałem ciepły garnitur, czapkę zimową i dwie pary bielizny, a z temi rzeczami trzy ruble. Nie mogłem się dowiedzieć, od kogo, dopiero w Radomiu dowiedziałem się, o czym będzie w dalszym ciągu opowiadania. Przebrałem się zaraz i obrzydliwy kożuch, śmierdzący Moskałem, i czapkę śmierdzącą zaraz wyrzuciłem. Szczególnie bielizna przydała się, bo już robactwo zaczęło się pojawiać i dokuczać. Drugą parę bielizny dałem memu sąsiadowi na pryczy, bo i on zmiany teje równie potrzebował. Po tych marszach z butów moich kawałki zostały; w potrzebie tej nabyłem od żołnierza za dwa ruble nie eleganckie ale mocne buty, a pozostały rubel stanowił mój majątek.

Po dwutygodniowym pobycie w Kielcach wylizałem się (jak wyrażają się) z sińców, chociaż jeszcze ból w kościach odzywał się. Po tym czasie mamy wyruszyć w dalszą drogę do Radomia. Gdyśmy z więzienia wyszli, zatrzymują nas na rynku i silnym łańcuchem konwoju otaczają; było nas zwyż dwustu. Jesteśmy zdziwieni, że tak silnym łańcuchem konwoju otaczają nas i dlaczego? jak widzimy, oprócz tak liczego konwoju tyle wojska wyruszyło naprzód, a za nami także jest dosyć i armaty prowadzą. Ażali my bezbronni tak ich trwożymy? Musi być inny tego powód...

Wiele z pań kieleckich chce się przez konwój do nas dostać; niektórzy mają lzy w oczach, każda z pakietem w rękach — niosą nam posiłek na drogę, a bez względu na brutalne odtrącanie ich przez żołdaków, pchają się, aby dar swój nam doręczyć. Proszą i błagają o to

gburów tych, którzy w odpowiedzi na to miotają im grubiańskie i najsprośniejsze wyrazy. Krew zakipiała w nas, gdyśmy to usłyszeli, a z oburzenia, bez względu na następstwa, byliśmy gotowi z gołemi rękoma rzucić się na te bydłęta. Stajemy w obronie honoru naszych rodaczek i zaczynamy żołnierzom pięściami odgrażać się, z czego powstała wrzawa. Komendant konwoju na to każe żołdactwu użyć broni i bagnetami te zacne panie daleko odpędzić. Gbur był ostatni! doborem wyrazów sprośnych, uwłaczających czci każdej Polce, a skierowanych wprost do naszych pań, chciał zakasować żołdactwo swoje. Ze wstydu i żalu płakały biedaczki, a nam z niemocy pomśczenia tej krzywdy im wyrządzonej — krew w żyłach ścinała się.

Nareszcie dano sygnał do wymarszu. Pożegnaliśmy te wielkiego serca patryotki, jakimi to niewiastami mało który naród poszczycić się może, wyrzuceniem czapek do góry. Niech wam będzie cześć za waszą miłość i poświęcenie drogie naszemu sercu i niezatarte w pamięci, rodaczki!

Idziemy dość długo... nareszcie spostrzegamy niezwykle ruch: otaczają nas jeszcze większym kordonem wojska; komenda nakazuje żołnierzom pogotowie; wydają rozkazy. Kozacy to w jedną to w drugą stronę pędzą — coś musiało nadzwyczajnego zajść! Między nami szept: zapewne niedaleko muszą być nasi i chcą nas odbić. Widać na prawo las, pod którym kozacy uwijają się — wyciążamy wzrok w tę stronę, czy stamtąd nie wysuną się nasi i nie błysnie nam nadzieja wybawienia! Z tą nadzieją i trwoga zmieszana, bo łatwo domyśleć się, że jakkolwiek wypadłby rezultat napadu naszych w celu odbicia nas — jako bezbronni — padlibyśmy wpierw w części lub w całości ofiarą, zanim znaleźlibyśmy się między swoimi.

W takiej niepewności ogromnie jesteśmy rozdrażnieni — chcielibyśmy się wzrokiem porozumieć w razie, gdyby nasi zaatakowali Moskali, jak jednomyślnie nam postąpić? W naprężeniu słuchu i wzroku idziemy mar-

szem przyspieszonym. Widzimy zdenerwowanie i niepokój Moskali. Już kawał drogi uszliśmy w takim nastroju ducha i nerwów, gdy zobaczyliśmy, że kozacy z pod lasu spokojnie wracają — a w końcu i wszystko uspokoiło się.

Jak później dowiedzieliśmy się, Moskale mieli wiadomość, która mogła być prawdziwą a może zmyśloną, iż nasi chcą zrobić zasadzkę w celu odbicia nas. Na tę pogłoskę taka masa wojska moskiewskiego z nami wyszła — przeto trochę nam zadowolenia zostało, że Moskałom ta pogłoska takiego strachu napędziła. Po parugodzinnym pochodzie nastąpił odpoczynek, poczem dalej ruszyliśmy do Szydłowca na noc, a stamtąd nazajutrz do Radomia.

Po przybyciu do Radomia na drugi dzień przysłali nam z miasta chleba, bułek i tyle innych wiktuałów, żeśmy się tem wszyscy obdzielili i tego dnia o wikt więzienny nie dbali.

W Radomiu zachorowałem; silna gorączka z bólem wszystkich członków, głowy i gardła zwała mnie z nóg. Koledzy widząc stan groźny, bo i pokarmów żadnych nie przyjmowałem i rozpalony gorączką majaczyłem — zawezwali lekarza. Przyszedł wojskowy doktor i po zbadaniu kazał zabrać mnie do szpitala wojskowego, gdzie było kilkunastu naszych rannych i chorych. W kilka dni gorączkę straciłem, chociaż osłabienie jeszcze znaczne, czułem się jednak lepiej, że wstawać na chwilę mogłem. Jeszcze wtenczas nie wolno było paniom z miasta do szpitala przychodzić i chorymi się opiekować.

Jednego dnia siedzę na łóżku, zatopiony w smutnych myślach, a wtem drzwi otwierają się i żołnierz wprowadza jakąś panią. Wszyscy zwrócili ku drzwiom spojrzenie z zaciekawieniem, gdyż gość w sukni jeszcze się tu nie pokazał — i ja w tę stronę spojrzałem. Lecz co to?! Czy mnie wzrok myli, czy to złudzenie?... tak ta pani podobna do mojej matki — tylko, zdaje mi się, że jest starszą i mizerniejszą. Jeszcze nie jestem pewny, kto to, a fala uczuć przejmuję mnie, serce zaczyna bić gwałtownie, napływ krwi oddech mi zapiera! Niemal strętwiałem całą,

gdy ta pani chwiejnym krokiem postąpiła i wzrokiem zaniepokojonym objęła cały lokal, a w nim nas wszystkich. Gdy oczy nasze spotkały się, w tej chwili smutne jej oblicze rozjaśniło się. Poznała mnie! i ja już poznałem, że to moja matka! Jakby iskra elektryczna, niewysłowione uczucie miłości i radości wstrząsnęło mną; zrywam się z pościeli i w jednej chwili jestem w objęciach mojej najdroższej, najmilszej matki! Ona, gdy uczuła bicie serca mego i już pewna poszukiwań swych, wybucha spazmatycznym płaczem; ściska mnie, całuje, a nie może przemówić — skurcz serca zdławił słowa!.. Ja także pod wrażeniem niewysłowionego szczęścia i z rozczulenia nie wiem, co się ze mną dzieje — zalałem się także łzami. Posadziłem matkę na łóżku, przycisnąłem do mego serca i czekam, aby przyszła do równowagi i uspokojenia. Po chwili, gdy nastroj naszych nerwów pozwolił na to, uzyskaliśmy jedno i drugie i mówić mogliśmy już swobodnie.

— Z mojej strony posypały się pytania: co słychać w domu, jak się ojciec ma, co się stało z Kazimierzem, bratem moim, po rozbiciu partyi Czachowskiego i t. p.

— W domu — rzekła matka — żadna zmiana nie nastąpiła. Ojciec zaniepokojony wami, krzepi się zawsze dobrą myślą. Kazimierz po rozbiciu Czachowskiego, skrył się w jakimś dworze a stamtąd dostał się do Galicyi. W nocy przy przejściu granicy objeszczyki łapali go i za nim strzelali, żadna go jednak kula nie trafiła i szczęśliwie dostał się do domu. Po twoim wyjeździe o Ludwiku żadnej świeżej wiadomości nie mieliśmy. (Ludwik brat mój starszy, jak wspomniałem, udał się w Lubelskie i tam do niewoli wzięty). Na wspomnienie o nim znów łzami zalała się. Ciężkie westchnienie, wydobyte z piersi, zdawało się, że je rozsadzi.

— Boże mój, Boże! jak ciężkich chwil dożyłam! Czy tyle boleści, tyle niepokoju i zmartwienia serce moje zniesie?!

Gdy po tem wzruszeniu uspokoiła się, następnie opowiedziała mi, jak się o mnie dowiedziała.

— Ojciec — mówi — dostaje prywatną drogą list z Kielec z podpisem (jeśli mnie pamięć co do tego nazwiska nie myli) »Majewski«, w którym tenże donosi, że jesteś wzięty do niewoli i w Kielcach znajdujesz się. Przytem donosi, że posłał ci do więzienia ubranie, bieliznę i 3 ruble. Nadto nic więcej o tobie nie donosi, a głównie, czegośmy się obawiali, czy ranny nie jesteś — o tem wzmianki nie było; także i adresu swego nie podał. Jednak gdy z tą wiadomością wartość doręczonych ci rzeczy podał, ojciec na te same ręce należytość z podziękowaniem za pomoc tak w porę udzieloną ci — odesłał.

Nadmieniam przy wspomnieniu o tem, że tej zagadki pomimo usilnych starań nie rozwiązałem i osoba ta w domysłach pozostała.

— Gdy taka wiadomość o tobie nas doszła, zaraz wystarałam się o przepustkę i nie zważając na nic, chociaż przedstawiali mi, że cała wiadomość, kto wie, czy nie jest sfingowaną dla czyjegoś zysku, również niebezpieczeństwo podróży w tak burzliwym czasie wykazywano i wątpliwość podsuwano, czy będę mogła zobaczyć cię i tem podobnie straszono mnie — ja jednakowoż nie zważałam na nic i puściłam się w tę podróż, aby choćby cię tylko zobaczyć, gdyż dla matki trwoga i niebezpieczeństwo nie istnieje, jeśli chodzi o dziecko.

Opowiedziałem i ja moje przygody, a gdy skończyłem, matka moja wzruszona odezwała się:

— Synu mój, widać, że Matka Boska wysłuchała mej prośby, kiedy cię żywym widzę; niech cię nadal ma w Swej opiece i wróci do domu, abym cię mogła z ojcem do serca przycisnąć.

Przez cały czas naszej rozmowy tuliła mnie do siebie z taką czułością macierzyńską, jak bywało, gdy byłem małym dzieckiem — i ja przypominając sobie te najszcześliwsze czasy, całowałem te drogie ręce, co mnie nianczyły!

Jeszcze na drugi dzień przyszła do mnie, aby się ze mną pożegnać. Scena rozstania naszego była tak rozrze-

wniająca, że na całe życie zostanie mi w pamięci. Myśl o niepewnym mym losie, że może ostatni raz widzę tę moją ubóstwianą matkę, anielskiej dobroci, rozczuliła mnie do tego stopnia, żeomal mi serce z żalu nie pękło. Jakże strasznie ciężkie było to rozstanie a tem boleśniesz, gdy zaraz, nieodwołalnie nastąpić musiało, a szczególnie na myśl, czy kiedy przywitanie nastąpi?! Już my się pożegnali... już oblała mi czoło łzami a ja jej ręce — i zdobyła się w końcu na siłę, aby odejść — i odeszła... Ja od łez wstrzymać się nie mogę, bo myśl ciśnie się do mózgu, serce szarpie i krwawi, że może, może ostatni raz tę dla mnie anielską, najmiłszą postać widziałem!... Wtem drzwi otwierają się i kto wchodzi? Biedna moja matka wraca się, aby jeszcze raz na mnie spojrzeć: jej serce nie mogło znieść tego rozstania, zdawało się jej, że w tym bólu ulgę znajdzie, gdy mnie zobaczy — i wróciła!... Wszystko jednak ma swój koniec i bolesne rozstanie nasze nastąpić musiało.

Z tego poznałem, że miłość matki dla dziecka niezwykłą energię w niej wywołać może. Sama, wątła kobieta, nie znając miejscowości, w tak niepewnym czasie wybiera się samiotka pierwszy raz nieznanemi drogami w tak daleką i uciążliwą podróż. Nigdy nie była w Kielcach i tam nikogo nie znała, a jednak dopytała się o mnie i dowiedziała się tam, że do Radomia wysłany zostałem. Zatem niema namysłu — nie poświęca jednej chwili dla wypoczęcia po tak uciążliwej drodze — zatem stanowczo dalej w drogę!... W Radomiu tak samo jest zupełnie obcą — tam dla miejscowych, co mieli koneksye i wpływy, trudno było dostać się do krewnych lub znajomych, a co dopiero obcej osobie, nie znającej miejscowych stosunków, ani nikogo, toby jej dopomógł. Weźmy na uwagę, na ile narażała się niebezpieczeństw, ile natrafiała przeszkód, które trzeba było usunąć, zanim się do mnie dostała. Po wertepach, skałach trudności różnych matczyzna miłość prowadziła ją; ona wszystko przemogła, trudności przełamała i dotarła tam, gdzie ją serce ciągnęło.

Chwile w szpitalu radomskim nastęrczały mi niespodzianki, osładzające pobyt tam. Wkrótce po wyjeździe mojej matki panie tamtejsze prawie szturmem zdobyły pozwolenie odwiedzania chorych w szpitalu, a moja matka może pierwsza ten wyłom zrobiła. Te, które pozwolenie uzyskały, miały to krewnych, to znajomych rannych lub chorych i tymi z poczucia serca i patryotyzmu opiekowały się. Między temi paniami poznałem panią Kamińską, jedną z tych szlachetnych pań, które z prawdziwem zaparciem poświęcały się niesieniu ulgi i pomocy naszym jeńcom. Pani Kamińska szczególnie zajęła się losem naszych i często odwiedzała szpital. Przy sposobności tych odwiedzin przybliżyła się do mnie i zaczęła rozmowę, zapytawszy się o moje nazwisko i dopytując się, skąd jestem, czy czuję się zdrowszym, czy czego nie potrzebuję i t. p. Zaraz okazała mi niezwykłą życzliwość i zainteresowanie się mną, a czyniła to z taką serdecznością i uprzejmością, że miłe jej słowa wpadały do serca i tak się tam wryły, iż pamięć o niej z wdzięcznością przecho-wuję. Była to osoba dystygnowana i niezwykle miłej powierzchowności.

Po poznaniu się z panią Kamińską na trzeci dzień wchodzi do naszej przebywalni jakaś pani w średnim wieku, przystojna, elegancka i szykownie ubrana, a za nią dwie młodziutki i milutkie panienki i pyta się:

— Który z panów jest pan Zielonka?

Podnoszę się z łóżka, bo jeszcze zupełnie zdrow nie byłem i odzywam się:

— Mam przyjemność przedstawić się.

Tu pani podchodzi do mnie, podaje mi rękę i przedstawia się:

— Lubieniecka z domu Zielonczanka, a to moje córki, Kamila i Wiktorya z pierwszego małżeństwa Bieńkowskie.

I mówi dalej:

— Od pani Kamińskiej, która tu pana poznała, dowiedziałam się o panu, a że nazwisko pana może związane jest z moją rodziną, a może i z Dominikiem Zie-

lonką, pułkownikiem w armii Napoleona, a który to pułkownik był niedalekim moim krewnym...

— A mego ojca — przerywam — »stryjem«.

— W takim razie — mówi pani Lubieniecka — jesteście w kuzynostwie. Witam zatem pana jako kuzyna; boleśnie mi jednak, że poznaję kuzyna w tak smutnych warunkach, które szczególnie nam kobietom są bardzo bolesne — a nad kuzynem tem więcej boleję, że krwią tak niedalecy.

Na to wynurzenie pocałowałem ją w rękę, a panią drobne rączki uściskałem i odzywam się:

— Zapominam w tej chwili o mojem położeniu i z duszy rad jestem, że ono dało mi sposobność poznać zacne kuzynki.

W dalszej rozmowie zapoznała mię z bliższą i dalszą swoją rodziną, a ja nawzajem z moją — i w tym krótkim czasie byliśmy już jak dobrzy dawni znajomi.

Pani Lubieniecka wyrobiła sobie kartę na codzienne odwiedzanie mnie, z czego korzystała i z córkami bardzo często przychodziła. Jakażto miła, serdeczna i pocziwa osoba! Za każdym widzeniem przywiązanie do niej rosło; a panią takie zachwycające i piękne, nad swój wiek wykształcone, w rozmowie i obejściu szczere i swobodne, co wskazywało piękny charakter i staranne wychowanie, a przy zaletach, któremi je natura wyposażyła, czyniło je jeszcze powabniejszymi. W następnych odwiedzinach, przy bliższem poznaniu ich przymiotów duchowych, związał się między nami stosunek jak brata z siostrami. Z serdecznego i otwartego postępowania ze mną, nabrałem przekonania, że żywią dla mnie przywiązanie i prawdziwie rodzinne uczucia, w czem i ja nie zostałem dłużnikiem. Miałem dowody ich pamięci o mnie, gdyż zawsze, ile razy zjawiły się, coś przyniosły, aby uprzyjemnić mi pobyt w więzieniu. Z powodu tego czułem się upokorzonym, że niczem zrewanżować się nie mogłem. Przed wyjściem w dalszą drogę dostałem od nich tornister własnej roboty, bardzo praktyczny, z taśmami do przymoco-

wania i noszenia na plecach, w nim prócz bielizny wiele praktycznych drobiazgów. Ten tornister w pochodzie na Sybir wielką usługę mi czynił, a na noclegach za poduszkę także służył.

Za ich staraniem ozdrowiałem zupełnie, ale jeszcze dwa tygodnie przesiedziałem w szpitalu. W czasie mego pobytu tam odtransportowano do Warszawy partyę, z którą przyszedłem. Nastąpić ma druga ekspedycja, do której i mnie przydzielają. Moje panie używają wszelkich sposobów i starań, aby mnie i teraz nie wysłano; biorą się zatem na sposób, jaki im ktoś zalecił — i dają mi pół proszku emetyku z radą, bym zażył, gdyby mieli mnie prowadzić, i informują:

— Ten proszek sprawi nudności i przyspieszy bicie pulsu a także spowoduje zaburzenia w organizmie; skarżyć się będziesz, żeś słaby i iść nie możesz, co doktor pewnie uwzględni i zatrzyma cię, bo my już z nim mówiły o tobie i prosiły, aby miał wzgląd na ciebie i zostawił jeszcze w szpitalu.

Postąpiłem strikte według tej ordynacyi i gdy tylko uwiadomiono mnie, że mam wyruszać w drogę, zażyłem ten proszek — no i czekam skutków. Niestety okazało się, że i ta dawka była za dużą, bo skutek w zupełności nastąpił i nim lekarz wojskowy zaczął mnie badać, przyszedłem do stanu normalnego. Moje pozowanie na niezwykle cierpiącego, kurczenie się, chwytywanie się za żołądek, robienie odpowiednio bolesnego grymasu twarzy, nie mogło lekarza rozczulić i po zbadaniu mnie orzekł, że jestem zdrow i iść mogę. Gdy te wybiegi nie udały się, o czem moje nieocenione opiekunki dowiedziały się a z nimi i inne panie, poznane w szpitalu — pożegnały mnie czule i z żalem. I ja rozrzewniłem się, widząc tyle serdeczności dla mnie i opuszczałem Radom z ciężkiem sercem, którego większą część tam zostawiłem.

Wiadze wojskowe w Radomiu względniej i więcej po ludzku obchodziły się z nami, jak w Kielcach. Matka moja mówiła mi, że brutalnego obejścia tam nie doznała

i przy pomocy jakiegoś zacnego pana, który sam matce z pomocą ofiarował się, uzyskała pozwolenie dla widzenia się ze mną; tenże pan nie żałował trudów i nie opuścił matki mej, aż starania wspólne skutku nie odniosły.

Wprowadzono nas z Radomia pod silną eskortą. W pochodzie tym do Warszawy miałem jeszcze jedną niespodziankę. Na pierwszym przystanku, gdzieśmy się dla wypoczynku zatrzymali, podchodzi do mnie jakiś młody, przystojny oficer i łamaną mową po polsku pyta się, czy czego nie potrzebuję? Zdziwiony tem, dziękuję za tę troskliwość i odpowiadam, że tego, czegobym pragnął, pan porucznik dać mi nie może.

— Jednak mógłbym panu pieniędzmi służyć, co w drodze zawsze się przyda.

— I za to dziękuję — odpowiadam — trochę mam, to mi wystarczy.

Na tę odpowiedź, jakby nią obrażony, prędko odwrócił się i odszedł — i więcej go nie widziałem. Zdziwiony takim niezwykłym zdarzeniem, nie mogę zdać sobie z tego sprawy i domyślać się tylko mogę, że to pewnie znajomy moich kuzynek chciał mi tę przysługę zrobić. Po powrocie do kraju mówiłem o tem z kuzynkami, te jednak zapewniały, że nie znały w Radomiu żadnego oficera.

Po trzechdniowym marszu jesteśmy w Warszawie; tam zaprowadzili nas do cytadeli — tej sławnej cytadeli, znanej ze swej grozy każdemu Polakowi. Otwierają bramę i wchodzimy w paszczę tego potworu, który już tyle ofiar pochłoniął. Dreszcz przebiegł po ciele... Ponure budynki: to kazamaty; w oknach kraty, przy nich miejscami kosze domyślać się kazały, ile tam niewymownych boleści, ile niedoli przebywa. To ziemskie piekło tam! Na myśl, co wewnątrz tego dzieje się, jakieś trwożliwe przynębnienie szponami wpija się w serce, gdy staną w umyśle obrazy tortur, śmierci w mękach i tyle egzekucyj wykonanych na naszych. Strasznie się robi! bo jesteśmy w miejscu, o którym ze zgrozą słuchało się tyle opowiadań i opisów czytało; a nie wiemy, co nas czeka? Niedo-

brze... kiedy nas tu wprowadzono. Mimowoli jakiś lęk wkrada się do duszy — może i z nami być to, co było z tymi, których mordowano tu — a za co? Za miłość ojczyzny, za wiarę i że narodowości swej zaprzec się nie chcieli, bo te uczucia w oczach wrogów stokroć gorsze, niżli zbrodnia najpotworniejsza!

Jakże silnie w tym wzruszającym nastroju odezwał się żal za dawną naszą potęgą, tak sromotnie złamaną, czy przez nemezis dziejową, czy z własnej winy? — dosyć, że my potomkowie tych bohaterów — dziś niewolnicy na własnej ziemi! Na tę myśl serce się krwawiło — i z żalu za dawną sławą majaczyło się nam, jakby nad bramą widniał złowrogi napis: »Vae victis«! (Biada zwyciężonym).

Umieszczono nas w kilku kaźniach. Wikt dawano bardzo zły, a gorzej, że niezdrowy, z czego chorowaliśmy na żołądki. Gdy musiało się wyjść, stojący przy drzwiach żołdak z karabinem wypuszczał pojedynczo. Wzdłuż korytarzy rozstawieni byli żołnierze pod bronią w gęstych odstępach — natenczas wypuszczający żołnierz krzyknął »prynia!« — to wzdłuż korytarzy, jak się przechodziło obok żołnierza, to ten słowem »prynia!« podawał następnemu, aż wreszcie ostatni już u celu tej wędrówki wrzasnął tak, aby go wszyscy słyszeli »prynia!« i tak samo odwrotnie: pierwszy stamtąd wrzasnął »prynia!« a ostatni u drzwi kaźni dał znać, że »prynia!«. Ten przykry wrzask, często dla hecy przez żołnierzy przechodzącemu prawie do ucha wykrzyknięty na cały głos — słyszało się cały dzień.

Na noc wnoszono do kaźni duży szafel drewniany; po woni, jaką wydzielał, można się było domyśleć, do jakiego użytku przeznaczony. Moskale to naczynie nazywali »paraszka« i my już tak samo nazywali. A utarło się to miano i stało się popularne, kiedy przez całą drogę w Sybir takie naczynie pod tą nazwą na noc do kaźni wnoszono. Równocześnie, formą podobne naczynie, drewniane także, wnoszono z wodą i w niedalekiem oddaleniu od »paraszki« stawiano. Stąd często się zdarzało

z powodu takiego blizkiego sąsiedztwa niepożądane »qui pro quo« w użyciu tych naczyń.

W cytadeli wszelka komunikacya z miastem była surowo zabroniona, a widzenie się z kimkolwiek wykluczone. Żadna wiadomość z miasta lub wogóle z kraju nie dochodziła. Warcie najsurowiej było zakazane z nami rozmawiać a nawet odezwać się. Na nasze pytanie każdy stawał się głuchy i niemy. Brak wszelkich wiadomości i niepewność jutra denerwowała nas. W tem położeniu wszedł raz dyżurny oficer do naszej kaźni i grzecznie nas pozdrowił; wyglądał na dobrego człowieka i wdał się z nami w rozmowę, co nam dało zachętę dowiedzieć się cokolwiek o naszym tu losie; pytamy się więc w najlepszej wierze, czy nie wiadomo mu, jak długo tu trzymać nas będą i co z nami myślą zrobić? W jednej chwili maska dobrego oblicza spadł mu z twarzy, a wystąpił szyderski uśmiech, i jednym słowem odezwał się »powieszają!« Oburzeni na łotra za jego kpiny, zaczynamy go bezczęścić, a on na to wychodzi i we drzwiach donośnym głosem wrzeszczy:

— Powieszają wszystkich co do jednego!

Traktowanie nas szubienicą było na porządku dziennym; od żołnierza do generała słyszało się to — w końcu oswoiliśmy się z tem, jak z chlebem powszednim.

Raz była inspekcyja z jakimś generałem na czele, a z nim kilku starszych oficerów i jego adjutant, młody oficer. Weszli właśnie w tę porę, gdyśmy śpiewali pieśń: »Stój carze, stój!« a z chwilą, gdy się drzwi otworzyły, dalszy ustęp: »będziesz, będziesz wisiał carze!« Za wejściem inspekcyi śpiew ustał. Że generał i inni oficerowie na ten śpiew nic nie powiedzieli, wyglądało na to, że na słowa tej pieśni uwagi nie zwrócili — tylko adjutant podchwycił ostatni wiersz i śmiejąc się do nas, powtarza z rosyjska po polsku: »Bjdziesz, bjdziesz wisiał carsze!« Spodziewaliśmy się, że z tego wynikną dla nas przykre następstwa, a co najmniej, że zabronią nam w murach cytadeli śpiewu, co byłoby karą dość dotkliwą, bo śpiew

stanowił w tych nudach pewne urozmaicenie. Skończyło się na przypuszczeniach, gdyż przykre następstwa nie przyszły. Jak wszędzie po więzieniach, tak i w cytadeli urozmaicaliśmy sobie czas śpiewem, deklamacyami lub opowiadaniem różnych przygód, anegdotek itp.

Bogu dzięki, że nas długo w cytadeli nie trzymali. Jednej nocy wchodzi oficer, budzi nas i woła: »wstawat' w pachod«. Zbierać nie było co, zatem za chwilę byliśmy gotowi do wymarszu. Otoczeni wojskiem idziemy przez miasto; dowiadujemy się, że nas na kolej prowadzą. Nie pamiętam, ilu nas było. Zakazano nam rozmawiać i konwój również cicho zachowywał się, a żołnierze w swych ciężkich butach starali się cicho stąpać. Pomimo tej ciszy okienka i okna w kamienicach otwierały się i słychać było nie z jednego płacz stłumiony, żaloszny a przejmujący do głębi. Taki płacz tylko nad grobem słyszy się, gdy trumnę z drogiemi zwłokami na wieczny spoczynek do ziemi kładą! Niewypowiedziany smutek opanował nasze dusze, jakby w przeczuciu stąpania do grobu, a niejednemu łza do oczu cisnęła się. Uważamy, że konwój nasz posmutniał i głowy pochylił. Ten, co obok mnie szedł — a może i takich więcej było — rękę do oczu podniósł, zapewne łzę ocierał. A może to był Polak? nie wiemy... a jeśli Moskał, nie dziwmy się, bo taki płacz i kamieńby wzruszył. Takim płaczem, co serca rozdziera i duszę przejmuje do głębi, że-gnały nas niezrównane tak w miłości jak i poświęceniu Warszawianki.

Na kolei posadzono nas do wagonów 3-ej klasy. Na-przeciw każdego żołnierz z karabinem w ręku — i niedługo pociąg ruszył. Wieziono nas do Pskowa; nie wysiadając jechaliśmy dwie doby. Przejeżdżaliśmy przez Wilno i Dynaburg. W drodze żyliśmy herbatą, chlebem i bułkami. Herbatę na każdej większej stacyi można dostać, którą żołnierze przynosili nam w swoich menażkach, a że cukier był drogi, uczyliśmy się pić z »prykusko« i tę pierwszą lekcję braliśmy od naszego konwoju. Na żywność z Warszawy dali nam pono po 20 kopiejek, za które na stacyach,

gdzie pociąg dłużej zatrzymywał się, kupowali nam żołnierze, jak wspomniałem, herbatę, chleb i co było z żywności najtańszego.

W drodze opowiadali nam ci żołnierze o potyczkach z naszymi, przyczem blagowali bezmiernie. Oni zawsze zwyciężali, choćby dziesięciu naszych na Moskala napadło — on, bohater taki, pomordował wszystkich! Uśmialiśmy się z ich chełpienia i łgarstwa, gdy oni przysięgali się, że prawdę mówią. Opowiadali nieprawdopodobne historie, a na to jedna nasza odpowiedź była: breszesz jak sobaka. Naprzeciw mnie siedzący żołnierz opowiada, że raz we trzech szli przez las, a wtem spostrzegamy »miateżnika« (powstańca) przykucniętego pod drzewem. My wołamy do niego: »rzuć broń!« a on woła »chodź tu!« Kiedy tak chcesz, to pójdziemy do ciebie i nadziejemy cię na bagnety! Więc my do niego z bagnetami... ale sukinsyn to był nie człowiek, ale czort jakiś, oparł się o drzewo i tak machał bagnetem, żeśmy go zakłuć nie mogli i musieliśmy do niego strzelać. A durak był, że żywcem nie dał się wziąć, bo my przecież dobrzy i cześni (szlachetni) ludzie, nicbyśmy złego nie zrobili, my chcieli go tylko do niewoli zabrać, gdyż za to byłaby dla nas pochwała, no może i nagroda, a tak przez jego duraczestwo to nas ominęło. Kłamiesz — mówię — on przecie byłby was jak sobaki wystrzelał, zanimbyście się do niego zbliżyli. »Co wy sobie myślicie, że my takie »duraki« — przecież widzimy, że kiedy nie strzela, to napewno naboji nie ma, — zatem śmiało idziemy do niego i tak było, jak my to dobrze pomiarkowali. Zostawiliśmy go jeszcze trochę żywego i jako cześni ludzie nie dobili go«. Ale na pewno obdarli — mówię. »Nie było co z niego ściągnąć, bo to drań jakiś (łapserdak), ubranie na nim podarte i ani kopiejki nie miał przy sobie; jeszcze tylko czapka niczego, to my się za nią wódki napili«. Pytam się, co się z nim stało? »My go tak zostawili, pewno »padoch« (zdechł). Choć temu opowiadaniu nie bardzo wierzyłem, przyszła mi jednak myśl, że gdyby tak rzeczywiście było, a on bez opieki ciężko ko-

nał, jakżeżby to straszne było! I gdym wszedł myślą w jego położenie, z żalu iza mi się w oku zakręciła. Co widząc żołdak ten, zaczął po kieszeniach szukać i wydobyl pomiętą kokardkę, a dając mi ją, mówi:

— Weź sobie to na pamiątkę, kiedy ci za nim żal — on to miał przy czapce.

Tę kokardkę miałem z sobą na Syberyi i do kraju przywiozłem.

Przyjeżdżamy do Pskowa, gdzie miano nas sądzić, ale inne postanowienie nastąpiło i tam do tego nie przyszło. W Pskowie mieliśmy większą swobodę, nie roztaczano nad nami ścisłego dozoru więziennego; w dzień nie zamknięto; było nam wolno po podwórzu więziennem chodzić, i z miasta, co komu potrzeba — o ile kto funduszami rozporządzał — przez żołnierzy sprowadzać.

### III.

Przybycie do Petersburga w aresztanckich wagonach. — Umieszczono nas w peresylnym domie. — Wzorowy tam porządek. — Perfidyja moskiewska. — Nabożeństwo w kaplicy. — Z peresylnego domu do tury, brud i robactwo tam. — Podróż koleją do Moskwy. — Przykrości takiej podróży. — Pochód przez Moskwę. — Kremel i osobliwości jego. — Charakter miasta Moskwy. — Umieszczają nas w Titowskich koszarach. — Dłuższy pobyt tam. — Urozmaicamy sobie czas w tem więzieniu. — Wielkanoc ruska w Moskwie. — Dzwony. — Ilość cerkwi. — Sposób żywienia się. — Kandalszczycy i kandały. — Podajanie. — Ubiór kazonny aresztancki. — Wyjazd z Moskwy. — Przyjazd do Włodzimierza. — Sąd wojskowy zasądza mnie na posilenie do wschodniej Syberyi. — Niżny Nowogród. — Ruch tam handlowy i transportowy. — Kazań. — Głód. — Bierny opór przed dalszym transportem. — Podwyższenie karmowego. — Gubernia wiatska. — Gubernia permska. — Narody w tych guberniach. — Ostatnia stacya etapowa w Europie. — Słup graniczny. — Ekaterinenburg.

W aresztanckich wagonach wiozą nas do Petersburga; okna w tych wagonach zakratowane a w górze umieszczone, że chcąc coś zobaczyć, trzeba na ławkę stawać. Po dobie takiej podróży stanęliśmy w Petersburgu. Przeprowadzono nas przed budynek dość okazały; wchodzimy do środka: kurytarze okazałe, czysto utrzymane, nie dają się uczuwać odoru więziennego, z jakim mieliśmy już czas zapoznać się. Wchodzimy do wielkich sal, gdzie dużo światła i czyste powietrze; czystość tam, jak na więzienie, nadzwyczajna — podłoga lakierowana błyszczący się — łóżka rzędem z pościelą czystą, ponakrywane porządnymi ko-

cami, poduszka powleczone (napełniona słomą). Przeznaczony do tej sali posługacz strzeże czystości i porządku, prochy ściera, najmniejszą plamkę na podłodze usuwa, pościel na łóżkach poprawia, aby wszystkie łóżka jednakowo i równo zaścielone były; gdyśmy się rozglądnęli, nie chcemy oczom naszym wierzyć i pytamy się, gdzie jesteście? Mówią nam, że to zabudowanie, to »peresylny dom«, przeznaczony dla więźniów politycznych, chwilowo tu zatrzymanych do dalszej ekspedycji.

Tu występuje jaskrawo znana światu perfidya moskiewska dla mydlenia oczów Europie i całemu światu, tak chytrze zawsze obmyślana. Tu starają się nawet o to, aby dygnitarzy zagranicznych i członków rodzin panujących wprowadzać i pochwalić się, jaka Rosya kulturalna i postępową... Podziwiającie! Patrzcie się — jak my więźniów traktujemy, jacy my postępowi, jacy ludzcy! Lecz gdyby tych gości zaproszonych wprowadzono do któregośkolwiek innego więzienia — toby ich zgroza przejęła! O to jednak można być spokojnym, że to nigdy nie nastąpi, a jeśliby który z nich żądał koniecznie, aby mu i inne więzienia pokazano, to potrafią znaleźć taką przeszkodę, że zamiar ten stanie się niewykonalnym.

Na drugi dzień po przybyciu naszym dyżurny oznajmia nam, że nabożeństwo w kaplicy więziennej rozpoczyna się i jeśli który z naszych chce pójść, może z łaski miłociwego cara korzystać — »bo on wielkoduszny i taki dobry modlić się nie wzbrania!« Gdy to wygłosił, zdawało nam się, że sobie kpi, ale z jego poważnej i seryo miny widać było, że mówił to pełen przekonania o tej prawdzie. Wielu poszło, między tymi i ja. Nas postawiono osobno; kilku żołnierzy bez karabinów — to cały konwój — jednak dobrze nas mają na oku. Publiczności z miasta było dosyć. Pop zaczął nabożeństwo dla mnie ciekawe, bo pierwszy raz na prawosławnym byłem. Chór śpiewaków zaimponował nam pięknym śpiewem na głosy, ale nabożeństwo nie zbudowało, raczej odniosłem wrażenie jakoby przedstawienia teatralnego. Zdawało mi się, że widzę nie mo-

dłujących się, lecz raczej na ćwiczeniach gimnastycznych, bowiem ciągłe machanie rękami i zginanie się ku ziemi dla pokłonów, więcej na te ćwiczenia, jak na modlitwę wyglądało. Nabożeństwo bowiem prawosławne przeważnie zasada się na ikonach, dzwonach i pokłonach. Pomyślałem sobie: każdy jak umie chwali Pana Boga.

Kilka dni byliśmy w tym domu peresylnym. Jedzenie, choć aresztanckie, jednak lepsze, jak po innych więzieniach.

Wyszliśmy z Petersburga w dalszą drogę, ale nim zaprowadzono nas na kolej, pokazano nam »nastojaszcz« (prawdziwe) moskiewskie więzienie, aby tem przed dalszą podróżą zatrzeć w pamięci wspomnienie tego »na okaz«, jak opisałem, więzienia dla zagranicy prezentowanego — a zobaczycie, co my wam teraz pokażemy! Zaprowadzono do tiumry (kryminału), ogromnego budynku, jakby twierdzy jakiej, gdzie brud i fetor charakterystyczny więzienny rozpanoszył się, a robactwo różnego gatunku hula! Muszę wspomnieć, że w innych mniejszych miastach taka tiumra to zwykle największy budynek w mieście — a w drodze na Sybir, gdyśmy wchodzili do jakiego miasta, to na wstępie zwracało naszą uwagę, że który największy budynek, a okolony murem lub częstokołem, to na pewne musi być tiumra i tam nas zaprowadzą — i nigdy nie pomyliliśmy się. Rząd rosyjski szczególną wagę kładzie na więzienia, mniejszą już na szkoły lub instytucje humanitarne.

Państwo, które opiera się na rządzeniu terorem, knutem, zsyłką w katorgę i udręczeniami swych poddanych, musi mieć odpowiednie rozmiarami więzienia, a te choć tak dominujące ogromem, nigdy nie bywają puste, a często przepełnione. Kto nie zaglądał do takiego więzienia, nie może sobie wyobrazić, na jakie udręczenia skazaniec jest wystawiony. Nic dziwnego, że śmiertelność tam — mało powiedzieć — dziesiątkuje nieszczęśliwców <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Jerzy Kennan, sławny podróżnik amerykański, udając, że jest przyjacielem caratu i orędownikiem rządu rosyjskiego i jego systemu

Przenocowaliśmy w tej tiummie (inaczej zowią ostróg) i obdarzeni na drogę robactwem, które nas obficie oblażło i niemiłosiernie mordowało, zaprowadzeni zostaliśmy na kolej i znów do wagonów aresztanckich wpakowani. Takie wagony chodzą przy pociągach towarowych, więc można sobie wystawić, iż prócz wyszukanej dolegliwości, ciasnoty, braku światła i widoku na świat, jedzie się bardzo długo. Przy szybowaniu wagonów wytluką człowieka na każdej stacyi, co szalenie dokucza i denerwuje. Według regulaminu kolejowego pakują do takiego wozu czterdziestu — siedzieć ciasno, a o położeniu się nie ma mowy. Nadto robactwo, do którego jeszcze nie przywykliśmy, a jakie nas w tiummie w Petersburgu oblażło, dręczyło ogromnie. Pożywienie stanowiła tylko herbata i chleb, a już do zbytku należało przy tak szczupłym karmowem (karmowe to kwota przez rząd na życie wyznaczona) pozwolić sobie na kawałek mięsa, lepszego pieczywa lub herbaty osłodzonej, bo już zwykle pijało się z »prykusko«. To karmowe było dla pochodzenia szlacheckiego po 10 kopiejek dziennie, a dla innych po 4 kop. Za taką kwotę nie można sobie pozwalać! Szczęśliwie dla mnie wypadło, że w Kielcach przy protokole i przy spisywaniu generalistów podałem się jako szlachcic, było więc można nieszlacheckie karmowe szlacheckiem wspomagać, na co wszyscy bez wyjątku zgodzili się. Na stacyach, gdzie było można coś do zjedzenia dostać, wypuszczano nas dla kupienia sobie jakiegoś pożywienia; wówczas korzystało się, aby trochę kości wyprostować i świeżego powietrza zaczerpnąć.

Gdy nas do Moskwy przywieziono i wypuszczono z tych ruchomych aresztów, zdawało mi się, jakbym pijany był; nogi trzęsły się podemną, w oczach piekło z niewyspania, w głowie szum z turkotu trzęsącego wagonu;

---

rządzenia — podstępem uzyskał pozwolenie odwiedzania więzień rosyjskich i dotarł aż do kraju zabajkalskiego między katorżników. Opis jego wiernie ilustruje stosunki i życie po więzieniach i katorgach. Jako Amerykanina posądzić nie można o partyjność i jednostronność w tych opisach, zgrozą każdego przejmujących.

czułem się cały jakby połamany. Prowadzono nas przez Moskwę z jednego końca na drugi. Przechodziśmy obok sławnego Kremlu, dawnej rezydencji carów. Sam Kreml bardzo rozległy stanowi jakby osobne miasto w Moskwie. Jak dla nas Wawel, tak dla Moskali Kreml ma historyczne znaczenie i poszanowanie. W środku tej warowni, obok rezydencji carów, stoją pałace żon i córek carskich, bowiem przed Piotrem Wielkim carowie żyli obyczajem wschodnim, a żony w osobnych z przepychem wschodnim urządzonych eremach. W Kremlu wznoszą się wspaniałe i najstarsze sobory: Uspienski, Archangielski i Błagowieszczeński, miejsce koronacji i grobów carskich. Z wieży soboru odzywa się wielki dzwon »Iwan«, a pod wieżą leży na ziemi dzwon, wielkością swą podziw wzbudzający »Car Kołokoł«. Ten dzwon odlany 1735 r., ma obwodu 20 metrów, wysokość  $7\frac{9}{10}$  m., ściany grubości około pół metra, waży 200 ton. Do tej ilości metalu, można sobie wystawić, ile dodano srebra dla czystości tonu. Leży tak ze szczyrbą na 2 metry wysoką; szczyrba ta powstała, gdy upadł z wieży. Wewnątrz tego dzwonu mogłoby dość liczne grono osób ucztę sobie wyprawić i potańczyć. Różne legendy o tym dzwonie krążą między ludem, tak samo, jak ta szczyrba powstała. Tamże obok arsenału stopy armat zostawionych przez Napoleona I, gdy z pod Moskwy uchodził. Tam leży także armata dziwoląg olbrzymich rozmiarów z paszczą smoka nazwana »Car puszka«.

Miasto Moskwa bardzo jest rozległe, pewnie na kontynencie Europy największy obszar z miast zajmuje, ma dużo placów; budynki wówczas nie były ściśnięte z ogrodami i tarasami, co nadawało miastu odmienny charakter, wyróżniający to miasto od innych europejskich — a rozsiane gęsto cerkwie, prawie wszystkie w stylu bizantyńskim, z kopyłami po części złożonemi, po części na zielono malowanemi, robiły wrażenie, jakobyśmy się już w Azji znajdowali.

Szliśmy przez miasto bardzo długo, aż w końcu zna-

leżliśmy się za miastem przed obszernymi zabudowaniami, położonemi na pagórku a nazwanemi »Titowskie koszary«. Była tam ongiś fabryka sukna, teraz przerobiona na więzienie i dom peresylny. Stąd roztacza się wspaniały widok na całe miasto, którego końca nie widać, a rozsiane na całej przestrzeni tego ogromnego miasta liczne cerkwie i wieże z błyszczącemi złotonemi i malowanemi kopułami nadają strojnego wyglądu i niezwykłego uroku tej dawnej stolicy carów. Z tego pagórka miał się Napoleon I pożarowi miasta przypatrywać, które sami Moskale, gdy z armią swą tu stanął — podpalili.

Umieszczono nas w tym domu peresylnym w kilku salach. Zastaliśmy tu naszych przed nami przybyłych — tak że mogło być nas wszystkich kilkaset z różnych stron Polski, Litwy, Ukrainy, Galicyi i Poznańskiego, a także i obcokrajowców nie brakło.

Ponieważ w Moskwie dłuższy czas zatrzymano nas, staraliśmy się ten czas według możliwości i środków, jakie nadarzały się, urozmaicać; zatem każdy szukał sobie jakiegoś zajęcia nadającego się najlepiej a dostrojonego do stopnia wykształcenia lub usposobienia swego, bo inaczej beczynne życie, z ponuremi myślami, zamkniętymi w sobie, mogłoby do szaleństwa doprowadzić. Było wielu z wyższem wykształceniem, ci chętnie miewali wykłady z różnych gałęzi wiedzy — można więc było nietylko czas uprzyjemnić sobie, ale przy tem i umysł znacznie wzbogacić.

Złożył się niezły chór śpiewaków; nasłuchaliśmy się różnych pięknych aryj, piosenek, wyjątków z oper i t. p. A tak się ten chór dobrze złożył, że sława jego poza mury więzienne dostała się i z miasta nawet Moskale przybywali, aby się naszym śpiewakom przysłuchać. W tym chórze prym trzymał Butrymowicz ślicznym tenorem.

Byli także znakomici deklamatorzy, ci wygłaszali utwory naszych poetów i niektóre bardzo udatne wiersze. Szczególnie jeden monologista bawił i rozweselał nas niewyczerpanym zasobem opowiadań, komicznych scen, śmie-

sznem naśladowaniem różnych osób ekscentrycznych i z niezwykłym humorem przedstawiał różne zabawne sceny i t. p.

Tam kilku spór polityczny prowadzi; poglądy sprzeczne między nimi zaostrzają dyskusję — zapaleniec zarzuca umiarkowanym brak patriotyzmu; szarpnięci w czułe miejsce już i umiarkowani zapalają się, broniąc swego honoru, i według ich zdania najracjonalniejszych zapatrywań a jednak sprzecznych z poglądami zapalenca. Żadna strona nie chce skapitulować, więc sprzeczka trwa dalej. Tam Żmudzini obojętni na wszystko śpiewają godzinki. Ten wsunął głęboko ręce w kieszenie i gwiżdże jakąś aryę; inny tnie krakowiaka! Co ich dysputa polityczna lub godzinki obchodzą? Ówdzie dwóch siłaczy mociuje się; widzowie ciekawi obstąpili ich — są to znowu zwolennicy jednego i drugiego. Obie partye dodają zapaśnikom zachęty. Nareszcie jeden zwyciężył! Przytłoczony ciężarem zwycięzcy chce się wydobyć z pod niego; z wysiłku obaj robią piersiami, żyły na czole wystąpiły im, twarze w ponisie. W końcu zwycięzca podniósł się i choć zmachał się nielada, dumnie boki podparł! Partya jego bije mu brawa; pokonany jednak nie daje za wygrane i zadychany głosem rezerwuje sobie odwet na później.

Patrz się! Tu w wolnym kącie jakiś z długą czupryną nerwowo przechadza się tam i z powrotem; coś do siebie mówi i niespokojnie rękami rozkłada. Raptem stanął jak wryty!... rękę przyłożył do czoła, jakby chciał myślom swym przyjść w pomoc. Tak stoi chwilkę — widocznie myśli te tak pogmatwane, że z niemi do ładu przyjść nie może, bo trzepnął ręką jakby na przepadłe — i dalej chodzi; głową podrzuca, jakby chciał strącić ciężar tłoczący jego umysł, a tak zajęty temi myślami, iż toku ich nawet taka wrzawa w sali zamącić nie może...

Ta wrzawa również nie mąci spokoju i myśli dwom szachistom, którzy figurki ulepili sobie z chleba a szachownicę na pryczy narysowali i zatopieni w grze, nic nie słyszą ani widzą, jak obok nich jakiś akrobata czy sztuk-

mistrz chodzi na rękach po pryczy; dwie czapki na nogi założył i różne niemi ewolucyje wyrabia i tem kółko swoje bawi.

Ówdzie dwóch ucharakteryzowało się: jeden za wronę a drugi za sowę. Pierwszy skoki wrony znakomicie naśladowuje, zgrabnie przyskakuje i odskakuje od sowy, ruchami komicznymi a dobrze wronę naśladowującymi. Chce sowie mysz odebrać (zrobioną ze szmaty), którą sowa skubiąc, robi wronie apetyt. Wrona ciągle ataki podwaja, a sowa znakomicie paruje: złości się, nadyma, dzióbem grozi! Raz gdy wrona zanadto zbliżyła się — już ją ma dzióbem uderzyć — już omal że jej nie dostała — lecz wrona lekkim skokiem uchyliła się i zakrakała tak łudząco po wroniemu, że kto tego nie widział, sądziłby, iż kracze prawdziwa wrona. I sowa, gdy wronę odpędziła, z tryumfem jak pułacz zawrzeszczała. Wszyscy śmieją się do rozpuku, smotrytel więzienia i żołnierze, którzy na to przedstawienie umyślnie przyszli. Tak ich ta scena z taką precyzyą oddana rozśmieszyła, że aż się za żołądki chwyтали. Wronie i sowie biją brawa, a w podziękę wrona skacze i kracze, a sowa nadęła się i swoim u-hu, u-hu! odzywa się.

Wyjąłem kilka obrazków ze wspomnień tego życia więziennego, jakie po tylu latach dziś w mym umyśle przesuwają się, aby dać choć słabe pojęcie o życiu naszym w więzieniu w czasie dłuższego pobytu w Moskwie.

Aby zatem czas zabić i smutne myśli odpędzić w ten i inny sposób, jak kto mógł i umiał pocieszał się — i takim trybem czas upływał. Wzajemna sympatya i jedność myśli tworzyły między nami kółka, a tak dobrani starają się obok siebie na pryczy umieścić. Jakieżto konglomerat charakterów, usposobień, zapatrywań, cnót i wad serca w różnych odmianach i stopniach; ilużto wrażliwych, to znów obojętnych; ludzi wiedzy i niskiego poziomu; charakterów jak opoka, także chwiejnych i t. d. zebrało się razem, a wszyscy na jednym koniu jechać musieli!

W takim stanie codziennego życia z małemi odmianami doczekaliśmy się Wielkanocy ruskiej.

Moskwa dla Rosyanina, co Mekka dla Turka. Tam tyle jego świętości, tyle pamiątek i wspomnień wiąże się z tą matką wszystkich jego miast. Każdy Moskal z dumą o Moskwie odzywa się, a zapytany, ile jest tam cerkwi? — z dumą odpowie: sorok sorokow (czterdzieści razy po czterdzieści). Zatem byłoby 1600.

Za karmowe kupowaliśmy sobie wiktuały, które przepicie dostarczali na miejsce. Mieliśmy kilka samowarów, a herbatę już ekspedite piliśmy z przykuską. Chleb i bułki niedrogo kosztowały, a nieraz bardzo tanio mogliśmy nabyć od kandalszczyków. Ci z podajania (jałmużny) mieli tyle, że nam mogli tanio odsprzedawać, a nieraz trafiło się, że za kopiejkę parę bułek kupiło się.

Kandalszczykami nazywano zbrodniarzy od kajdanów (kandałów), w które zawsze pozostawali zakuci. Jest w Rosyi piękny zwyczaj, uświęcony tradycją, że skazańców — jako nieszczęśliwych — z poczucia miłosierdzia a nawet z obowiązku religijnego, obdarzają jałmużną, co bywa dawane wiktuałami, najczęściej jednak chlebem lub bułkami albo też i pieniędzmi. Przy każdym nabożeństwie żałobnem niejako obowiązkiem jest darzyć skazańców podajaniem, co ze słowem »radi Chrysta« (w imię Chrystusa) czynią. Raz jakiś mieszczanin przyniósł nam cały kosz bułek, prosząc, byśmy »radi Chrysta« przyjęli. Gdyśmy z zasady żadnych podajań nie przyjmowali i tym razem nie przyjęliśmy, wówczas wysypał te bułki na pryczę i uciekł.

Z wiktem, łącząc się w kółka, radziliśmy sobie, jak było można. Jużto największa bieda była z praniem bielizny. W większych miastach przy każdym więzieniu są parowe łaźnie, więc od czasu do czasu mogliśmy z nich korzystać i przy sposobności wyparzenia się i bieliznę wyprać, rozumie się, że każdy sam załatwiał się z tem, jak umiał. Lecz gdy przyszło wysuszyć, to dopiero trudność i kłopot, bo nie było gdzie — a nawet przydarzało się, że

i na swoim ciele suszyło się. W tej szkole wszystkiego było można nauczyć się!

W Moskwie, kto z naszych chciał, dostał pierwszy raz ubranie kazonne (rządowe) aresztanckie, składające się z szynela (płaszcz), krojem przypominającego szynela moskiewskich żołnierzy, które zowią »bradiażką«, zrobionego z szarego lichego sukna. Na środku pleców tej bradiażki wycięty otwór w formie asa karowego a pod otwór podłożone sukno czerwone lub żółte, jako znak aresztanta; dalej pantaloney z takiegoż sukna bez guzików i kieszeni, tylko z obszywką w górze, przez którą przewleczony sznurerek do ściągania w pasie. Do tego garnituru należy czapka z szerokim dnem bez daszka z tego samego sukna zrobiona. Następnie jedna para chodaków, formą przypominających czółno, ze skóry twardej jak deska i bez obcasów — to obuwie nazywano »koty«; do tych kotów dodane były dwa kawały sukna grubego, przeznaczonego na onucze — tem suknem dało się nogi aż po kolana obwinąć. Dla uzupełnienia ubrania tego para bielizny z zgrzebnego grubego płótna. Boże, zlituj się, jakiego kroju! Koszula dość krótka bez kołnierza, przy ramieniu rozcięta do związywania tam sznurkiem; a kalesony to coś komicznego, dosyć krótkie z obszewką w górze do opasywania sznurkiem — pewnie forma na krój z żaby brana.

Ja i wielu innych z naszych, którzy mieli własne ubranie, tego garnituru kazonnego nie brali, aby nie mieć z nim w drodze ambarasu. Zresztą nas nie przymuszano w taki kostyum stroić się, gdy zbrodniarzom bezwarunkowo innego nosić nie było wolno, przyczem, jak wspomniałem, zawsze w kajdany musieli być zakuci.

Pociesznie wyglądali ci z naszych, co ten strój przywdziali. Śmieliśmy się wszyscy i oni z sami z siebie. Szczególnie zabawnie wyglądali ci, co byli bardzo małego wzrostu, jak i tacy, co byli bardzo słusznego. Gdy pierwszym bradiażka wlekła się po ziemi, to drugim po kolana sięgała, bo te ubrania i bielizna prawie na jedną miarę

były robione, zatem wyboru mniejszych i większych nie było.

Wspomniałem o kandalszczykach i kandałach, przytem napomknę o przepisie i sposobie kucia. Polegało ono na tem, że na obie nogi zakłada się dość szerokie obręcze żelazne, które nogi przy kostce obejmują i na stałe grubymi nitami spojone bywają. Te dwie obręcze od nogi do nogi łączy się łańcuchem, w środku którego przymocowany jest dość długi rzemyk, aby nim w pasie przywiązać dla ulżenia w chodzie. Podczas chodu łańcuchy uderzają o siebie i wydają brzęk, którego odgłos daleko idzie i przejmuje zgrozą a wzbudza litość dla nieszczęśliwych, którym te kandały, jeśli na całe życie do robót katorżnych zasądzony jest, do grobowej deski towarzyszą, a nawet z nimi pogrzebany zostaje. To też, gdy partya takich kandalszczyków zbliża się ku miastu lub wsi, brzęk ten sygnalizuje zbliżanie się partyi aresztantów; natenczas wychodzą mieszkańcy z domów i dają im podajanie ze słowem »radi Chrysta«, na co przyjmujący odpowiadają »spasi Boh«!

Zaraz po Wielkanocy ruskiej wywieziono nas z Moskwy do Włodzimierza, gdzie była ustanowiona komisya dla sądenia nas. Jak wszędzie, tak i tu tiorma była naszym mieszkaniem — i jak wszędzie brud nie do opisania, bowiem inaczej być nie mogło, gdy od postawienia ten budynek ani mytym ani bielonym nie był; więc pluskwy i inne robactwo rozmnożyło się strasznie. Czekamy, kiedy do komisyi, mającej nas sądzić, zawezwą. Nareszcie i mnie wezwano.

Przewodniczący tej komisyi w randze pułkownika, mówił trochę po polsku, a rozumiał ten język dobrze. Gdy wszedłem do biura, posadził mnie obok siebie i poczęstował papierosem, wszczynając, zdawałoby się mogło, przyjacielską rozmowę. Tonem przyjaznym a z przebiegłością zadawał pytania, zdążające do dowiedzenia się, jaką rolę w powstaniu odgrywałem? Prawdę mu powiedziałem, że z bronią w ręku, jako prosty żołnierz, do niewoli wzięty

zostałem. Koniecznie chciał mi jakąś rangę nadać, której przyjąć wzbraniałem się. Więc wzbija mnie w dumę i łechce ambicyę, bo mówi:

— Ależ to być nie może i temu stanowczo wiary nie dam, abyś pan jako prosty żołnierz w tem »mateżu« (powstaniu) udział brał. Wy wszyscy byli prostymi żołnierzami — więc kto wami dowodził?

— Panie pułkowniku — mówię — trudno mi przedłożyć dowody, że prawdę mówię i jest mi obojętnem, czy pan pułkownik uwierzy, że dla rangi do powstania nie szedłem, ale z obowiązku służenia naszej sprawie i jeszcze raz powtarzam, że żadnej rangi nie miałem.

— Wierzę panu — odrzekł — proszę protokół podpisać. — I na tem indagacya skończyła się.

Ogłoszono wyrok, skazujący mnie na posilenie (osiedlenie) do gubernii irkuckiej, a innych, jak mógł sędzia wysondować mniejszą lub większą winę: to do robót katorżnych, to w roboty aresztanckie lub na posilenie do bliższych lub dalszych miejscowości Syberyi.

Stąd powieziono nas tym samym porządkiem do Niżnego Nowogrodu. Miasto to leży na niskim półwyspie, między Oką a Wołgą. Stare miasto na płaskim urwistem wybrzeżu Wołgi. Niżny-Novogród sławny na całą Rosyę a nawet znany jest w Europie i innym państwach również w Azji z olbrzymiego ruchu handlowego. Tam na jarmarki zjeżdżają się kupcy z całej Rosyi, Syberyi, Chin i innych miejsc i zawierają milionowe transakcye. Podówczas było to ostatnie miasto w Rosyi, dokąd dochodziła kolej.

Na linii między Irkuckiem a Niżnym-Novogrodem ciągną się bardzo liczne karawany, tak w jedną jak w drugą stronę. Taka karawana (obóz) składa się z kilkudziesięciu a nawet kilkuset teleg (wozów) naładowanych towarami, posuwających się gęsiego. Sznur taki teleg bywa i na kilka wiorst długi. Ten ruch zdziwił nas; zaczynamy nabierać o Syberyi innego pojęcia. To nie pustynia; z pustyni nie wywozi się dziennie do 10.000 metr. cetnarów produktów

handlowych — a tę samą ilość lub więcej z powrotem do Syberyi. Gdyby ona była pustynią, nie potrzebowałaby różnych, przeważnie zbytkowych towarów w takiej ilości.

Przy tym ruchu towarowym nie mniejszy i osobowy. Spotyka się szalenie pędzących w obie strony tarantasami i rozmaitemi powózkami, zaprzężonemi w konie pocztowe: to wojskowych i urzędników wyższej rangi, kupców i innych podróżnych. Ruch zatem na tej linii głównej, łączącej Azyę z Europą, niezwykle a taki gorączkowy — sądzićby można po tym pośpiechu.

Z Niżnego-Nowogrodu szliśmy już etapami. Przykrości etapowe — o czem będzie później — bardzo dotkliwie; jednak woleliśmy tę odmianę jak podróż koleją. Całą prawie przestrzeń tej gubernii zamieszkują przeważnie Czeremisi, mówiący swoim językiem zupełnie odrębnym i niezbliznym do żadnego europejskiego, także odmienni sposobem życia, zwyczajami i t. d.

Zbliżamy się do Kazania; tam ludność tatarska, różniąca się wyznaniem mahometańskim, mową, ubiorem, rasą i obyczajami od narodów zamieszkujących Rosyę, a nawet wielce różnią się wszystkim od swych sąsiadów.

W Kazaniu, mieście gubernialnem, gdzieżby nas indziej jak nie do tiumy wpakowano — i tam dłuższy czas zatrzymano. Życie już było droższe; fundusze, jakie kto miał, wyczerpały się, a karmowe nie wystarczało choćby na najlichsze wyżywienie. Postanowiliśmy wszyscy jak jeden nie ruszyć się dalej w drogę, pokąd nam nie podwyższą karmowego, o co się ciągle dopominaliśmy i umyślnie w tej sprawie wzywaliśmy policmajstra, który, gdyśmy mu przedstawili nasze położenie z powodu niemożności wyżycia z tego karmowego — przyrzekł, że postara się, iż podwyższonem zostanie. Jednak gdy przyszedł czas do wymarszu w dalszą drogę, a przyobiecane podwyższenie karmowego nie nastąpiło — jak postanowiliśmy — tak nie ruszamy się. Upór nasz stwarza bardzo groźną sytuację; smotrytel wścieka się ze złości, grozi, że nas pokuje

w kajdany i na bagnety każe wynieść. Robi się zamęt, krzyki, rwetes nie do opisania. My stoicznie, spokojnie zachowujemy się, ale stanowczo oświadczamy, że mogą z nami robić, co chcą, my się nie ruszymy. Widząc smotrytel, że jego groźby a następnie perswazyje pozostają bez skutku — szle po policmajstra. Za chwilę wpada policmajster strasznie zirytowany, w pasy aż mu ślina z ust bryzga — i gdy jego rozkaz, byśmy zaraz w drogę wyszli, również naszego oporu złamać nie może — woła żołnierzy.

— Ja was, mateźniki, na bagnety każę wziąć — ja was nauczę i bunt wasz poskromię!

Żołnierze wpadają — stają do nas z naflancowanymi bagnetami, jak do ataku i czekają komendy. Policmajster, widząc naszą niezłomność w postanowieniu i rezygnację, bo żaden na widok bagnetów ani drgnął i żaden nie rusza się, gdyśmy oświadczyli, że lepiej nam zginąć tu od razu, jak w drodze powolną śmiercią głodową — jakoś się zmitygował i kazał żołnierzom odstąpić, sam zaś udał się do gubernatora. Następuje położenie bardzo niepewne; wszystko na jedną kartę postawiliśmy: albo wygramy lub nasze położenie stanie się jeszcze gorszem!... i czekamy, co dalej będzie? Wkrótce dowiadujemy się, żeśmy sprawę wygrali i podwyższenie karmowego dostaniemy, a to ze znaczną różnicą, bo zamiast 4 i 10 kopiejek, wypłacać mają po 10 i 15 kop. dziennie na osobę — i abyśmy zaraz wyruszyli, tak nam wypłacono.

Dosyć prędko to załatwili, bo pewnie takie karmowe dawno nam się należało, a różnica tonęła w kieszeniach czynowników. Aby jednak to nie wyszło na jaw, woleli nasze żądania spełnić, niż użyć przemocy, która stać mogła się głośną i ich nadużycia wydałyby się.

Tryumfowaliśmy, iżeśmy na swoim postawili, a podwyższenie karmowego nie tylko dla siebie, ale i dla następnych partyi wywalczyli. Co prawda, zaryzykowaliśmy, stawiając nasze pretensye na ostrzu bagnetów, bo mogli nas nie tylko poturbować, ale pokuć w kajdany i wyrok

zaostrzyć, a że do tego nie przyszło, zasługa nasza, żeśmy z taktem, poważnie, bez prowokacji do użycia broni zachowali się, opierając się przytem na przyrzeczeniu policmajstra, że podwyższenie to nastąpi — tem możemy sprawę naszą poparli; to wszystko nie pomogłoby jednak, gdyby podwyższone karmowe nie należało się nam. Ruszyliśmy zaraz i partyę kandalszczyków, z którymi mieliśmy wyruszyć, na następnym etapie dopędzili.

Po przejściu gubernii kazańskiej weszliśmy w gubernię wiatską. Tam znów inna ludność, inna jej mowa i zwyczaje. Wchodzimy między Czeremisów, różniących się od poprzednich strojem, mową i obyczajami. I tak posuwając się wciąż dalej, napotykaliliśmy różne szczepy, różniące się między sobą odrębną mową i zwyczajami. Jakiżto zbiór różnych narodów w samej Europie składa się na Rosyę z tak odmiennymi typami! A w Syberyi również, gdzie przeważa rasa mongolska, ileż narodów różnych żyje?! I to ma być jednolity rosyjski naród, według twierdzenia samych Rosyan?!

Wchodzimy w gubernię permską i wstępujemy do miasta gubernialnego Permy. Z tego miejsca utkwily mi w pamięci sławne »permienie«, pirożki zgotowane z mięsa surowego (rodzaj kołdunów), tylko podawane jako zupa, która jest smaczną potrawą. I tu »ostróg« swjej gościny nie odmówił nam — i dłużej gościł w swych murach.

Z Permy idziemy do Kongur, miasta powiatowego, położonego już u podnóża gór uralskich, skąd zaczyna się okolica górzysta. W dalszym pochodzie przez Ural zachwyamy się widokami pięknego krajobrazu. Te górskie widoki przypominały nam nasze Karpaty, miejscami Tatry. W naszej podróży dotąd posuwaliśmy się przeważnie terenem płaskim, miejscami tylko pagórkowatym — nie było więc rozmaitości takiej, aby wzrok ożywić a umysł zaciekawić mogła. Dopiero gdyśmy wkroczyli w góry Uralskie, nastąpiła zmiana panoramy — więc nic dziwnego, że nas zainteresowały te swym majestatem odmiennie i żywsze widoki. Jesteśmy już w ostatniej stacyi etapowej w Rosyi.

Stąd wyruszamy rano i przychodzimy do słupa granicznego między Europą i Azją. Słup ten, murowany, czworograniasty, 5—6 metrów wysoki, z jednej strony herbem gubernii permskiej europejskiej a z drugiej tobolskiej azyatyckiej oznaczony. Tu pogranicze Syberyi.

»Sybir«!! To wyraz nam nie obcy — z krwawych liter złożony! A ten słup? — to świadek przesuwających się obok niego tyłu istot nieszczęśliwych z szarpającym ich bólem — tym towarzyszem im nieodstępnym. On jest świadkiem łez z oczu tu płynących skazańcom za tem, co ukochali a daleko zostawili — a niejednemu słabszemu męskością i nad dolą swą nieszczęsną ronionych... I dziwne! dlaczego właśnie tu te ciężkie, rzewne i smutne myśli do mózgu i serca tłoczą się? To widok tego słupa sprawia! On podsuwa skazanemu pytanie, czy wróci kiedy do kraju swego i swoich? a ta myśl rozrzewnia go; nie jednemu rozpiera piersi i wilży oczy — i staje z twarzą smutną obrócony w stronę, gdzie mu się serce rwie! Myślą żegna i błogosławi tych, których w sercu aż tu przyniósł: Niech ból mój za wami moi drodzy da wam ukojenie, spokój i szczęście, czego ja tu mieć nie mogę... Żegnajcie mi moi ukochani, najmilsi; żegnam cię, mój kraju uroczy — i wszystkich i wszystko, com w tobie ukochał uczuciem miłości bez granic!

W rozczuleniu do jakiejto potęgi miłość ta urosła! Zdaje się, że serce rozsadzi! — a nawet temu, co nigdy nie płakał, łzę wyciska.

Jakaż to chwila uroczysta, poważna; żadnych rozmów — a potężne skupienie myśli, któremi obejmuje skazaniec wspomnienia i wrażenia, jakich w kraju doznał, a które, mój Boże! tak cenne są... On się tyle razy niemi bawił, a teraz znalazły się tu — nie wiem? czy aby go pocieszyć, czy rozrzewnić więcej!

Skończyła się zaduma przerwana głosem etapowego oficera, wzywającego do opuszczenia tego miejsca, gdzie pozwolono każdej partyi wypocząć i stąd pożegnać kraj swój. Aby się pocieszyć i smętne myśli odpędzić na poże-

gnanie Europy, odśpiewaliśmy »Boże coś Polskę« i »Jeszcze Polska nie zginęła«, a już ruszywszy stąd: »Stój carze, stój« — tempem marszu.

W pochodzie przez wschodnie stoki gór uralskich rozmaitość pięknych widoków uprzyjemniała nam tę smutną podróż, aż gdy się weszło do etapu okolonego wysokim ogrodzeniem z całych jodeł w ścianę obok siebie ustawionych, jakie prawie wszystkie budynki etapowe mają — wstępował do duszy ponury nastrój.

Przechodząc przez góry uralskie, mieliśmy kilku słabych na tyfus. Postanowiliśmy tych nie zostawiać po szpitalach, gdyż dowiedzieliśmy się, że śmiertelność tam przerażająca. W Permie w ciągu jednego tygodnia zmarło naszych na tyfus 100; w Ekaterynenburgu zimą 1864 r. stu pięćdziesięciu <sup>1)</sup>). Z nami szedł zacny Dr. Czerkawski, a jako lekarz z całym poświęceniem i troskliwością zajął się tymi słabymi; a gdy leków żadnych nie było, dawał im kilka razy dziennie po łyżce wódki. Wieźliśmy ich na podwodach, dawanych nam pod rzeczy, a dyżur trzymaliśmy kolejno. Świeże powietrze najwięcej tu zapewne działało. Bóg dał, że wszyscy przyszli do zdrowia, bo w szpitalu pewnie byliby pomarli, jak wielu innych, którzy się tam dostali. Te szpitale nigdy nieodkażane, z bakcyłami, dla których tam było dobre podłoże, nigdy nie kontrolowane przez wyższe władze — a jeśli kontrolowane niekiedy, to dla formy a głównie dla dyet kontrolującego. Choćby i zdrowy człowiek wszedł do takiego szpitala, mógł się zarazić i z braku opieki umrzeć.

I ja mam dr. Czerkawskiemu życie do zawdzięczenia. Na etapie jednym spałem przy samym oknie, gdzie szyba była wybita, przez którą chłodny wiatr na mnie wiał i tem zaziębiłem sobie gardło, z czego okazał się skutek groźny, bo gdy rano zbudziłem się, uczułem przykry ból w gardle i już wielką trudność do oddechania i gardło tak mi zapuchło, że głosu dobyć trudno — i czuję, że się duszę. Idę

---

<sup>1)</sup> Kennan »Syberya« str. 234.

do dra Czerkawskiego i na migi pokazuję mu gardło. Zaraz wylapisował mi, poczem wkrótce puchlina zesza, mogłem już mówić i podziękować mu. Przecież szczęście dla mnie, że miał kawałek lapisu — inaczej mógłbym się być udusić.

Wspomnę o Głuchowskim, artyście malarzu. Na jednym etapie naszkicował węglem na drzwiach portret oficera etapowego, a tak schwycił podobieństwo, że gdy oficer spojrział na drzwi, zaraz siebie poznał i pyta się, który »taki majster«. Wskazaliśmy mu artystę.

— Bardzo dobrze — mówi — tylko szkoda, że nie w »paradnom mundire«, kazałbym te drzwi wyjąć i schować.

Pierwszem większym miastem w Azji na szlaku naszej drogi jest Ekaterynenburg, miasto fabryczne, huty żelazne, odlewnie i warsztaty różnych wyrobów z żelaza tam się znajdują. Miasto jest pięknie położone i czysto utrzymane. Pozwolono nam kilku pójść i oglądnąć to miasto. Przy tej sposobności wstąpiliśmy do huty żelaznej z odlewnią, której zawiadowcą był Niemiec, o czym gdyśmy się dowiedzieli i do niego po niemiecku przemówili, bardzo był nam rad i z chęcią oprowadzał po fabryce, całe urządzenie pokazał i objaśnił w szczegółach, a potem zaprosił do siebie na piwo. Natrafiliśmy, jak odlewali do jakiegoś zakładu fabrycznego różne kawałki, a w szczególności zwróciło naszą uwagę olbrzymie koło rozpędowe, które swym ogromem zajęło większą część dużej sali w tej odlewni. Wyprowadził nas na wierzch pieca, skąd z roztopionej płynnej rudy przerażający żar buchał. Wystawiałem sobie, gdyby w ten bezmierny żar człowiek wpadł, w jednej minucie możeby i śladu z niego nie pozostało, bo strawiłby go do szczętu. Niemiec uradowany, że mógł z nami po niemiecku poszwargotać, zapraszał, abyśmy znów przyszli. Nie mogliśmy życzeniu i zaprosinom jego zadość uczynić, gdyż nas niebawem w dalszą podróż do Tiumenia wytransportowano.

Gościniec jekaterinbursko-tiumeński na całej długości

z wyjątkiem okolic leśnych, jest wysadzony po obu stronach przepysznymi płaczącymi brzozami, które spletając się wzajemnie gałęziami, tworzą sklepienie nie przepuszczające promieni słonecznych. Miłowe odległości przebywaliśmy pod tym zielonym baldachimem, spierającym się na srebrno-białych słupach. Podanie niesie, że brzozy te posadzono z rozkazu Katarzyny II, stąd też ta część gościńca nazwaną jest »aleją jekateryńską«.

#### IV.

Miasto gubernialne Tobolsk. — Despot Zenowicz, gubernator. — Etapy i dolegliwości w nich. — Zbrodniarze i zbrodniarki. — Pożywienie po etapach. — Podróż z Tobolska do Tomska pocztą ziemską (perekładnymi). — Szalona jazda. — Trzęsawiska i moczary. — Koń tonie w nich. — Przybycie do Tomska. — Tiurma. — Szajka fałszerzy pieniędzy w więzieniu. — Pierwszy fasunek ubrania aresztanckiego. — Pochód z Tomska etapami w towarzystwie zbrodniarzy. — Przygoda z komendantem posterunku etapowego i jego żona. — Stajemy w obronie kandalszczyków. — Ich wdzięczność. — Przeprawa przez Jenisiej i groza utonięcia. — Krasnojarsk, stąd do Irkucka. — Podróż ta bardzo uciążliwa. — Zima zawałna i silne mrozy. — Udręczenia na etapach bez przerwy. — Przybycie do Irkucka.

Wkraczamy do Tobolska, miasta gubernialnego. Gubernatorem tam był Despot Zenowicz, Polak, jeszcze młody człowiek jak na takim stanowisku, około czterdziestu paru lat; szlachetnych rysów twarzy, elegancki, w obejściu ujmujący, bardzo prawego charakteru, a przytem energiczny. Po naszym przybyciu wszedł do naszej kwatery w tiurmie, po polsku uprzejmie powitał i spytał się, czy nie mamy jakich żądań? Prosimy, aby pozwolił nam do miasta wychodzić — na co zezwolił — również inne nasze prośby, możliwe do spełnienia, uwzględnił.

Urzędnicy, jemu podwładni, bardzo się go bali, bo ostro ich trzymał i wszelkie nadużycia srogo karcił, a jednak lubili go, bo był dla nich sprawiedliwy, uczynny i dbający o ich dobro.

Ze zesłanych na posilenie do tobolskiej gubernii za-

staliśmy tu naszych kilku w mieście osiadłych, którym Zenowicz na to pozwolił. Ci trudnili się tu, czem kto mógł: to handlem, rzemiosłem, fabrykacją papierosów i czem kto umiał się zająć.

Zenowicz zorganizował wysyłanie partii politycznych pocztą ziemską, zwaną tam »perekładnymi«. Taka ekspedycja politycznych w ten sposób była pomysłem Zenowicza, a zaprojektowana rządowi dla zaoszczędzenia karmowego w długich pochodach etapami a raczej pewnie z myślą dla naszego dobra, aby nam skrócić czas pochodu, a także aby uwolnić od niedających się opisać przykrości na etapach, a głównie — co dla nas było najprzykrzejszym — dla uwolnienia nas od towarzystwa kandalszczyków. Od kandalszczyków bowiem doznawaliśmy rozlicznych przykrości, a nawet nieraz walkę staczać z nimi przychodziło. Można sobie wystawić nasze przykre położenie, gdy ze strasznymi zbrodniarzami i ostatnimi wyrzutkami społeczeństwa żyć musieliśmy i znosić często obelgi i różne od nich przykrości. Żyło się zatem w ciągłych udręczeniach, a jakie one były, chciałbym choć słaby dać obraz.

Z reguły kandalszczycy trzymali czoło pochodu w partii, zatem pierwsi na etap wstępowali, a przez to mogli najlepsze i najdogodniejsze tam miejsca zająć, a do tych zaliczało się, aby umieścić się na pryczy. Jednak gdy przy budowaniu etapów miano na względzie w przybliżeniu cyfrę aresztantów, jaka w jednej partii znaleźć się może, zatem do tej ilości zastosowano rozmiar budynku a zarazem i wewnętrzne urządzenie. Nie liczono pewnie wówczas na wyjątkowe zdarzenia, jak np. chwilę, jaką powstanie z r. 1863 przyniosło, kiedyto masami naszych transportowano, a których liczba, bywało, w dwójnasób i więcej w partii liczbę zbrodniarzy przewyższała; zatem miejsca dla wszystkich na pryczach nie było, więc dla tych, którym tam nie stało, nie było innej rady jak pod pryczami umieścić się. Trudno wystawić sobie, jaki tam był brud, fetor i kupy śmiecia! Zanim przyszło się tam

wsunąć, trzeba było czemś to śmiecie wygarnąć. Lecz jak usunąć nieznośny smród, duszące gazy i wilgoć? Niema wyboru, bo na pryczach prawie jeden na drugim leży, więc w tych przykrych okolicznościach musi się i pod pryczami miejsce zająć.

Już przy wejściu do etapu uderza nieznośna, dusząca, specjalnie etapowa woń. Z kloak rozchodzą się straszliwie cuchnące a gryzące nos i oczy gazy. Po zamknięciu drzwi i wniesieniu »paraszki« na noc, gdy do tego kandalszczycy pościągają z nóg obuwie i porozwieszają onuczce, jedne i drugie przykrą woń wydzielającą, wszystko zmieszane z nieznośnym odorem z paraszki, gazami w kaźni, wyziewami brudnego ciała — składało się na takie gęste powietrze, że można się w niem udusić; »nie siekierę« — jak mówią — ale cetnarowy kamień powiesićby można. Już w chwilę po zamknięciu drzwi, to ciężkie, duszące powietrze izbę wypełnia i zdaje się, iż jednego atomu czystego powietrza niema. W lecie jeszcze pół biedy — można okno otworzyć, lecz w zimie i to trudno, bo między kandalszczykami są tacy, co okna otworzyć nie dadzą, wolą tym smrodem oddychać, byleby im ciepło było, aż do wywołania potów. On prawdziwie »ruski czołowiek« przy czaju, w łaźni i kaźni pocić się lubi — a gdyby kto chciał wzbronąć mu tej przyjemności, to za otworzenie okna urządziłby awanturę, a nawet gotówby bić się.

Zdarzało się, że paraszka przepełniła się, a natenczas zawartość z niej rozlała się po kaźni i podtopiła nieszczęśliwców, co pod pryczą umieścić się musieli. Można sobie wystawić przykre położenie biedaka, gdy we śnie uczuł się w takiej kąpieli!

W drodze zdarzało się, że słota a bywało i ulewa przemoczy do nitki. Więc tak przemoczeni i zabłoceni a w zimie oblepieni śniegiem, gdy na pryczy miejsca nie stało, pod pryczą na wilgotnej ziemi spać musieli. O wysuszeniu ubrania mowy niema, bo gdzie i jak? W mokrem szło się — w mokrem spać się będzie — i w mokrem dalej się pójdzie. A tu człowiek pochodem znużony, radby

jaknajprędzej — aby tylko głód zaspokoił — gdziebądź i jakkolwiek położyć się, aby zasnąć. Już jest pod pryczą... wdychuje w siebie wilgotne i cuchnące powietrze i próbuje zasnąć — ale czy pozwoli mu oczy skleić różnego rodzaju robactwo, które tak zawzięcie do niego doбира się? Ach, to robactwo, co za straszna plaga! Niema sposobu pozbyć się go. Przed chwilą z tego, co go gryzło, co znalazł w bieliźnie i na ciele, — oczyścił się, a tu po chwili inne oblażło i morduje — i tak ciągle i ciągle! Pluskwy szły w zawody z drobniejszem robactwem barwy czarnej i białej. Swędzenie zmuszało do drapania się, z czego aż rany po ciele robiły się.

Przy tem udręczeniu, przy nieznośnem nad wyraz obcowaniu z ostatnimi wyrzutkami społeczeństwa, zarówno przykrem było ciągle stykanie się z konwojem, z tem żoldactwem gburowatem, a jeszcze gorzej, gdy trafił się komendant od konwoju grubianin, awanturnik, złośliwy, a często i pijak. Taki, przyzwyczajony do traktowania zbrodniarzy jak bydło, gdy i z nami chciał tak postępować, wówczas musieliśmy stawać w obronie naszej czci i honoru, z czego powstawały awantury, doprowadzające często do czynnego starcia z konwojem. Nerwy nasze ciągłemi przykrościami tej niedoli szarpane a uwłaczaniem naszej czci i ambicyi były naprężone do wysokiego stopnia, zwłaszcza z upokorzenia, gdy niemoc naszą zobaczyliśmy. Nieraz panowanie nad sobą już ustawało i zdawało się, że złość nas poszarpie — i wtedy byliśmy gotowi bez względu na następstwa rzucić się na dręczycieli naszych. Co dzień przyniesie, przewidzieć trudno, bo lada błąhy powód przy tym rozstroju nerwów wywoływał zajścia, których następstwa nie bywały do przewidzenia. Nosiło się zatem w sobie ciągły niepokój; wszystkie więc udręczenia łączyły się, aby naszą nędzę spotęgować i dolę przykra, o ile tylko da się, uczynić.

Często z poprzedniego etapu wyszło się na czczo — przestrzeń między etapami 30—40 wiorst. Już dobę nic się w ustach nie miało, zmęczeni i głodni dobiliśmy się na-

reszcie do etapu; czuje się gwałtowną potrzebę wypoczynku i zaspokojenia głodu. Porozsiadały się wprawdzie straganiarki z różnem, nie bardzo nęcącym oko i powonieniem jadłem, jednak jak się do nich docisnąc, kiedy hurma kandalszczyków z paszczekliwemi towarzyszkami obłągała stragany ze wszystkich stron, że dostać się tam trudno, chyba z użyciem pięści, a przeto z perspektywą narażenia się na oddanie wet za wet. Aby tego uniknąć, lepiej zaczekać, aż oni załatwią swoje zakupna i odejdą, a my wtenczas bez przeszkody coś kupić będziemy mogli.

Przywilej sprzedawania mają przedewszystkiem żony żołnierzy od konwoju. Na naczelnym dogodnym przystępie siedzą one przy straganach, na których porozstawiały duże garnki poobwijane brudnymi szmatami, aby jedzenie w nich nie stygło, a obok w różnych naczyniach etapowe przysmaki. Za nimi umieściły się baby ze wsi, za opłaceniem się oficerowi etapowemu, z podobnem jadłem. Tym taniej jak żołdatkom sprzedawać nie wolno, aby konkurencyi nie było.

»Szczej« (kapuśniak), nacyonalna potrawa każdego Moskala, być musi; jest jakiś krupnik, dalej »pochlopka« (zupa, niby to rosół a więcej na pomyje wyglądająca) — leżą pokrajane kawałki mięsa zgotowanego i niby pieczonego (»żarkoje«) — oba mięsa może z dorzniętej lub zdechłej sztuki. Na wielkiej misie leżą »aładie«, rodzaj pampuchów smażonych na oleju; dalej »szangi« (placki posmarowane z wierzchu rozrobionym twarogiem lub śmietaną), w garnuszkach mleko, w końcu jaja, chleb, ser, bułki. Czasem zjawi się gotowana lub pieczona kura, kaczka albo i prosię. Jedno i drugie prawdopodobnie przed śmiercią noża nie widziało, kiedy godnie tu miejsce zajmuje.

Zbrodniarze na kapuśniak, krupnik i pochlopkę nastawiają naczynia — chochla tej zupy kosztuje kopiejkę i zwyż. Inni zbrodniarze i ich »damy« grupują się wokoło mięsa. Każdy kawałek był w ich ręku — to samo z pampuchami i szangami; po obmacaniu tych przysmaków obli-

zują palce. W czasie tego zakupna harmider, potrącania, kłótnia, przekleństwa. Tu straganiarka narobiła wrzasku, bo któryś kandalszczyk porwał jedzenie, nie zapłacił i uciekł. Rozlega się krzyk: łapaj, łapaj! »nie ujdiesz sukinsyn!« — ale nikt nie łapie, a złodziej pomimo zapowiedzi, że nie ujdzie — spokojnie sobie poszedł i za innymi powtarza »nie ujdiesz!« Te wrzaski i tumult, zmieszane z brzękiem kajdan, stwarzają istne piekło!

Nareszcie kandalszczyki uporali się ze swojemi zakupnami — i odeszli. Teraz przystępujemy i my, aby coś kupić. Wygląd i zapach tych zup wzbudza wstręt, zwłaszcza, gdyśmy widzieli, jak z warzechy, którą baba czerpała ten specyał, dała niejednemu skosztować na dowód, jaki smakowity — a tyłu już wąsy i usta umaczało. Pozostałe kawałki mięsa, obmačkane łapami niejednego, pampuchy, placki i inne delikatesy także były w brudnych rękach. Zatem nie pozostaje wiele do wyboru — musi się brać, co jest i możliwe jeszcze do spożycia, a zatem: chleb, bułki, jaja i ser; ten ostatni, choć podróż przez brudne palce odbył, w końcu po oskrobaniu zjeść będzie można.

Spostrzegamy, że niektóre przekupki z pod fartuszków, a raczej z dalszych rejonów swego ubrania do-  
bywają garnuszki i miski z specyjalnemi potrawami, co  
aż tam ukryły głęboko przed kandalszczykami, bo »Po-  
laci« naród delikatny, coś lepszego potrzebują i lepiej  
płacą, niż »nasz Russki«. To lepsze a tak starannie ukry-  
wane, było to: jajecznic na mleku, »bliny« (grube drożd-  
żowe naleśniki) i pieczone nie do poznania, z jakiego,  
a może i dzikiego ptactwa? Uśmiechało się to do naszych  
głodnych żołądków, a sprzedawczynie umiejętnie drażniły  
nasz apetyt, swoim sposobem zachwalały bez miary te  
osobliwości, odwołując się przytem na naszych z poprze-  
dnych partyj, którzy nie mogli się dosyć tych potraw na-  
chwalić. Jeśli tak było, to pewnie nie zauważyli, w jakim  
ukryciu i to dość długo przebywały — a co chytrze udało  
się nam podglądać; a natenczas z racyi tych podejrzanych  
skrytek trudno było nabrać uczciwego zaufania do

tych osobiwości kucharskich; przeto wstrzymaliśmy się od nabycia tych smakołyków. Ta rezerwa dziwiła niepomrotnie te żywicielki i srodze były obrażone i złe na nas, może nie tyle, żeśmy z tego nic nie kupili, ale więcej za afront uczyniony im z racji ich skrytek, które tak niemilosernie zdyskredytowaliśmy.

Jednak nie na każdym etapie znalazł się taki zapas różnych wiktuałów i potraw. Często tylko kapuśniak, jakaś pochlopka i chleb — i aby tylko dostać, poprzestawało się na tem.

Wracam do opisanego etapu. Po zakupnie, co było możliwe do spożycia, żołnierz za drobną zapłatą nastawia samowar — a mieliśmy kilka w partyi. Przy tem więc zakupnie pijemy herbatę z przykuską lub z przydumką — i to stanowiło śniadanie, obiad i kolację.

Tak z małą odmianą tego trybu życia szło się od etapu do etapu, a wszędzie towarzyszyły nam różne utrapienia i ciężar niewoli.

W niektórych partyach były i nasze Polki męczennice; wiele z nich towarzyszyło swoim mężom dobrowolnie; były to niewiasty wielkiego serca, hartu duszy i niesłychanego poświęcenia. Były także takie, co szły skazane do robót katorżnych lub na posilenie za udział w powstaniu, w organizacyi lub za poświęcenie się dla sprawy ojczyznej. One wszystkie stokroć więcej pożałowania godne, bo srogość podróży etapami stawiała się dla nich o wiele cięższą niż nam i nad ich siły. Na etapach i w podróży staraniem naszym było o możliwe dogodności dla nich, aby choć w części ulżyć im w tej niedoli. Jeśli nie znalazło się osobnej izby dla nich, natenczas zasłaniało się jakiś kącik, aby bez żenady pozostać tam mogły. Sadowiliśmy je w pochodzie na furmanki, dawane nam pod rzeczy i t. p. dogodności czyniło się.

I w partyach zbrodniarzy, jak powyż napomknąłem, były kobiety za zbrodnie zesłane. O zgrozo! jakieżto wyuzdane, bezwstydne — prawdziwe potwory, nie kobiety. Z ich powodu bywały między zbrodniarzami kłótnie, koń-

czące się nieraz bójką; niespokój ciągły w partyi, intrygi, przekleństwa. Na orgie ich musiało się oczy zamykać, i uszy zatykać, gdy zbrodniarze zaczęli się swoimi zbrodnicznymi czynami przechwalać. Natura ludzka wzdygała się na te historye — a ten, co najstraszniejszą zbrodnią mógł się pochwalić, był u nich w największem znaczeniu. To ich chluba, to ich bohater! I takiego zwykle na »starostę« (przedstawiciela partyi) obierali. Każda bowiem partya, czy naszych czy zbrodniarzy, musiała z pomiędzy siebie wybrać starostę takiego, na którego ręce pieniądze karmowe etapowy oficer wypłacał, a ten dalej rozdawał; również w imieniu partyi odnosił się do władzy z prośbami lub zażaleniami — i taki, jeśli był sprytny i rozsądny, wiele dogodności dla partyi wywalczyć mógł, bo z nim się komendanci etapowi liczyli.

Żeby wiernie opisać wszystkie dolegliwości i utrapienia, jakie pochód etapami sprawia, trzebaby być pisarzem z zawodu i to z talentem do malowania zgrozy — a moje opowiadanie może tylko słaby i nieudolny dać obraz tego, co ja i moi towarzysze w tym pochodzie przeżyli.

Gdyby mogło być zmazanie wszystkich win człowieka przez pokutę, to wskazana pokuta przejściem przez etapy — wystarczyłaby na to. Gdyby żył w dobie tych wędrowek Dante i przeszedłby się etapami, nie szukałby w fantazyi tematu do stworzenia dzieła swego o »Piekło«, bo na ziemi po drodze etapów znalazłby go!

---

Powyższym szkicem przerwałem podróż z Tobolska dalej w Sybir, wracam zatem do tego miejsca. Jak wspomniałem, Zenowicz zorganizował wysyłanie naszych pocztą ziemską z Tobolska i tą ruszyliśmy. Na każdej kibitce nas trzech a czwarty żołnierz. Jazda była szalona! Do każdej kibitki dwa lub trzy konie zaprzężone. Mieliśmy dziennie około 120 wiorst ujechać, dlatego najczęściej pędzili co koń wyskoczy! Izwoszczyk (furman) do takiej ja-

zdy przywykł a konie przyuczone, lecz nam nieobytym z taką dyabelską jazdą zdawało się to straszmem, bo w tym szalonym pędzie gdyby kibitka się wywróciła, chybaby połamane kości zbierać przyszło. Kibitka to krótki wóz, przód wyższy i szeroki, a tył węższy i niższy — a że koła przez to, że kibitka jest krótka, prawie razem, więc trzęsie i rzuca strasznie. Musieliśmy rękami trzymać się drabinek, aby nie wylecieć. Konie do podziwienia wytrwale — nieraz całą stacyę w galopie przejechaliśmy. Izwoszczyk wykrzykuje i konie tem do biegu zachęca: »Ha, hu! batuszki! z gorki na gorku, daść baryń na wodku!« Te przymawiania się o napiwek były jednak bezskuteczne, gdyż chęci nasze nie były w zgodzie z kieszenią.

Na każdej stacyi już inne podwozy czekały i na te przesiadywaliśmy się. Gdyśmy na nocleg stanęli, doznaliśmy uczucia, jakbyśmy porozbijani byli. Nocowaliśmy po kwaterach we wsi tak, jak jechaliśmy z żołnierzem po czterech. Lud napotykaliliśmy dobry, przeważnie »starowiercy« (sekta) i w niektórych miejscowościach zamożny, co po porządnym budynkach i zasobie we wszystko wnioskować się dało. O zamożności ich sądzić było można z tego, że taki bogacz gospodarz ma liczne stada koni, bydła i owiec, której liczby, jak przekonaliśmy się, dokładnie podać nam nie mógł, a jedynie po typie lub maści dobytku swego rozpoznaje swoją własność.

Nasza partya składała się z 12 takich kibitek. Rano podwozy gotowe stały i ruszaliśmy dalej. Jak dobrze była ta poczta zorganizowana, dowodzi to, że nigdzie na konie nie czekaliśmy, a czas przyjazdu i odjazdu partyi prawie na godzinę był oznaczony.

Cała przestrzeń z Tobolska do Tomska jest przeważnie równiną — gór większych niema, chyba pagórki nieznaczne napotka się. Wogóle jak wschodnia Syberya jest krajem górzystym, tak zachodnia jako płaszczyna przedstawia się. Olbrzymia rzeka Jeniesiej dzieli ten kraj na dwie części z odmiennym zupełnie charakterem, po prawej stronie dominują góry, po lewej ogromna płaszczyna

z jeziorkami i trzęsawiskami. Po drodze do Tomska nadybywaliśmy te moczary z jeziorkami, na nich ptactwa wodnego bez liczby; chmary całe zalegają te miejsca; spłoszone, stadami całymi wznoszą się w powietrze i gdzieś daleko na tym bezmiernym obszarze zapadają. Na jeziorkach, na błyszczących się ich zwierciadłach liczne stada tego ptactwa żerują, że aż się roi tą masą niezliczoną. Nigdzie takiej ilości ogromnej dzikich kaczek, gęsi, kurek wodnych, żórawi, krzyków i innego gatunku wodnych mieszkańców w życiu nie widziałem. Dla myśliwych byłoby to eldorado, gdyby można się dostać w środowisko tego królestwa ptasiego.

Przejeżdżaliśmy całe stacye takimi moczarami; w wielu miejscach trzęsawiska, które trudnoby było przebyć, gdyby nie wyłożono gościńca dylami w poprzek drogi ułożonymi, jakby most jaki, bo inaczej telaga z końmi ugrzęzłaby w moczarze. W tych miejscach jakażto dolegliwa i przykra jazda! Koła skakały po tych progach z belek, telagą rzuca niemożliwie, aż podskakuje w górę; obawa ciągła, czy się w kawałki nie rozsypie — a my doznajemy uczucia, jakby się członki nasze w stawach rozluźniały. Żeby zmniejszyć przykre działanie tego trzęsienia, spieramy się na rękach, a pomimoto podskakujemy na siedzeniu; policzki trzęsą się jak galareta a głowa hopki robi, że czapka na niej tańczy, zsuwa się raz w tył, to na oczy zjeżdża; zęby odskakują a z językiem musi się mieć na baczości, aby nie dostał się między zęby. Nasz żołnierz klnie na czem świat i hańbi ostatnimi słowami izwoszczyka.

Przy tej nieznośnej jeździe konwojują nas ogromne chmary komarów; trudno rady sobie dać i opędzić się im — chciwie wpijają się w części odsłonięte ciała; nie wiemy, czy ręk użyć do odpędzania się od nich, czy na podporę ciała? Szczęście, że taka droga tylko miejscami była i na przestrzeniach nie wielkich, choć nieraz spory kawał tak się jechało — bo stanowczo byłoby niemożliwym przebyć ją. Gdzie teren nieprzepadzisty, był zresztą

gościniec dobry i równy — i tam pędziliśmy szalenie, że co koń wyskoczył.

W tej podróży, nie pomnę, czy to było w tobolskiej czy w tomskiej gubernii, z powodu tych moczarów byliśmy naoczniymi świadkami przejmującego nas zdarzenia. Wieś, w której nocowaliśmy, leżała na niewysokiem płaskowzgórzu, a obok niej roztaczał się widok na obszerne, okiem nieobjęte łąki i moczary. Tuż za wsią było pastwisko na zboczy, chylącej się ku nieprzebytym trzęsawiskom. Gdyśmy rano wstali i zbieramy się do dalszej podróży, wpada z krzykiem i płaczem chłopiec gospodarza u którego nasz nocleg był, i zdesperowanym głosem oznajmia, że ich koń na moczarze topi się. Wybiegamy z gospodarzem, który zabiera zarazem sznury dla ratowania. Nasza piastunka (żołnierz) staje w opozycji i nie puszcza nas z wielkiej pieczołowitości i obawy o swych pupilów aby im się coś złego nie przydarzyło i w tej troskliwości o nas znalazł się z nami na pastwisku, gdzie pasie się bydło i konie — a dalej w odległości paręset kroków od tego miejsca widzimy konia, którego tył całkiem już ugrzązł w moczarze. W koło pod jego ciężarem powierzchnia zielonej murawy wklęśła się, a wydobywająca się z pod tego kożucha woda tę wklęśłość wypełnia. Groziłoby niebezpieczeństwem dostać się tam bez pomostu, bo ten sam los co konia, mógłby i ratujących go spotkać.

Na wieść o tym wypadku zbiega się coraz więcej ludzi. Jeden ze starszych gospodarzy zarządza, żeby znośili tarcice, drzwi i drągi do tych na poprzeczki, aby po tem jak po kładce dostać się do konia, którego natenczas można będzie umocować do sznura i tym z topieli wyciągnąć. Za tą radą biegną na wieś — lecz tu każda chwila ma wielkie znaczenie, bo koń coraz głębiej zanurza się. Już większa jego część w topieli, a za chwilę po przednie łopatki zapadł się; bije jeszcze przednimi nogami po wodzie, ostatkiem sił chciałby ratować się — lecz daremne jego wysiłki, gdyż wciąż grzęźnie coraz głębiej i głębiej!... Wprawdzie pomoc rychło przybywa, bo biegną z de-

skami, drągami i drzwiami, zdjętymi w pośpiechu z haków — i z tego, jak można najspieszniej, pomost układają, jednak choć to robią z największym pośpiechem — zdaje się — że ratunek ten będzie spóźniony, gdyż jeszcze prędzej, jak to robią, koń coraz szybciej w głębię idzie. Już tylko szyję i głowę widać... zarżał biedak! Odczuwamy jego rozpacz — tem rżeniem zapewne, gdy zobaczył zbliżających się ludzi, spodziewa się i prosi ratunku! Nie zdążyli jeszcze zbliżyć się do niego — a już tylko głowę widać — a za małą chwilę i ta znikła w topieli...

W nerwowym niepokoju i żalu za koniem, jakby był naszą własnością, stoimy bezradni z troską, że wyratować go nie udało się. W miejscu, gdzie koń utonął, widzimy, że zapadnięta powierzchnia murawy, pozbywszy się ciężaru, zwolna podnosi się, woda znika a całe to miejsce wyrównało się tak, że po tej katastrofie ani śladu zmiany jakiej nie pozostało, bo i otwór, w którym koń zniknął, zeszedł się całkowicie, a tylko którądyś szparą gazy bulkoczą.

Winę utonięcia konia mieszkańcy tamtejsi przypisywali pastuchom, bo ci mieli uważać na konie i bydło, aby ku trzęsawiskom nie zapuszczało się, gdyż tam topiel bezdenna już nie jedną sztukę pochłonęła. O ile było można wnioskować, bagnisko, przedstawiające się jako murawa na pozór nie groźna, było warstwą spojonych korzeni roślinnych, tworzących kożuch, spoczywający na bagnie, a miejscami na wodzie. Otóż koń zapewne natrafił na cieńszą warstwę tego kożucha, prawdopodobnie z podłożem wody, kiedy na wierzch wystąpiła, przebił ten kożuch nogami, dla których nie znalazłszy oparcia dla wydobycia się, swoim ciężarem coraz głębiej tłoczył się, aż się cały pogrążył w przepaść.

Chociaż podróż roztawnymi końmi, jak wspomniałem, męczącą była, jednak była wesołą i w niej odżyliśmy, mając swobodę, bo prawie bez straży jechaliśmy. Żołnierza więcej za towarzysza uważaliśmy i było nam z nim wygodnie, bo on zawsze o lepszą kwatere na nocleg wy-

starał się i o wikt na popasach, a gdyśmy na nocleg stanęli, już jego rzeczą było o dobrą kolację i śniadanie postarać się. Opiekował się rzeczywiście nami szczerze, jak dobra piastunka. Polubiliśmy go i on się do nas przywiązał.

Tak jadąc, jedenastego dnia przybyliśmy do Tomska, miasta gubernialnego i zajechaliśmy przed naszą rezydencję, zwaną ostrogiem albo tiumną. Sądziliśmy, że w taki sam sposób jak do Tomska i dalej pojedziemy — i liczyliśmy się z naszymi kośćmi, czy w dalszej podróży przy waryackiej takiej jeździe w kupie zatrzymają się; w każdym razie, gdyby i roztrząść się miały, wybralibyśmy tę podróż, niż iść etapami znów w towarzystwie zbrodniarzy, na wspomnienie czego człowiek wzdygał się.

W Tomsku w tiumnie mówiono nam, że właśnie pod tę porę zebrała się tam, rekrutowana z pośród kandal-szczyków, szajka fałszerzy pieniędzy papierowych (bumażek). Ci właśnie za tę fabrykację w Rosyi do katorgi zasądzeni zostali, a po drodze zatrzymano ich tu, aby popisali się swym kunsztem i lepszy wyrób bumażek czynownikom tutejszym zostawili. Słyszeliśmy, że za 10—15 kopiejek można było dostać nieźle podrobionego rubla, a mniej udolnie zrobionego i taniej. Utrzymują, że w Rosyi po więzieniach trudnią się specyjalni fałszerze fabrykacją pieniędzy w porozumieniu z dozorem więziennym, który im dostarcza potrzebnego materiału do tej fabrykacyi, a następnie zajmuje się zbytem falsyfikatu. Nie badaliśmy, czy to prawda, bo nas to mało obchodziło, a trudno nie wierzyć, gdy się ciągle o tem słyszy, a silna opinia potwierdza.

Jak w każdym mieście gubernialnem, tak i w Tomsku zaopatrywali partyę w ubrania aresztanckie kazonne. I ja wtenczas przystąpiłem pierwszy raz po ten fasunek. Za wściubieniem magazynierowi w łapę małej kwoty, bo na większą nie stać mnie było, gdyż wyłączny fundusz stanowiło karmowe — ale on i tem nie pogardził — dostał mi się lepszy i obszerniejszy kozuch, bradiaszka i koty (chodaki), a kozuch tak obszerny, że mogłem

go na swe ubranie włożyć. Musiałem się zabezpieczyć przed nadchodzącą a tak srogą zimą syberyjską. Nie mogłem się z początku z kotami pogodzić, gdyż musiałem się dopiero uczyć w nich chodzić.

Nadzieja, że jak dotąd z Tobolska pocztą ziemską tak i z Tomska dalej nas wyszłą — zawiodła, bo dowiadujemy się, że pójdziemy dalej etapami i to w towarzystwie zbrodniarzy. Żal nam było bardzo tej swobody, jaką mieliśmy z Tobolska do Tomska, więc jeszcze więcej przykre mi będą te wszystkie utrapienia po etapach, a szczególnie nad wyraz wstrętne towarzystwo zbrodniarzy i ciągły kontakt z konwojem, o czym wyżej skreśliłem, dając słaby obraz tych utrapień, bo nie wszystkie po tylu latach można było uprzytomnić sobie; teraz jak sen mającą się zdarzenia różne z tego czasu, a te tylko, co wyraźniej zarysowały się — lepiej w pamięci utkwily. Do tych należy następujące zdarzenie:

Na jednym z etapów między Tomskiem a Krasnojarskiem, gdyśmy rano mieli wyruszać do następnego i stanęli do powierki, t. j. do porachowania nas — widzimy, że podpity oficer jednego z kandalszczyków niemiłosiernie bije. Rzucił go na ziemię, kopie nogami i żołnierzom do tego znęcać się nad nim każe. Tak tym widokiem byliśmy oburzeni, że wołamy do oficera, aby zaprzestał znęcać się, a gdy to nie pomogło, zaczynamy wrzeszczeć do niego, posyłając prawdziwie moskiewskie komplimenty. To już pomogło, bo zaprzestał kandalszczyka mordować, a zwraca się do nas, wrzeszcząc w pasy:

— Wam miateżniki małczat', bo nauczę was jak buntować się — w kajdany każę pokuć!

My natenczas jeszcze głośniej i dosadniejszymi moskiewskimi wyrazami zaczynamy go traktować, co widząc zbrodniarze, że my się go nie boimy i w ich obronie stajemy, groźną postawę przybrali, także go bezcześcić i kłakami odgrażać się zaczęli. Natenczas oficer zakomenderował żołnierzom pod broń! Na komendę biegną żołnierze do karaułu (rodzaj odwachu), a my także jakby na ko-

menę zastępujemy im drogę i nie dopuszczamy tam. Powstaje ogromne zamieszanie — krzyki oficera, żołnierzy, kandalszczyków i nasze głosy zmieszane razem, robią ogłuszający harmider! Oficer rozbawiony rzuca się z żołnierzami między nas i chce nas rozstrącić, aby do broni się dostać. Rzuca się, kułakami roztrąca, pieni się ze złości! — lecz na próżno — nas było znacznie więcej i silnym zwartym wałem stanęliśmy przed karauką, zawzięcie broniąc wejścia tam oficerowi z żołnierzami — nie mieli więc możliwości do broni dostać się. Oficer widząc, że nic z nami nie poradzi, szle żołnierzy na wieś po chłopów, aby czemprędzej uzbrojeni spieszyli w pomoc dla poskromienia zbuntowanej partii.

Biegną za chwilę chłopci uzbrojeni w widły, siekiery, cepy, pałki i co kto miał pod ręką. Kilku z naszych podchodzi do nich z przedstawieniem:

— Oficer pijany nad jednym ze zbrodniarzy pastwił się, a choć on zbrodniarz, zawsze człowiek. Powinniście zrozumieć i iść do domu, bo nam nie podołacie, gdyż wszystka broń w naszych rękach — a tych zbrodniarzy nie radzimy wam zaczepiać, gdyż oni nic nie mają do stracenia, gdy wy całe swoje mienie stracić możecie. Okazecie przeto rozum, gdy wrócicie do domu, a upewniamy was, że my z oficerem w spokojny sposób załatwimy się, i także spokojnie dalej pójdziemy.

Argument, że u nas broń, a zbrodniarze mogą wieś podpalić, poskutkował, i chłopci, pomimo nawoływań oficera, zaczęli się rozchodzić.

Oficerowi skonfundowanemu jedna jeszcze droga, jedno wyjście z tej kolizji pozostaje: poradzić się swej małżonki, uchodzącej za bardzo mądrą — ona go napewno z tych opałów wyprowadzi! Jak później od żołnierzy dowiedzieliśmy się, to baba nielada, dyplomatka i ćwik a mądra, w pojęciu żołnierzy, za dziesięciu oficerów, ona i samego generała wyprowadzi w pole — i cuda o jej mądrości rozpowiadali.

Spostrzegamy, że suną oboje; ona dość dobrej tuszy

w chodzie kolebie się — na kilkanaście kroków przed nami stanęła, aby wysapać się i zorientować w sytuacji. Jak dowódca przed rozpoczęciem walki, objęła plac boju wzrokiem przenikliwym i twarz stroi w minę urzędowo-uroczystą — tak wymaga ważna jej misja! Przy ubieraniu się widocznie wielki pośpiech musiał być, bo z pod czepka, który na głowie na bakier leży, wyglądają włosy rozczochrane: kacabajkę dopiero teraz zapina — w pośpiechu i roztargnieniu nie stało na to czasu... Zatem z miną pocieszenie poważną a zapewne z planem już w głowie gotowym, podchodzi do nas. Pracuje widocznie nad sobą, aby spokój zachować, jednakowoż podbródek nerwowo drga, a wargi poruszają się, jakby pacierze mówiła. On, choć przygnębiony a także zdenerwowany, jednak już spokojniejszy, gdy jest pod taką ochroną, jak pod pancierzem; zła przygoda nie stanie się.

Gdy stanęła przed nami ze srogą miną, ostrym tonem odzywa się:

— Co wy sobie myślicie, że taki napad, jaki zrobiliście, bezkarnie wam ujdzie!? Za to katorga i kajdany na całe życie — ja się o to postaram; ciężko za to odpokutujecie i nieraz wspomnicie Wierę Pietrowną, którą przed sobą widzicie, siostrę dyswitelnego tajnego sowietnika. On, gdy ja zechcę, może was zniszczyć, najsroższe kary nałożyć, do podziemi wpakować, że światła nigdy nie ujrzycie i zębami tam zgrzytać będziecie... Rozumiecie, co ja do was mówię? Rozkazuję wam w tej chwili odejść od karaułu!

Popatrzyła badawczo po nas, przyczem usta wyduła i w mars straszny twarz ubrała, bacząc, jak rozkaz jej działa i jakie wrażenie na nas pochwalenie się tak wysoką koligacją zrobi — a to w celu, aby nas zastraszyć, iż przez takiego dygnitarza bardzo nam zaszkodzić może — i tego złękniemy się, a rozkaz jej stanie się świętym.

— Nikogo ani żadnej kary — odpowiadamy — nie boimy się, raczej pochwała nam się należy, że człowieka zabić nie daliśmy. Ale on — wskazując na jej męża —

pijak, rozbójnik, za swój nietakt i sprowokowanie nas do tego, co zaszło, i za to, że nam broń w karaulce jakby umyślnie do naszego rozporządzenia zostawił, powinien być ukarany. My widząc takiego szaleńca, nie dopuściliśmy do użytku tej broni, przez co mogłyby sceny krwawe nastąpić, którym my rozsądnie zapobiegli — za co nam pochwała należy się. A on i za inne dobrze nam znane sprawki jego, głośne po etapach (choć o żadnych nie wiedzieliśmy) pójdzie tak zakuty — wskazaliśmy kandydatów — tam, gdzie oni idą! O to — to my się już postaramy...

Na myśl o tej możliwości on zbladł i jakiś mu skurcz wystąpił na twarzy, a u niej gdzieś w jednej chwili z twarzy nastrojonej srogo, robi się inna: słodko-miła; w oczach wilgoć pokazuje się, usteczka składa do uśmiechu i już czule odzywa się:

— I wy, Polaczki, taki naród ambitny, nie wstydzicie się obstawać za zbójami i taką swołoczą?

— Właśnie dlatego, że takimi jesteśmy i mamy uczucie ludzkości, nie możemy patrzeć się na znęcanie się nad człowiekiem, jakiby on nie był.

— No, no, moi gołubczyki (gołąbki) — odzywa się ze słodkim uśmiechem i zaczyna niektórych w konfidencyi po twarzy głaskać — na co wam narażać siebie i jego na przykrości; puście żołnierzy do karaulki i idźcie z Bogiem w pokój, a ja wam dam czesne słowo, że wam włos z głowy nie spadnie, bo mój wprawdzie trochę pijaczyna, ale nie jest tak złym, jak sądzicie.

Coś i on chciał powiedzieć, lecz w jednej chwili ze słodkich oczek jaszczurczy wzrok przeszył go, więc zamilkł i ani pary już nie puścił. Pewnie to spojrzenie znanem mu było, jakby wypowiedziała: durniu, milcz, gdy ja mówię!...

— Zgoda — mówimy — ale i on musi dać oficerskie słowo, że z naszego ustępstwa korzystać nie będzie.

Zatem oboje razem na to żądanie słowem i przy-

sięgą dają to zapewnienie. Poczem ona już w dobrym humorze dodaje:

— A widzicie, moi luboczki, jacy my dobrzy i cześni — ale i my na waszą cześć liczymy, że o tem zajściu rozgłaszać nie będziecie.

Odstąpiliśmy od karaułu, a żołnierze, gdy weszli tam po broń, śmiali się serdecznie z tego zajścia i kiwali głowami, podziwiając mądrość i spryt swojej komandychi.

Ona musiała być dobry kawałek, bo gdy mąż wracał z nią do domu po papiery konwojowe, widzieliśmy, jak groziła mu kułakami i chesała czuprynę, co się zowie, a co języczkiem swoim i ruchami rąk i głowy dokumentowała — nie dziw więc, że może i z tego wyłysiał.

Niebawem ruszyliśmy w drogę. Aby zalać robaka i pocieszyć się w strapieniu, nasz oficer musiał z parę kieliszków pocieszycielki łyknąć, bo zaraz położył się na naszą podwodę i snem sprawiedliwego tak twardo zasnął, że dopiero na drugim etapie się zbudził.

Z tego zajścia mogły dla nas przykre następstwa wyniknąć, gdyby oficer czuł się więcej siebie pewnym. Ale widocznie sumienie musiał mieć nieczystymi sprawkami obciążone, skoro szczególnie żona jego pragnęła to zajście zatuszować. Bowiem w razie śledztwa o powyższe zajście mogłyby być poruszone i inne sprawy, a natenczas widmo następstw z tego, wskazaniem przez nas na straszną dolę kandalszczyków — złamało ich i weszli z nami na drogę ugody.

Żadne złe skutki z tej awantury dla nas nie nastąpiły, przeciwnie, dosyć zadowolenia mieliśmy choćby z tego, że nasz pochód przepletliśmy urozmaiceniem, a główna uciecha, żeśmy oficera i jego przemądrą małżonkę upokorzyli. Osiągnęliśmy nadto od kandalszczyków wdzięczność za obronę ich, co przy każdej sposobności okazywali nam — i tak: na pryczach więcej miejsca zostawiali, a w czasie zakupna żywności, gdy który z naszych przybliżył się do przekupek — rozstępywali się. W takiej zgodzie z nimi doszliśmy do Krasnojarska.

W Krasnojarsku z umieszczeniem nas nie było wyjątku i do tury wprawiono. Tam z naszej partii wyłączone tych, którzy byli do Jenisiejskiej gubernii na posilenie zasądzeni, a dołączono zatrzymanych do dalszego z nami transportu. Tak złączonych w dalszą drogę do Irkucka wysłano. Partię kandalszczyków, którzy z nami przyszli, wysłano przed kilku dniami, a do nas innych przydzielono.

Za Krasnojarskiem przeprawa przez Jenisiej, jedną z większych rzek w Azji. Przewóz odbywa się na dużej barce; rodzaj to promu z wiosłami, bo rzeka bardzo głęboka. A że prąd wody uniósłby statek daleko, nimby na drugą stronę w miejsce przeznaczone przypłynął, musi się go poprzód w górę rzeki holować. Statek, którym nas przewożono, był stary i szparami woda do środka dostawała się, gdy przytem za dużo nas na nim umieszczono. Ja stałem przy samej burcie i spostrzegam, że choć nieznacznie, jednak stale w wodzie zanurza się. Rzeka bardzo szeroka i już dość długo płyniemy, a jednak do drugiego brzegu jeszcze daleko a statek coraz głębiej — co już z przerażeniem zauważyłem — w wodzie znachodzi się. Lęk zdjął mnie na myśl, że nim do drugiego brzegu dobijemy, całkiem zanurzyć się może — a wówczas nie byłoby dla nas ratunku i w nurtach dla wszystkich śmierć niezawodna. Że moje spostrzeżenie nie było mylne, wnioskowałem z tego, iż wiosłarze całą forszą pracują, aby jak najprędzej do brzegu dobić. W tej obawie zdawało mi się, że całe wieki ta przeprawa trwa, a z nią i trwoga tak długa! Z mojemu spostrzeżeniami nie wynurzam się i w milczeniu tę obawę zamknąłem w sobie, aby tem paniki nie wywoływać, za którą niezawodnie poruszenie nastąpiłoby, czem statek mógłby rozkołysać się i woda, i tak już niedaleko burty sięgająca, chlupnęłaby do środka, a natenczas ratunku jużby nie było i śmierć wszystkim w nurtach tej olbrzymiej rzeki. Z biciem serca spoglądałem na brzeg, do którego zbliżamy się — i Bogu dzięki w krytycznej chwili, gdy woda już z burtą zrównała się, dobijamy, ale gdy sta-

tek o brzeg trącił, przez wierzch do niego zaczęła się przelewać i już zaczął się zanurzać. Wyskoczyliśmy co prędzej na ląd i jesteśmy ocaleni!

Do cudu zaliczyć można, żeśmy się nie potopili, co niezawodnie nastąpiłoby przy jednej minucie dłuższej żeglugi. Przewoźnicy, gdy szczęśliwie dostali się na brzeg, zaczęli się modlić i dzięki Bogu, również jak i my, za ocalenie składali. Oni pojmowali najlepiej tę chwilę tak dla wszystkich groźną!

Na tym promie staliśmy w wodzie prawie po kolana; wiatr mroźny ścinał już wodę, a kry trącały o niego. Do etapu był kawał drogi — biegliśmy, aby nogi zagrzać, a chociaż trudno było ogrzać się tem, jednak od przemarznięcia uchroniliśmy się. Zasapani przybiegliśmy na etap — tam zimno, bo dopiero rozpalili w piecach. Kandalszczycy pierwszym statkiem przepawili się bez wypadku i byli już na miejscu. Nie było w co przebrać się, bo nasze tobołki zostały po drugiej stronie rzeki i nadejdą później. Oficer konwojujący był z nami, jego uchroniły wysokie buty od przemoczenia nóg, gdy nasze położenie było bardzo przykre; na nogach koty (chodaki), w które nabrało się wody, a choć się z nich wylało, to z mokrych grubych onucz sukiennych, któremi nogi po kolana obwinięte były, woda do nich ściekała i przy biegnięciu chlupkaniem odzywała się, a z naszych kotów twardych jakby drewnianych porobiły się flaki. Oficer był jakiś dobry człowiek, bo znalazł słowa współczucia dla nas. Kazał dobrze w piecach napalić i pozwolił przynieść wódki tym, którzy dla ogrzania napić się chcieli. Przeklinał przedsiębiorcę przewozu i odgrażał się, że go wysoką grzywną ukarze i do aresztu zapakuje, iż taki stary i dziurawy statek dał do przewozu, przez co omal katastrofa nie nastąpiła.

W drodze do Irkucka zima z każdym dniem sroższą stawała się, a mieliśmy przebyć jeszcze przestrzeń 1003 wiorst wśród ostrych mrozów, która tej zimy jeszcze do tego bardzo zawałną była. Na Syberyi mrozy w grudniu

występują w całej swej mocy, sięgają 30 i wyżej stopni Reaumura. Ubranie kazonne (rządowe) aresztanckie, sporządzone z lichego materiału, dostatecznie od zimna nie chroniło. Za przykładem tamtejszych mieszkańców wywracaliśmy nasze kożuszki na wierzch włosem, co lepiej zabezpieczało od zimna, a ja mając lepsze ubranie wataniane, gdy na to kożuch wywrócony włosem wdziałem, nie czułem tak bardzo zimna, ale za to ciężko mi iść było, zwłaszcza w ciężkich dużych kotach wraz z kawałami dużego grubego sukna, którem nogi po kolana obwijało się. Tak ubranych, przy lichem pożywieniu, gdy się po zaspach dobiło do etapu, ubezwładniało znużenie.

Najgorzej, gdy się w drodze spotkało karawanę lub więcej takich, dążących z towarami w jedną i drugą stronę, która zajęła gościniec na długość wiorsty, dwóch lub trzech; wówczas z ubitego toru musieliśmy często wchodzić w bardzo głęboki śnieg i czekać, aż transport przejdzie. Niektórzy z zimna kostnieli, zwłaszcza, jeśli długo tak stać przyszło. Z ust kandalszczyków zakutych w kajdany, gdy przyszło im z ubitego toru schodzić, przekleństwa padały; gdyśmy ich słuchali, włosy na głowie stawały. Oni stokroć biedniejsi byli od nas, bo w głębokim śniegu w kajdanach niezwykle chód utrudniony; obręcze na nogach, choćby najlepiej podwinięte, ziębiły i raniły nogi.

Tak w jednym paśmie różnych udręczeń, głodu, zimna i t. p. bez jednej choćby trochę weselszej chwili — a przeciwnie wśród cierpień moralnych i fizycznych, doszliśmy przy końcu grudnia 1864 roku do Irkucka — dokąd, jak wspomniałem, na posiedzenie (osiedlenie) zasądzono mnie. Jeszcze raz weszliśmy do tiumry, gdzie jakkolwiek bądź choćby najgorzej, już z nią jesteśmy w blizkiej znajomości i przywykliśmy do jej rozlicznych przykrości i — że się tak wyrażę — dyktatury i grymasów, co jakoś w gronie serdecznych towarzyszy znosić się dało. Lecz co będzie na posiedzeniu? — tego przewidzieć nie można! Kto wie, czy życie tam nie stanie się jeszcze przykrzejszem i trudniejszem?! I na tę myśl jakiś niepokój, troska wkrada

się do duszy i tem prześladowe, a zmora ciemnej przyszłości dławie człowieka!

Pochód etapami i w tym czasie różne zdarzenia i przygody, natrafiane w tej smutnej podróży — gdy po czterdziestu latach spowodowany zostałem do spisania doznanych wrażeń w powstaniu i w drodze — starałem się wiernie skreślić tak, w jakim obrazie moja pamięć przechowała. Gdy przyszło mi pióro wziąć do ręki, jakże mi żal było, że nie porobiłem sobie żadnych notatek w czasie pochodu i na Syberyi, które teraz bardzoby mi się przydały do tego opisu — a tak wiele przygód i zdarzeń pogubiło się w pamięci po drodze życia, więc tylko to, co się w niej zatrzymało, mogę podać. Ze względu na moich towarzyszy w drodze i w Syberyi darować sobie nie mogę, że ich nazwisk nie spisałem sobie; gdy byliśmy razem, zdawało mi się, że z pamięci przecież wyjść nie powinny, a teraz bardzo wielu nazwisk przypomnieć nie mogę — zawiodła pamięć, na którą liczyłem!... Odczułem również brak notatek, gdy przystępowałem do skreślenia życia mego i zdarzeń w czasie pobytu na Syberyi. Także gdybym był w notatki i pamiętniki z tego czasu zaopatrzony, mógłbym nieco obszerniej o mieszkańcach tamtejszych, Moskalach i Burjaczach, z którymi się tam zetknąłem, wspomnieć. Jednak spróbuję opisać to, co i jak pamięć moja dochowała.

## CZEŚĆ DRUGA.

### V.

Syberya, jej obszar, klimat, wegetacya. — Zaludnienie. — Tubyłcy. — Napływowa ludność. — Irkuck. — Tjurma. — Wywożę mnie i Kompita do wsi przeznaczonych. Ojok i koledzy nasi. Kujada. — Pisarz gminny. — Moja kwatery. — Baba niedobra. — Moja na niej zemsta. — Spostrzegam stratę mego fundusiku; z tego zmartwienie. — Jadę do lasu. — Trudność zrąbania zamarzniętego drzewa. — Zasląblem, dostaję gorączki. Bania uzdrawia mnie. — Idę do Ojoku. — Rada i pomoc kolegów. — Błądzą w nocy. — Straszna burza śnieżna. — Zaimka i jej mieszkańcy. — Zamrożoną twarz przyprowadzają do życia. — Gospodarz odwozi do Kujady. —  
Powrót na kwatery.

Syberya zajmuje prawie jedną trzecią część całej Azji, a półtóry Europy niemal zmieściłaby na swym obszarze. Powierzchnia Syberyi ma 12,000.000 kilometrów kwadratowych — ludność jednak podówczas na tej olbrzymiej przestrzeni miała liczyć tylko 7 milionów mieszkańców.

Łatwo więc pojąć, że kraj, obejmujący taką przestrzeń, przedstawia rażące różnice pod względem klimatycznym, etnograficznym i wegetacyjnym. Syberya ma klimat kontynentalny; zima jest bardzo ostrą z powodu, że kraj ten górami od południa zakryty a ku północy więcej otwarty — a także wiele na ostrość zimy wpływa tak znaczne oddalenie od Golf-Stream'u, który krajom europejskim, nawet znacznie na północ wysuniętym, ciepło nie-

sie. Pomimo to jest anomalią, że lato po tak ostrej zimie bywa niezmiernie gorące, jednakowoż trwa krótko, bo tylko do 4 miesięcy.

Bogactwo flory syberyjskiej wprowadza w podziw; także zdumiewać się można nad siłą wegetacji. Ledwo po zniknięciu śniegów — gdy słońce ziemię ogrzało — już trawa szpilki swe ku słońcu wystawia; na drugi dzień są widoczniesze i z każdym dniem coraz więcej i więcej, a tak szybko, że w krótkim czasie już kobierzec zielony zaścielił ziemię. Tak samo ma się z drzewami; już są pączki, a wnet drzewo się liściem okryło i ani spostrzegłeś się, skąd wzięła się ich zieleń.

Ten duży a tak dla nas ciekawy kraj, zamieszkują różne narody. Tubylcy jak: Samojeździ, Ostiaki, Jakuci, Tunguzi, Burjaci, Korjaci, Lamanowie, Czuktusi, Kamczadali i inne mniej znane szczepy, wszyscy przeważnie rasy mongolskiej i oni są właściwie »autochtonami« tego olbrzymiego kraju. Także ten kraj zamieszkuje ludność napływowa z Europy, przeważnie Rosyanie i inne narody z pod panowania rosyjskiego z Europy nasłane, między tymi dużo Polaków, Niemców, Żydów i innych.

Od czasu zajęcia Syberii przez Rosyan na początku XVII wieku, rzeka tych ludów z Europy płynie i płynie bez przerwy i zaludnia ten ogromny obszar. Z małymi wyjątkami nie była i nie jest to dobrowolna wędrówka ludów, lecz siłą bagnatów pchana aż po ostatnie kończyny tego kraju. Ludy europejskie osiedliły się po większej części w południowej Syberii, przez którą prowadzi wzdłuż gościniec a teraz i kolej — łączące wschód z zachodem a zatem Azyę z Europą. Ludność rosyjska napływowa urzędownie figuruje jako prawosławna, jednak rozpada się na różne sekty, jak: starowierców, staroobrazców, duchoborców, chłyściaków i innych, ukrywających się z swem wyznaniem przed prześladowaniem. Poza tą ludnością, jak wspomniałem, z Europy na południu Syberii osiadła, obszary ku północy zamieszkują tubylcy, których wyżej

wymieniłem. Także i Rosyanie osiedlają się tam koloniami, z których kolonii i miasta powstały.

Po przybyciu do Irkucka<sup>1)</sup> zaprowadzono nas do miłej ze wspomnień tiumry i zatrzymano tam przez ruskie święta Bożego Narodzenia. W kilka dni pożegnaliśmy naszych towarzyszy z ostatniej podróży, którzy dalej do Ussoli, Nerczyńska, Akatui, Kadyi, Kary, Kutamary i innych kopalń w roboty katorżne zasądzeni i tam ich wysyłają. Ze łzami w oczach żegnaliśmy ich. Biedacy! w czasie takich mrozów dalsze straszne przykrości znosić będą w podróży etapowej, a w robotach katorżnych może jeszcze większe!

Przeznaczonych na posilenie do irkuckiej gubernii wysyłali prawie co dzień po wsiach. Przyszła kolej i na mnie a zarazem ze mną i na Kompita. Mnie przeznaczono do Kujady a Kompita o jedną wieś dalej do Jełowki. Zajeżdżała furmanka — już nas bez konwoju wiezie izwoszczyk do Ojoku, siedziby »gołowy«. Gołowa (naczelnik) jest przełożonym nad kilku lub kilkunastoma wsiami; jemu są wszyscy w tych wsiach wójtowie, tam zwani starostami lub starszynomami, podlegli. Urząd takiego gołowy jest bardzo zaszczytny, bo wybieralny przez wszystkie wsie, którym przewodniczy, z atrybucjami dość rozległymi — jak: rozsądzeniem w gminach różnych spraw spornych, kontrolą nad majątkiem gminnym i spichlerzem, prawem karania mniejszych przestępstw i t. p.

Otóż furmanka ta zawiozła nas do kancelaryi, gdzie taki gołowa urzęduje. Już był wieczór, musieliśmy przetocować. Dowiadujemy się, że jest tu naszych czterech na posileniu, którzy niedawno przybyli. Poszliśmy zaraz do nich; przyjęli nas jako swoich z całą serdecznością i tam przenocowaliśmy. Byli to: Dyonizy Henkel, Radoszkiewicz, Jan Kowalewski i Tadeusz Rehberg. Najęli sobie mieszkanie i we czwórkę zamieszkali. Dowiedzieliśmy się

---

<sup>1)</sup> Irkuck leży pod 52 stopniem szerokości, prawie tak jak Warszawa, położony nad rzeką Angarą i jej dopływem, Irkutem.

od nich, że w Kujadze i Jełowce żadnego z naszych niema i my pierwsi tam będziemy.

Wszystkim posielencom na pierwsze miesiące, zanim sobie jakiego zajęcia nie znajdą, rząd wyznaczył po 4 ruble miesięcznie. Ten wydatek, jak również koszt transportu politycznych, wziętych z bronią w rękę lub w jakikolwiek sposób zamięszanych w sprawę z roku 1863 — ich utrzymanie, koszty stłumienia powstania i rozlicznych pretensyi rządu rosyjskiego pokrywane były z nałożonej kontrybucyi na prowincye polskie a w szczególności na wszystkich właścicieli większych posiadłości Polaków we wszystkich zabranych prowincjach. Przy ściąganiu tej kontrybucyi działały się niesłychane nadużycia i nieprawości, a czynownicy moskiewscy porobili kolosalne majątki. Zatem subsydia po 4 ruble miesięcznie, mające się nam wypłacać, nie były żadną łaską ani ludzkim czynem rządu, lecz maleńką cząstką z tego, co kraj nasz tytułem kontrybucyi złożył. O tem, że mają nam tę kwotę wypłacać, wiedzieliśmy już w Irkucku i przed wysyłką nas po wsiach dopominaliśmy się o wypłatę tego zasiłku, na co smotrytel (zawiaadowca tiumny) oświadczył, że pieniądze na miejscu przeznaczenia dostaniemy. Naszym w Ojoku również tak powiedziano, jednak gdy przybyli na miejsce i dopominali się u gołowy i isprawnika, odpowiedziano im, że wyższa władza żadnych dla nich pieniędzy nie przysłała. Na wniesione podanie do gubernatora ani pieniędzy ani nawet odpowiedzi nie otrzymali. Przepadły w głębokich kieszeniach czynowników, a stamtąd już trudno wy dostać. Jednak gdy nie robiono nam trudności w przenoszeniu się z jednej wsi do drugiej, łączenia się w kółka, prowadzenia handlu, uprawiania rzemiosł różnych i czem kto mógł zająć się — przeto lepiej było tę swobodę opłacić zrzeczeniem się tej pomocy, jak narażać się na prześladowania, bowiem według instrukcyi mogli nam wolność bardzo ograniczyć i dokuczyć nam kontrolą, jaką mieli nad nami rozciągać, że nam nie wolnoby było bez wiedzy i zezwolenia wójta choć na krótko ze wsi wydalić się i ciągle zostawać pod

ściłym nadzorem policyjnym; więc mogli nam życie bardzo gorzkim uczynić.

Nazajutrz mnie i Kompita wywieziono do przeznaczonych wsi. W pierwszej, tj. Kujadzie, kilkanaście wiorst oddalonej od Ojoku, stanęliśmy przed kancelaryą gminną. Było to w połowie stycznia; mróz straszny, że pomimo okutania się we wszystką naszą garderobę, kostnieliśmy ze zimna, więc dla ogrzania się, biegliliśmy potrosze przy saniach; jednak i ten sposób nie wiele pomagał, bo ciężko przyodzianym trudno było biegnąć, gdyż przy tak silnie przez mróz zgęszczonem powietrzu oddech tamowało a temsamem grzać się nie dało. Do nozdry koni narastały sople, które dużymi kawałami lodu odpadały i znów narastały; a od pary z nozdry cała ich głowa, uszy i szyja warstwą zamrozi jakby białą puszystą oponą przykryte zostały. Tak samo naszych twarzy okolenie w krustę lodu ujęte. Musieliśmy sobie często nos i policzki w drodze rozcierać, aby nie odmrozić, co ukłuciem jakby szpilką znaczyło i wskazywało na zagrożone miejsce, więc śniegiem je zaraz nacierało się — inaczej zostałyby odmrożone; robiło się to za przestroga tamtejszych mieszkańców, którą ceniliśmy i baczną uwagę dawali, gdy tylko takiego ukłucia doznało się, zaraz stosowało się ten sposób.

Bardzo niska temperatura powoduje, że powietrze i para nadmiernie ochładza i zgęszcza się, a z mrozu straszego śnieg paruje i wskutek tego powstają opary, które dołem ścielą się i tak widok zasłaniają, że na kilkadziesiąt kroków nic nie można ujrzeć. Podczas takich mrozów, do 40<sup>o</sup> R. niżej zera sięgających, taka cisza w powietrzu, iż nie poznać najmniejszego poruszenia wiatru. Zjawisko u nas nie znane, że mrozem zgęszczone powietrze do tego stopnia zwiększa przewodnictwo głosu, iż z daleka już skrzypienie chodu lub sań a nawet głosy z drugiej wsi słyszać, jakby to o kilkadziesiąt kroków miało miejsce.

Po wejściu do urzędu gminnego, dłuższy czas czekaaliśmy, nim lód roztajał i uwolnił od spojenia twarzy z bażłykiem (kapuzą). Na wieść o przybyciu miateżników (po-

wstańców) zebrało się ze wsi sporo ludu, między tym i baby, których ciekawość przypędziła, aby nam przypatrzeć się. Oglądano nas bez ceremonii, jak ogląda się zwierzęta w menażeryi. Ileż to uwag złośliwych i ironicznych i słów grubiańskich usłyszało się, bo z swojemi uwagami nie krępowali się wcale:

— I ta drań (mizerota) porwała się na białego cara?!

Fantazyja w ich pojęciu robi z cara jakąś postać nadziemską; mają go za pomazańca Bożego, otoczonego aureolą bóstwa, siły niezwyciężonej i woli w niczem nieskrępowanej. Zatem dziwnem im było, gdy nas takich, tą okropną podróżą wymizerowanych, przyodzianych nawpół w aresztanckie ubranie, zaniedbanych do tego w tym stroju, przeto bardzo niepoczestnie wyglądających zobaczyli; mogło ich zatem przy takim pojęciu o carze dziwić, żeśmy się na jego władzę targnęli — i taką przez to niczem niesprawiedliwioną zbrodnię popełnili.

Pisarz gminny, już starszy wiekiem, w okularach z rogową oprawą zasadzonych na nosie, (a ten niezwykle nos, przypominający kształtem i barwą pomidora — stroił minę na wielkiego dygnitarza), gdy z powagą swej godności urzędowej przeglądał papiery dotyczące mnie a doręczone przez izwoszczyka — coś zamruczał pod pomidorem i pyta się:

— Który Kornieli Antonowicz Zelenko?

Na to odpowiadam:

— Ja.

Więc odzywa się do starszyny, wskazując na mnie:

— Tego wysoka władza z rozkazu gosudara (przy tem słowie uczynił pokłon) zesłała tu na posilenie, a tu-tejsza gmina ma mu dać tymczasem kwatere.

Gdy to wypowiedział, usiadł z powagą; on swoje urzędowanie skończył — reszta należy do starszyny. Tenże wstaje i pyta się gospodarzy:

— Który z was weźmie go na kwatere?

Ani jeden nie zgłasza się — cisza zaległa. Drugi raz

natarczywiej pyta. Wtem wysuwa się jakiś trochę pijany, niepokaźny chłop i oświadcza, że mnie weźmie.

— Zatem masz go — odzywa się starszyna — a pilnuj, aby nie uciekł, bo poszedłbyś do tiumry.

W tym czasie podwoda dla Kompita zajechała i pożegnawszy się ze mną, odjechał do Jełówki.

Idę z tym chłopem... Pod nogami mróz skrzypi i szczypie w nos i twarz. Od mgły nic nie widać; poza nią domy przybierają fantastyczne kształty. Po drodze pyta się mnie mój chłop, czy Polacy są chrzczeni?

— Tak — odpowiadam — a ty także?

— Także. Zatem pamiętaj, jak przyjdziemy do chaty, abyś oddał pokłon obrazom, bo moja baba nabożna, uważa na to — ale mówię ci w sekrecie — gdy zła, choć taka nabożna — to czort prawdziwy! Kto wie, może i napędzi cię!

Przychodzimy nareszcie — już mrok zapadł, gdyśmy weszli do chaty. Para od drzwi do izby buchnęła i zasłoniła widok, dopiero po ustąpieniu jej, ujrzałem babę-dromedara, potwornej twarzy, zachmurzoną, przypatrującą się mnie. Po skończeniu żegnań, w czem chłop naśladując, jak baba wrzaśnie na niego:

— A ty pijaku, drabie, swołocz mat' twoju... znów przyprowadzasz mi bradiagę! Won z nim, bo wam obu łby porozbijam!

— Ależ, matuszka, zaczekaj — słodko chłop przemawia — to nie bradiaga, jeno Polaczok..

— To jeszcze gorszy — wrzeszczy baba — bo oni dzieci jedzą!

Nie pomogło zdrobniałe przedstawienie mnie, bo baba w furji ciągle wrzeszczy: »won, won z nim!« i robi ruch, jakby szukała czegoś, aby swoją zapowiedź rozbicia głowy w czyn wprowadzić. Wobec tego odzywam się do chłopca:

— Wracajmy do kancelaryi, ja nie chcę mieć głowy rozbitej!

Chłop w ambarasie, nie wie, co począć. Będzie przed całą gminą skompromitowany i wyśmiany, zatem podcho-

dzi do baby i mityguje ją i coś jej szepcze; jednak baba w pasy nie przestaje wymyślać mu, a przytem i mnie niejeden duser się dostaje.

Zrobiło się istne piekło! Przy wrzasku baby i ja zły już i zniecierpliwiony pocynam krzyczeć na chłopca, aby mnie w tej chwili odprowadził, skąd wziął. W tym krzyku odzywa się (z »pałatiów«) wrzaskliwy głos przestraszonego dziecka. Więc cała muzyka — trzy głosy fortissimo drą się, a chłopca żalosne tony, jak brzęk mandoliny akompaniują temu piekielnemu wrzaskowi. Chłop we dwa ognie wzięty, nie wie, co robić. Dobywa żalosnych i czułych tonów i temi przemawia do baby. Pod wpływem tych, widzę, że baba mięknie i już łagodnie przyzywa mnie, abym się zbliżył do kaganka, bo chce się przypatrzeć Polacz-kowi. To coś niezwykłego tu! Polak miatieźnik; ciekawość ją pali zobaczyć go — lecz ja ciągle krzyczę na chłopca, aby mnie do kancelaryi prowadził, a w stronę baby zbliżyć się nie chcę; teraz chłop zaczyna mnie czule prosić i pcha w stronę kaganka. Ja się opieram, co widząc baba, zniecierpliwiona porywa kaganek i z tym przystępuje do mnie i zaglądając mi w twarz w uśmiechu otworzyła ogromne usta od ucha do ucha i rząd zębów dużych jak łopaty zaprezentowała i mówi:

— Nie bój się, ja nie taka zła! Ale kiedy cię ten pijaczyna przyprowadził, to już zostań; dam wam czaju — siadajcie..

Gdy wszedłem do izby, kilkoro dzieci, jak matka tak rozkrzyczała się, ze strachu przed nią, a może i przed miatieźnikiem, co dzieci zjada a także krzyczy, puciekwały na pałacie — dopiero gdy lepszy humor u matki nastąpił a widzą, że miatieźnik nie zwierz drapieźny, aby dzieci pożerał — położyły i ciekawie się miatieźnikowi przypatrują.

Przy herbacie baba wdała się ze mną w rozmowę i przypatrując mi się, z kpinami odzywa się:

— I ty nie bałeś się, taka mizerota, porywać się na naszego białego cara?

— A widzicie — mówię — że nie bałem się.

— To ty taki odważny? No... no! A byłeś w Pietierburgie?

— Byłem — odpowiadam.

— A widziałeś cara?

— Ojoj i ile razy — ot tak, jak na was na niego patrzałem.

— A jak wygląda? Czy krasny?

Przyszła mi myśl, żeby się na babie zemścić i za kpiny kpinami odplącić się i mówię:

— Właśnie, uważam, żeście matuszka bardzo do niego podobni, a gdyby wam taką brodę i wąsy, jakie on nosi, przypawić i w jego mundur ubrać, toby was wzięli za cara i tak pokłony bili, jak jemu biją. A czy krasny? — taki jak wy.

Babie uradowanej na jej wstrętnej twarzy radosny uśmiech występuje, wpada w najlepszy humor i pod wpływem tego zebrało się jej na czułości dla męża, które w ten sposób objawiła, że swą szeroką dłoń objęła jego obrośniętą brodę, silnie ścisnęła i przyciągnęła ku sobie, że aż mu łzy w oczach zaświeciły i zęby wyszczerzyły się — a tak trzymając, potrząsa, że aż mu powieki chlipać zaczęły i rzeknie, cedząc słowa:

— A te-raz su-kin syn, wiesz, co ja! a ty co? pro-sty mu-żyk, pi-ja-czok i du-ra-czok!

Z objawów czułości a także z duserów mój chłop był uszczęśliwiony. I dzieciom ten humor udzielił się, bo zaczęły wesoło bawić się i hałasować, na co matka wcale nie reagowała, pozwalając im na wszystko.

Wartoby taką wesołą chwilę zakropić, do czego baba szczególnie objawia ochotę, bo mówi:

— Napilibyśmy »wodoczki«, ale ten pijak wszystko sam przepije, a ja biedna nie mam kopiejki w domu, żeby czasem za moją pracę kieliszeczek napić się.

Domyśliłem się, do czego jej mowa zmierza, a chcąc zrewanżować się za herbatę, ofiaruję się posłać po wódkę i z tym zamiarem sięgam do kieszeni po pieniądze. Gdy

włożyłem rękę, przeraziłem się, bo była pustka! Sięgam do drugiej, całe ubranie przeszukałem i tornister — nigdzie nie znalazłem, jak kamień w wodę przepadły! Zostaję przerażony tą stratą w okropny sposób, bo staje mi jasno moje położenie, gdy bez kopiejki w obcym miejscu między wrogim narodem zostałem i to w czasie najsroźszej zimy, kiedy ani zarobku znaleźć, ani w inny sposób poradzić sobie trudno. Nie byłato wielka kwota, kilka rubli z takim trudem, z ujmą od koniecznego pożywienia odkładanych a ciągle z myślą po kopiejce ciułanych, aby mieć na pierwszy początek, gdy dostanę się na posilenie, i to naraz w takim położeniu stracić — zaiste stało się bardzo bolesnem!

Mówię gospodarzom, jaką stratę poniosłem — oni to widzą po mojej minie wielce zaambarasowanej. Proszę chłopą, aby poszedł ze mną do kancelaryi, może być, że tam w natłoku pieniądze wysunęły się i ktoś podjął.

W kancelaryi jeszcze pisarza i kilku chłopów zastałem — grali w karty w »stukalkę«. Opowiadał im o mojej stracie; szukają popod ławy ze świecą, lecz daremnie, bo jeśli mi tam, co najpewniej, wyciągnęli — to przepadło — a jeśli zgubiłem w drodze, to także się nie wróci.

Wracamy obaj — ja zmartwiony z powodu tak przykrych przygody, ale i chłop pozbawiony nadziei uraczenia się, szedł ze smutną miną. Baba, gdy to spostrzegła, naraz humor straciła i wpadła w irytację; chodzi już zachmurzona i zła — dzieci kułakuje, męża łaje i robi się znów piekło w domu. Ona tak się lubowała przed chwilą, jakto przyjemnie łykać wódeczkę i jak z tego błogo będzie na sercu a jeszcze więcej w żołądku — a tu naraz taki zawód! Czy z tego można mieć dobry humor? Chłop, aby nie paść ofiarą tego humoru, poszedł konie i krowę obejść, biedne dzieci znów poucikały na pałacie, tylko ja z nią i z jej humorem zostałem.

Gdy przyszła pora do spania, cała rodzina ułożyła się na pałatiach, a ja przyniosłem sobie trochę słomy i ułożyłem się na podłodze. Od Petersburga nie spałem na

miękkim posłaniu, to teraz, gdy się na tej wiązce słomy położyłem, zdawało mi się, że leżę na puchu. I byłoby świetne spanie, gdyby nie przygnębiecie z powodu straty zapasiku monety mojej.

Była kilka razy mowa o »pałatiach«: jestto rodzaj pomostu z desek, zwykle nad wchodowemi drzwiami zrobiony, a tak w oddaleniu od powały, aby nie trącając tejeż głową, siedzieć tam, a odpowiednio długi, aby swobodnie leżeć można. Przeznaczenie tego urządzenia jest do spania i cała rodzina kładzie się tam, a w zimie i dzieci po większej części przebywają, gdyż w górze cieplej. Tam pościel z wołoków, pierzyn, poduszek rozkłada się do spania; wchodzi się tam po schodkach lub po drabinie.

Po przespaniu tej nocy chłop mówi mi, że pojedziemy do lasu po drzewo. Nie czuję się na siłach, abym podolał jakiej pracy i przedstawiam mu, że siły moje tak uciążliwą i długą podróżą wyczerpane, nie zmogą cięższej roboty i potrzebują trochę wypoczynku, aby przyjść do siebie. Na to baba odzywa się:

— A buntować się, toś był zdrów i silny, a do roboty nie chce ci się wziąć i mówisz, żeś słaby; ja próżniaka karmić nie będę!

Chłop jednak namawia, abym pojechał — że do lasu niedaleko, on sam konia mi założy, w lesie pomoże i tak dodając mi ochoty — namówił. Więc jedziemy... Chłop na jednych, ja na drugich saniach; mróz był siarczysty. Dojechaliśmy do lasu — chłop daje mi siekierę i każe wskazane drzewo zrąbać, a sam bierze się do drugiego. Rąbię... drzewo zamrożone silnie a przez to twarde jak kamień; siekiera nie ima się go i odskakuje; ręce nie przyzwyczajone do takiej roboty, mdleją, a zresztą nie mam ani wprawy ani sposobu, jak się do takiej roboty brać; zapałem się i choć taki mróz, pot rosi czoło. Chłop już swoje drzewo zrąbał, a ja z tą robotą ledwo w połowie jestem. On w domu taki potulny, tu zaczyna się srożyć i przeklinać. Gdy wysapałem się i cokolwiek spocząłem, rąbię dalej — ale uderzenia siekierą coraz słabsze, co chłop wi-

dząc, pomógł mi z przekleństwami — i drzewo zważyło się na ziemię. Oczyszczając z gałęzi prawie nie trzeba było, bo one silnie zamrożone stały się tak kruche, że gdy drzewo padło na ziemię, w drobne cząstki rozsypały się a nawet wierzch drzewa pękł jak szkło. Przerąbanie na pół i oczyszczenie z pozostałych gałęzi łatwiej już poszło. Pozostaje nowa trudność a to z włożeniem drzewa na sanie. Za pomocą drągów wkładamy; moje siły pomimo całego napięcia nie wiele pomódz mogą, jednak w końcu z wielkim trudem, przy przekleństwach chłopca, włożyło się na sanie i ruszamy do domu.

On ciepło ubrany w dasze siadł na swoje sanie, ja w lichem ubraniu a spocony na swoje. Ponieważ byłem spocony, łatwo na takim mrozie przeziębic się, przeto w obawie o to, zląziłem często z sani i brnę przy nich w śniegu — i tak dopchaliśmy się do domu. Czuję się strasznie zmęczony rąbaniem i brodzeniem w śniegu. Chłop przed babą przedstawił mnie jako leniucha i niedołągę: takiemu kawałka chleba szkoda! -- a baba do tego zasypała mnie obelgami.

Już cierpliwość moja wyszła z granic; wpadłem w niezwykle rozdrażnienie i wściekłość. Gdy słaby zasób słów moskiewskich, tak wysoce jednak grubiańskich i wstrętnych nie wystarczył mi do dosadnego nabesztania ich jak chciałem, w największej pasyi i uniesieniu nawymyślałem im po polsku co wlaźło. Pewnie mało z tego rozumieli, ale domyślili się pewnie, że komplementów im nie palę. Baba na to grozi mi kułakami i wykrzykuje:

— Patrzcie go, jaka gadzina nie dobra, kąsałaby, gdyby mogła!

W każdy sposób muszę się z tego piekła wyrwać i postanawiam pójść do kolegów w Ojoku o poradę, co miałem zaraz na drugi dzień uczynić. Tymczasem w nocy dostaję dreszczy, następnie silnej gorączki z bólem głowy i wszystkich członków. Rano mówię gospodarstwu, że jestem chory, co sami widzą, a podanej herbaty pić nie mogę. Znużenie w lesie i przykra scena z gospodarzami

zwaliała mnie z nóg. Leżąc na ziemi, gdy przy każdym otworzeniu drzwi buchało zimno i sunąc się spodem ziębiło mnie, przeniosłem się z moją pościelą na wąską ławkę pod ścianą, gdzie jednak bardzo niewygodnie było leżeć. Baba zadąsana szwenda się po izbie, coś ciągle pod nosem mruczy, wymyśla dzieciom, mężowi i całemu światu.

Gospodarz namawia mnie, abym z nim poszedł do bani (parowej łaźni). Taką banię ma każdy gospodarz i raz na tydzień, zwykle w sobotę, wszyscy domownicy parzą się. Wierzą, że wielu chorób w łaźni pozbyć się można, więc mnie usilnie namawia i upewnia, że po wyparzeniu się zdrowym będę. Posłuchałem, kiedy tak dobrze radzi i poszedłem wyparzyć się. W nocy wystąpiły poty, a rano czułem się lepiej, jednak cały dzień przeleżałem, aby nabrać sił.

W czasie, gdy leżałem, przychodziły sąsiadki do gospodyni i ta im rozpowiadała, że ten Polak widział cara i twierdzi, że jest do niego podobna. Sąsiadki kiwały głowami, a chcąc sobie cara jawnie uprzytomnić, obserwowały ją dokładnie i podziwiała jej urodę, bo gdzież car może być brzydkim?! Baba z tego niezmiernie była dumną i przemiłym uśmiechem ukontentowanie okazywała.

Na drugi dzień wstałem a czując się silniejszym, mówiłem gospodarzowi, że pójdę do Ojoku i tego dnia wrócę. Puściłem się zatem w tę podróż i gdy znalazłem się u kolegów, opowiedziałem im o wszystkim, co mnie w Kujawie spotkało. Ze współczuciem to przyjęli a rada była: abym udał się do starszyny i stanowczo wymagał od niego zmiany kwatery, a gdyby tego uczynić nie chciał, zastraszył go, że ucieknę do Irkucka — a oni taki mają respekt przed tamtejszą władzą, że z pewnością zaraz memu żądaniu zadość uczyni i inną lepszą da kwaterę. Pocziwi! Szczupłą swą kasą podzielili się ze mną i »pożyczyli« cztery ruble. Żeby ambicyi niczyjej nie uwłaczać, wzajemne wspomaganie nazywano: pożyczką — lecz broń Boże było oddawać tytułem długu pożyczającemu, boby się go tem obraziło. Było jednak wyjście z poczucia uiszczenia

się z długu, aby tenże zbyt sumienia nie obciążał, oto pożyczający stawał się wierzycielem i pożyczał tak samo potrzebującemu — i tak dalej szło... a w ten sposób niczyja ambicya nie była zadrażnioną. Nieraz w przykrych okolicznościach ta dobra strona tego zwyczaju stała się niejednemu zbawienną i z biedy go wyratowała.

Musiałem kolegów pożegnać i wracać do Kujady, aby danego przyrzeczenia gospodarzowi, że tego samego dnia wrócę, dotrzymać — i dlatego nie mogłem korzystać z serdecznych zaprosin ich, ażeby u nich zanocować. Z Ojoku do Kujady kilkanaście wiorst, droga wytyczona gałązkami, wetkniętymi w śnieg, jak wszędzie na Syberyi jest w zwyczaju, aby nie zbłądzić; mróz trochę zelżał, zatem nie było obawy i idę śmiało.

W połowie drogi zaczyna wiatr zrywać się i śniegiem mieść — to mnie nie przestrasza, bo jeszcze dzień, nabój wysoki i widoczny, ludzie jadą często, mogę się przysiąść a wreszcie tyczki zaprowadzą. Jednak z każdą chwilą siła wiatru wzmagą się i pędzi zerwanym śniegiem; robi się coraz większa kurzawa, a za chwilę powstaje tak silna burza, że omal mnie z nóg nie zwała; wiatr huczy i świszczy — zrywają się tumany śniegu, że choć to dzień jeszcze, robi się ciemno. Mam jednak ciągle tyczki na oku i za ich kierunkiem przyspieszam kroku. Nareszcie zrywa się straszliwy huragan, okrąża mnie śniegiem i bije nim tak silnie, że oczu otworzyć niepodobna; zatem ręką je przysłaniam, aby tyczkę zobaczyć, lecz już ani przed sobą ani za sobą żadnej ujrzeć nie mogę. Choć lęk zdjął mnie, nadziei nie tracę, bo zdaje mi się, że z kierunku drogi nie zeszedłem, zatem jeszcze kilka kroków a tyczkę spotkać muszę. Wtem zapadam się w śnieg; pod nogami czuję miękko — zatem zeszedłem z naboju — jednak on tu jest zaraz — być tu musi, bo przed chwilą stąpałem po nim.

Burza wzmagą się z każdą chwilą i śniegiem wokoło rzuca a tak silnie, że ustać trudno i trudno oddychać

i oczu otworzyć nie daje! Stałem i namyślałem się, co począć? Chciałbym po kierunku wiatru zorientować się, w którą iść stronę? — nadsluchuję, czy dzwonek nie usłyszę — może ktoś nadjedzie? Niestety, nic nie słyszę, tylko głuchy szum i huk wiatru! Już pewnym, że z naboju zeszedłem — ale nie mogę sobie zdać sprawy, po której tegoż stronie znachodzę się? Przystanąłem i rozumiuję: wiem, że od niego niedaleko jestem — zatem gdy pójdę w zygzak, to przecież nadybać go muszę. Za tem rozumowaniem idę... nadaremnie jednak, bo pod nogami wciąż miękko. Teraz już wiem, że zbłądziłem! W tej pewności uczucie trwogi przejmuję mnie i silnem biciem serca odzywa się. Zawieja coraz silniejsza! — wiatr wyje przeraźliwie a taki zimny, że przez ubranie moje jak przez organtynę przechodzi i ziębi szalenie. Może być piąta godzina wieczór; biorę w rachubę moje siły, czy z temi zmogę całą noc chodzić i tym ruchem grzać się, co jest nieodzowne, bo gdy choć małą chwilę przystanę dla odpoczynku, to zimno całego przenika. Pojmuję: aby tak całą noc borykać się ze śniegiem, burzą i zimnem, gdzież na to siły? Ja ich w sobie nie czuję! a natenczas wyczerpany zamarzną i ta noc będzie ostatnią mego życia!

W innym czasie, gdy byłem zdrow i w pełni sił, nie miałbym tej obawy i mógłbym tak całą noc chodzić — lecz teraz wymizerowany podróżą tak uciążliwą a w ostatnich dniach do reszty jeszcze osłabiony, bo trzeba wiedzieć wówczas była we mnie tylko »puszka ducha« a sił za dziecko nie miałem — więc nic dziwnego, że z takimi siłami na borykanie się całą noc sił starczyłoby nie mogło, bo ich nie było!

Nie mogę zorientować się, z której strony wiatr wieje? Zdaje się, że ze wszystkich! Gdy straszne zimno stanąć nie pozwala, idę i idę bez żadnej wiedzy, gdzie jestem i dokąd dążę. Brnąc w śniegu, opór stawiam burzy, i tem zmęczyłem się strasznie; — desperacya przytem, że zimno spocząć nie daje a wrażenie miałem, jakby ta noc w bezskończoność trwała! Nagle uczuwam, że lecę gdzieś

w przepaść i zagrzebuje się tam wyżej głowy i duszę się pod śniegiem. Laska, podpora moja w tej podróży, wypadła mi z ręki — odszukać jej nie mogę; to samo byłoby z czapką i rękawicami, gdyby nie baszyk na głowie, końcami zawiązany wokoło szyi i rękawice na taśmie przytwierdzone do ubrania. Po długich wysiłkach wydrapałem się z tej przepaści — był to wertep głęboki; tem forsowaniem zmęczyłem się nadmiernie. Muszę odpocząć, aby zaczerpnąć trochę sił. Wiatr jak wył, tak wyje: głucho, przeraźliwie, jakby echo hymnu tryumfalnego furyj piekielnych dudniło nademną a śniegiem w straszliwy sposób rzuca. To chyba koniec świata — bo i ciemność przytem grobowa. Przed oczyma zalepionemi śniegiem płatki migają, czuję, że śmierć mnie obejmuje... więc robię rachunek sumienia i polecam się Bogu! Senność przygniata; radbym spać — a wiem, co ten stan znaczy! Zdobywam się jednak na energię; w duszy mej powstaje bunt przeciw śmierci i głos stamtąd odzywa się: umrzeć ci nie wolno; czemu instynkt zachowawczy idzie w pomoc. Za tym głosem zbieram pozostałe siły i idę jak żyd legendowy dalej... i dalej... co chwila przystając. Jakaż ta noc długa, mój Boże! czy jej końca nie będzie?! Z niewymownego utrudzenia i przenikliwego zimna jestem strętwiąły cały, a członki moje straciły czucie i władzę; duch tylko, wiedza i wola dominują nad zamierającym organizmem i życie w nim podtrzymują.

Burza ciągle szaleje, ale siła jej zdaje się słabnąć. Wtem odbił się jakiś słaby głos o moje uszy. Stałem i słucham... Coby to za głos mógł być? czy wiatr niekiedy odezwie się podobnym? Nadsłuchując, stoję chwilę, lecz prócz wycia wiatru nic więcej nie słyszę. To było złudzenie! Idę dalej w głębokim śniegu, miejscami po pas; — powtórnie taki sam głos gdzieś z daleka dolatuje mnie, więc znów stanąłem i z zapartym oddechem wyteżam słuch — i poznaję, że to nie echo wiatru, tylko jakiś niewyraźny głos jakby jęk urwany: może wilka a może i niedźwiedzia? Jeszcze raz przystanąłem i nieco wyraźniej

rozpoznaję, z której strony dochodzi. Zatem w tym kierunku posuwam się na chybił trafił, choćbym się w paszczę dzikiego zwierza miał dostać.

Przy tem ryzykowaniu ponure myśli tłoczą się do mózgu. Gdybym się rzeczywiście na dzikiego zwierza natknął, co mnie czeka? Jednak postanowienia nie zmieniam i im dalej osłabione kroki stawiam, echo tego coraz wyraźniejszym się staje. Zatem jeszcze dalej — i znów na chwilkę stanąłem, aby wyraźniej uchwycić ten głos, co jednak trudnem jest, bo huk i szum wiatru głośzy go — przecież nie zrażam się i jeszcze dalej ostatkiem sił wlokę się w stronę posłyszanego głosu... O, słyszę go już wyraźniej! Nagle błysk nadziei wstrząsnął mną jakby iskra elektryczna, bo zdawało mi się, jakoby to był głos psa. Aby upewnić się, posuwam się jeszcze dalej... i teraz już na pewno rozpoznaję wyraźne szczekanie psa. Trudno mi opisać uczucie, jakie mną na tę pewność owładnęło. Duch mój wzniósł się do Boga modlitwą dziękczynienia za możliwe już wybawienie, a myśl, że żyć jeszcze mogę, uszczęśliwia serce ściśnięte trwogą i pozbawione wszelkiej nadziei; z myślą tą i ubezwładnione członki ożywiły się. Za głosem psa brnę jeszcze spory kawał w głębokim śniegu; naraz jakieś budynki zarysowały się. Radość niezwykła ożywia mnie — dobijam się do tych budynków, gdy pies coraz zażarciej ujada...

Na szczekanie psa wysunął się ktoś z domu i silnym głosem zapytał:

— Kto tam?

Na to odzywam się — ten podchodzi do wrót i pyta:

— Kto jesteś?

— Polak — odpowiadam — zbłądziłem, puście, bo ginę!...

Jakiś olbrzymi chłop otwiera wrota, psa odpędza i prowadzi mnie do chaty. Po wejściu mem zaświecili — i widzę z tym, co mnie wprowadził, trzech olbrzymich barczystych chłopów — jeden stary a dwóch młodych. Ten, co mnie wprowadził, gdy spojrzał na mnie, idzie prędko na

dwór i wraca ze śniegiem a wcale nie pytając się mnie, zaczyna mi nos i policzki silnie nim nacierać. Uczynił to, gdyż spostrzegł, iż były trupio-białe, zatem zamrożone. Stary każe mnie do sieni z tą operacją wyprowadzić, gdyż ciepło szkodzi i tak długo nacierać, aż ciało nie odżyje. Z bólu gwałtu krzyczałem — on wcale na to nie zważał i tarł, aż nos i policzki zaróżowiły się — i wtedy do izby wprowadził. Jest to jedyny wypraktykowany sposób przyprowadzenia zamrożonego ciała do życia, bowiem w ciepłe odtajane rani się i trudne jest do wygojenia.

Dowiedziałem się, że to już będzie nad ranem; tak więc w tej strasznej podróży byłem około dwanaście godzin, a mnie się zdawało, że miesiące całe błądziłem. Jestem pewny, jeślibym szczęśliwie do tego futoru nie dostał się, byłbym niechybnie zginął — lub gdybym jeszcze godzinę dłużej błądził, bo wyczerpanie sił moich doszło do ostatnic granic; a nie trzeba było wiele, tylko chwilkę usiąść dla wypoczynku, a padłbym ofiarą straszego zimna.

Stary po wybadaniu mnie, skąd jestem i jak się tu dostałem, widząc mnie ze znużenia chwiejącego się, kazał młodemu rozebrać z kożucha, który na wierzch włosom nosiłem, a do którego śniegu nabiło się — i z tegoż wytrześcić. Wyjął z pieca garnek z jeszcze ciepłym jedzeniem, czem zagrzałem się i posiliłem, poczem na ciepły piec piekarski ułożyłem się i zaraz twardo zasnąłem.

Znalazłem się na tak zwanej »zaimce« czyli małym folwarku, w bok od Kujady 10 wiorst odległym. Każdy zamożniejszy gospodarz ma taki folwarczek przy swoim polu. Tam zamieszkuje tylko podczas robót i w czasie młócenia zboża; w innym czasie taka zaimka pozostaje niezamieszkaną. Szczęście dla mnie chciało, że w tym czasie przybyli młócić zboże, a ta okoliczność bezwątpienia życie mi uratowała. Taka zaimka składa się zwykle z małego budynku mieszkalnego, stodoły i stajenki na konie, a to wszystko okrążone wysokim częstokołem przed napadem wilków.

Burza tej nocy wielkie spustoszenie w zaimce poro-

biła, pozrywała dachy a sterty śniegu na ogrodzenie na niosła.

Straszny mieli wygląd mieszkańcy tej zaimki — tak jak fantazyja w powieściach o rozbójnikach stwarza, gdyż wszyscy gigantycznego wzrostu i budowy, z brodami, w czerwonych koszulach jak katy, robili wrażenie rozbójników; a jednak byli to dobrzy ludzie, weseli i gościnni. Stary uśmiechnięty żartował ze mnie i śmiał się, że taka przygoda błędzenia spotkała mnie.

— Zawsze lepiej, żeś się dostał między nas, jak między wilków, które zeszłej nocy do nas w gościnę zapraszały się, a dziś znów wilk ale w owczej skórze zawitał (aluzya do kożucha mego, wywróconego na wierzch włosem), za takiego Bogu chwała! — i tak dalej śmiejąc się mówi:

— A ty tu potrzebny? Pewnie chciałeś sobie z naszej zimy pożartować?! Jak widzisz, ona nie znosi żartów a zła straszliwie... Jednak dla ciebie była łaskawą a tylko strachu ci napędziła, abyś miał się przed nią na baczności i w żarty się z nią nie bawił. I czyż nie lepiej było w Polsce cicho sobie siedzieć, jak po nocach w naszym kraju błąkać się?...

I tem podobnie stary sobie żartował, czego już nie słyszałem — bo zasnąłem.

Rano po wypiciu z nimi herbaty, stary odwiózł mnie do Kujady i abym nie zmarł, bo mróz był potężny, ubrał mnie w dachę swego syna. Gdy chciałem mu za te przysługi zapłacić, ofuknął się na mnie — więc podziękowałem mu szczerze za wszystko.

Zawiózł mnie przed urząd gminny, o co go prosiłem, gdzie miałem zaraz ze starszyną o zmianę kwatery pomoić, lecz nie zastawszy go, bo wyjechał, załatwienie tej sprawy zostawiłem na później — a sam, choć niechętnie, powróciłem na swoją kwaterę.

Baba była trochę zaniepokojona — pewnie nie tyle o mnie, lecz o siebie, a to z powodu odpowiedzialności za mnie, iż puścili mnie do Ojoku bez zameldowania o tem

starszynie, więc gdy zobaczyła mnie, ucieszyła się, bo spadła z niej odpowiedzialność. A okazała — o dziwo! — nawet tyle względów dla mnie, że po tej fatalnej nocy, gdy ujrzała mnie widocznie zmizerowanego i osłabionego, sama zaproponowała, abym położył się i wypoczął po nocnym frasunku. Dwa dni takiego wypoczynku wzmocniło mnie, że przyszedłem zupełnie do siebie a tylko zdarty naskórek z nosa i twarzy świadczył o tej strasznej nocy.

---

## VI.

Ucieczka Kompita z Jełówki. — Zapoznaję go z moją babą. — Pisarz gminny pozwala Kompitowi zamieszkać w Kujadzie. — Najmujemy mieszkanie. — Pożegnanie się z babą. — Jesteśmy na nowej kwaterze. — Kompit idzie po sprawunki. — Herbata cegiełkowa i omule. — Kompit powraca z większym zapasem wiktuałów. — Moje zdziwienie, jego ekskuza. — Kupcowa Bitepażowa i jej zaloty. — Kompit w siłach. — Moje przestrogi. — Propozycja gospodyni wspólnego picia czaju. — Pomagamy gospodarzowi. — Pięć zwyczajów picia czaju. — Przybycie nowych kolegów. — Sami gotujemy; ja zostaję kucharzem. — Śmieszne wyniki kucharstwa. — Zakładamy fabrykę papierosów. — Nieco o mieszkańcach tamtejszych. — Gołębie i zające. — Fabryka papierosów upada. — Stajemy za parobków w młynie krupczackim. — Wikt i praca tam. — Właściciel młyna. — Jego zapatrywania na powstanie. — Poprawa pozycji naszej i wikt.

Nazajutrz po tym wypoczynku, gdy baba żywiła mnie, wypadało czemś zająć się; tem więcej poczuwałem się do obowiązku, że gospodarz pojechał do młyna. Zatem drzewa narąbałem, koniowi i krowie jeść dałem i napiłem i t. p. co potrzeba robiłem.

Kiedy się tak krzątam około gospodarstwa, spostrzegam, że Kompit ze swoim tobołkiem na podwórze wchodzi. Na jego widok uradowałem się, a myślałem o nim często i ciekaw byłem, jak on w Jełowce trafił? Dziwiło mnie tylko, że jego zjawienie się z »omnia mea« musiało jakieś niezwykle zdarzenie spowodować. Po przywitaniu się, pierwsze jego słowo było:

— Uciekam, bo chcą mnie żenić!

Wypatrzyłem się na niego ciekawie, czy chłopiec biczka nie dostał.

— Co pleciesz! Czyś zwaryował Włodku?

— Mógłbym zwaryować, gdybym nie fugnął, gdyż dziś miały się już odbyć moje zaręczyny.

— Ależ, chłopcze, pleciesz tak, jakbyś jedną klepkę postradał. Nie myślałem, żeś taki naiwny i głuptaś; widocznie mają ciebie za takiego, a domyślam się, że zamierzali urządzić sobie wesołe widowisko i takim żartem zabawić się tobą.

— Dalibóg, to nie żarty, o nie!... To rzeczywiście miało nastąpić!

Śmieję się do rozpuku — bo trzeba było widzieć jego zaambarasowanie i przestraszoną minę, gdyż w możliwość tego zamachu najświęciej wierzył.

— Ot pleciesz i żartujesz sobie ze mnie — powiedz mi, co to za jedna ta szczęśliwa?

— Ach! — westchnął głęboko — z córką gospodarza, gdzie mnie zakwaterowano, jak powiedziałem, jeszcze dziś nastąpić miały swadźby — bo dziewczyna tak się mnie uczepiła i płacze i waryuje i sceny rodzicom wyrabia, że na uspokojenie jej na ten krok zdecydowali się, a mnie zapowiedzieli, że zaręczyny bezwarunkowo jeszcze dziś odbyć się muszą.

— Jeśli tak jest, jak powiadasz, w takim razie rodzice są waryaci, dziewczyna histeryczka, a z ciebie bachor, że te komedye na seryo bierzesz. W każdym razie dobrze zrobiłeś, żeś czmychnął, na czem może zyskam i cieszę się z tego, bo kto wie, czy nie uda nam się razem pozostać i wspólnie bronić się. Bo i ja w podobnym jak ty znachodzę się położeniu, gdy często słyszę od mojej baby: »paszoł k'czortu«. Z tego bowiem wnioskuję, że ona swata mnie z dyablem, który napewno w niej umieścił się — zatem tak samo robię jak ty i uciekam nie tyle przed dyablem, ile przed babą-czortem. Widzę, żeś zzię-

bnięty, chodź do chaty, tam zagrzejesz się i pomówimy o wszystkim.

Gdy Kompit wstąpił do środka i babę zobaczył, pyta się mnie po cichu:

— Czy to baba czyli czort?

— Jedno i drugie masz razem — szepnąłem mu do ucha.

I opowiedziałem mu o wszystkich przygodach moich od czasu rozstania się z nim. On także swoją historię opowiedział mi. Tej treść jednak była inna a nie zaprawiona przykrościami, jakich doznałem w tym krótkim czasie — bo go nikt nie znieważał, dogadzali mu, szczególnie córka, która afektem do niego zapałała.

Kompit młody chłopiec, 17—18 lat, mało powiedzieć przystojny, ale ładny jak Apollo — nie dziw więc, że dziewczyna tak szalenie w nim rozmiłowała się.

Gdy się zagrzał, mówię do niego:

— Teraz chodźmy do kancelaryi bronić się — ty od dziewczyny a ja od czorta, któregoś widział.

W drodze do urzędu pytam go:

— A masz co pieniędzy?

Odpowiada, że z tych kilku rubli, co miał, nic nie stracił. A ja mówię:

— Jak wiesz, mam cztery ruble. Zatem jakby to dobrze było, gdybyśmy, złączwszy nasze kapitały, razem zamieszkać mogli!

Kompitowi na tę propozycję aż oczy zabłyśły i jak dziecko podskoczył i klasnął w dłonie.

W urzędzie gminnym zastajemy samego pisarza, który komicznie a głupio wyglądał z nadętą miną, jak indyk na wiosnę, do czego czerwony nos dobrze go dostrajał. Odrazu przystępuję do niego i mówię, że chodzi nam o to, czy Kompit nie mógłby ze mną w Kujadzie zamieszkać? Wydał usta dla większej powagi i mówi:

— Trudna to sprawa... bo to z rządem nie tak łatwo idzie.

Utożsamiał widocznie siebie z rządem. Myślę sobie,

że, aby łatwiej poszło, trzeba rząd posmarować i wściubiam mu rubla do ręki, a zarazem w ambicyę wzbijam i komplementem ujmuję:

— Wy taka mądra głowa, na wszystko sposób znajdziecie.

Na to odpowiada już z uśmiechem:

— No, pewnie — nietylko poradzić, ale i sam wiele zrobić mogę. Wszyscy wiedzą, jaki ja mam mir u wyższej władzy, a co postanowię, to ma takie znaczenie, jakby sam gub...

Zagalopował się w zapale chwalby, bo pewnie chciał powiedzieć gubernator, ale w mig spostrzegł się, iż zajechał za wysoko ze swą władzą, więc poprawił się i dobitnie powiedział:

— Jakby sam isprawnik postanowił...

A na dowód swej władzy mówi, klepiąc Kompita po ramieniu:

— Pozwalam temu młodzieńcowi tu zamieszkać, a o mojem zarządzeniu starszynę w Jeńówce uwiadomię.

Gdyśmy mu podziękowali, odzywa się:

— Ale, ale — trzeba wam wiedzieć, że i ja coś więcej potrafię zrobić, gdy się o mnie pamięta.

Przyrzekamy, że o nim pamiętać będziemy, a zarazem mówimy, że chcielibyśmy nająć gdzie mieszkanie, aby razem być, bowiem po doświadczeniu na kwaterach boimy się dalszych prób. Wskazał nam gospodarza, który ma izbę do wynajęcia. Więc za tą wskazówką najęliśmy na piętrze pokój gościnny (gornicę) bardzo tanio, bo za 3 ruble miesięcznie z opałem.

— A widzisz, Włodku — mówię — jaki przecież pieniądz potężny. On i tu jest panem — jak ten rubel ułatwił nam nasze zamiary!

Zaraz poszliśmy po swoje manatki, a po drodze — aby należycie pożegnać się z moimi gospodarzami — wzięłem sztof (kwartę) wódki, którą gospodyni ofiarowałem, z czego była bardzo rada, a zarazem oświadczyłem jej, że

na inną kwatere zabieram się. Ogromne zdziwienie okazała, aż ręce splotła:

— Święty Mikołaju cudotwórcu! czego ty, rybeńko, odemnie uciekasz? Alboż tu źle ci było, może nie karmiłam? Jak rodzona matka obchodziłam się — a że czasem napomniałam — to z dobrego serca!

Prawda! były napomnienia, ale ostatnimi wyrazami, przekleństwami i grożeniem kułakami; a dziwiłem się, skąd się ten wyraz »rybeńka« dopiero teraz u niej znalazł, bo sądziłem, że taki zupełnie jest jej obcy; zapewne sztofik wódki wy dobył go z kryjówki jej serca. Podziękowałem za te czułe napomnienia, serce dobre i macierzyńską opiekę — i zaraz wynieśliśmy się.

Już jesteśmy w nowym mieszkaniu; pokój dość duży na piętrze, podłoga czysta; stół, dwa stołki, jedna ławka w kącie pod obrazami świętych, a druga pod ścianą — i nic więcej. Zimno, dopiero w piecu zapalili, a tej zimy nie palono jeszcze. Gdy na dworze taki silny mróz, niema mowy, iżby o tyle izbę ogrzać się dało, aby tej nocy spać tam można; przyjdzie nam na razie do gospodarzy zaprosić się na noc. Nasze skromne tobołki złożyliśmy na ławce, drepcąc po izbie, grzejemy się i chuchamy w ręce. Zimno w dreszcz rzuca — pustka — smutno... Na szybach zamroź gruba słabe światło przepuszcza, a tu dzień ma się ku schyłkowi. Gospodarz przyniósł kaganek; słabe światło jeszcze więcej smutną tę izbę zrobiło.

Jakaś zaduma siadła nam na oblicza; co teraz robić, jak żyć będziemy? Doznajemy wrażenia rozbitków na obcej wyspie. Ale precz z zadumą! Coś pomyśleć trzeba o żołądku; obaj rano po czaju nic w ustach nie mieliśmy i jesteśmy głodni. Odzywam się do Kompita:

— No, mój Włodku kochany, wprawdzie początek smutny, a choć zimno, ponuro, ale na swoich śmieciach; musimy postarać się o herbatę i coś do niej, a zobaczysz, będzie zaraz różniej na sercu i w żołądku, bo Polak nie swój, gdy głodny! Widziałeś obok kancelaryi gminnej, jak tamtędy przechodziliśmy, sklep z szyldem »Bitepaż« —

idźże tam i kup za kilka kopiejek herbaty cegielkowej, za kilka kopiejek cukru, chleba, dwa omule i jedną świecę. Będzie pierwsza kolacya na naszym gospodarstwie, a ja tymczasem pójdę do gospodyni i poproszę o samowar.

Gospodyni przyjemna kobiecina, uśmiechnięta; a ciekawa, jak widzę, bo o wszystko się dopytuje — szczególnie zaintrygowana jest przyczyną, dlaczego porzuciliśmy nasze kwatery. Zbyłem ją oględnie, nie mówiąc o właściwej przyczynie, aby z tego plotki a następnie nieprzyjemności dla nas nie wynikły. Gdy poprosiłem o samowar, z chęcią już nastawiony z czajnikiem dała i pyta się, czy mamy filiżanki lub inne naczynia do picia herbaty — a gdy odpowiedziałem, że nie — i te usłuźnie dała. Cały bowiem nasz garnitur stołowy składał się z menażki, łyżki i noża, a menażka służyła do potraw i herbaty. Gospodarz równie sympatyczny i grzeczny. Jakieżto przeciwieństwo z poprzednią moją kwaterą!

Samowar na stole kipi i kipi, a mego Kompita nie ma! Dziwię się i niepokoję, dlaczego tak długo bawi? Nim wróci, zapoznam Państwo z herbatą cegielkową i omulami.

Herbata cegielkowa, to herbata sprasowana zdaje się roślinnym klejem dla spoistości, co nadaje jej odrębny smak. Utrzymują, że dla tej spoistości używają krwi bydłowej, co zdaje się, prawdą nie jest, bo krew psułaby smak herbaty a w końcu zapach krwi dałby się czuć. Od formy cegły, bo tak idzie do handlu, nazwa cegielkowej (kirpicznej). Bardzo menażowna i naciąga dobrze; łyżeczka nastruganej tej herbaty na kilka filiżanek wystarczy, a że tania, ma pokup i jest wielkiem dobrodziejstwem dla niezamożnych, gdyż wogóle wszyscy mieszkańcy Rosyi i Syberyi bardzo dużo herbaty piją; przeto, zwłaszcza w Syberyi, cegielkowa jest w użyciu, a biedniejsi innej nie znają. Tak twardo jest sprasowana, że do użycia nożem strugać trzeba. Taką herbatę po przyzwyczajeniu się niektórzy wolą niż liściową.

»Omule« to znów gatunek ryby, wielkości dużego śledzia — i tak jak połów śledzi w morzu, tak ich połów

w jeziorze bajkalskiem odbywa się; i tak samo jak śledzie w beczkach soli się, tak samo omule solone w beczkach idą w handel. Taki omul jest smaczniejszy od śledzia, więcej ma mięsa i pożywniejszy; dobry pieczony w cieście i nam w takiej formie najlepiej smakował.

Nareszcie po długiej nieobecności powraca Kompit rozradowany i wesoły z dużym zapasem wiktuałów. Zamiast potrosze każdego zakupna — jak mówiłem mu — po kilka kopiejek, on przynosi całą cegielkę herbaty, funt cukru, bochenek chleba, kilka bułek, kilka omuli, funt świec i innych spożywczych sprawunków, jakie w projekcie zakupna nie były a w ilości, aby było wszystkiego poddostatkiem; to wszystko spakowane do dużej torby, którą na plecach dźwigał. Zdziwiony takim zapasem, mówię:

— Bój się Boga! nacoś tyle nakupił?

Uszczęśliwiony opowiada, że w sklepie zastał żonę kupca, samą.

— Jakaż ona uprzejma! częstowała likierem, ciastkami, papierosami; prosiła siadać i siadła przy mnie, wy pytując się o Polaków — a powiadam ci, że z takim zajęciem słuchała i ciągle mi w oczy patrzyła, że aż mnie to mieszało; a dziwne, że ją Polacy tak obchodzą, bo gdy słuchała mego opowiadania, aż jej twarz płonęła! Proszę ją, aby sprzedała mi, jak umówiliśmy się, po trosze wszystkiego, a ona mówi, że tak wziąć muszę, jak ona da, gdyż tu ona rozkazuje! Ja tłómaczę się, że narazie nasze fundusze na większe zakupno nie pozwalają — a ona na to: »Nie troszczcie się! ja nie żądam teraz pieniędzy, później zapłacicie«. Wymawiam się jak mogę, opieram się i brać nie chcę, ale ona złapała mnie za rękę i ścisła a tak czule prosi i głaszcze mnie po twarzy, że nie było sposobu jej prośbie oprzeć się — i wziąć musiałem. Wystaw sobie, jaka ona dobra, oświadczyła mi bowiem, iż nietylko kredytu udzieli, ale »w każdej potrzebie wygodzi« i radą wspomozę; »możecie się do mnie z całym zaufaniem udawać a zawsze chętną będę«. Powiadam ci, niezwykła kobieta!..

— Ale — odzywam się — i tyś niezwykle naiwny, żeś się nie poznał na jej zalotach, jak z twego opowiadania wnioskuje, umizgi jej nie są bez celu. A jak wygląda? ładna, młoda, czy starsza?

— Młoda, ładna, wesoła, a jaka luba!

— No masz tobie — toś przepadł, Włodku!

Domyśliłem się, że chłopiec wpadł jej w oko i sidła na niego zarzuca, co w części dopięła już, kiedy on z takim uwielbieniem o niej się wyraża, więc mówię:

— W naszym położeniu nie wolno nam długów zaciągać, a szczególnie długów wdzięczności a specjalnie dla Bitepażowej, bo pierwsze łatwiej spłacić a drugie w jaki sposób?

Na po powiedzenie mój Kompit poczerwieniał po uszy.

— A widzisz, rozbójniku! Złapałem cię, czegoś poczerwieniał? Jak widzę, dziewczętom głowy zawracasz męzkatki bałamucisz — będę miał kłopot z tobą!

— Na miłość Boską, nie gderaj, bo słowo daję, że ani w myśli mam komuś głowę zawracać lub bałamucić.

— Bądźże ostrożnym — mówię — bo na kredycie możesz źle wyjść a za usługę Bitepażowej może cię taki despekt spotkać, że będziesz się po nim lizał. Dajże mi słowo, że z jakiegokolwiek kredytu Bitepażowej korzystać nie będziesz!

Przyrzekł wprawdzie nie korzystać z kredytu i pod tym względem dotrzymał słowa, ale była inna pokusa nieprzeparta, że nie mógł się jej oprzeć, aby czasem do swej »lubej«, jak ją nazwał, nie zaglądnąć. Jakażto moc ma pokusa! bo Kompit był rozsądny młodzieniec i dobrze zdawał sobie sprawę ze stosunku z Bitepażową, a jednak ta tak go na arkanie trzymała, że nie miał siły zerwać go. Był zaś z Kompita szczególnie dobry, serdeczny kolega, serca najlepszego, szczery, uczynny, delikatny w obcowaniu z nami, a przytem zasad wzniosłych, szlachetnych — dla tych przymiotów kochaliśmy go serdecznie.

Samowaru swego nie mieliśmy, a trudność była no-

sić po schodach tak duży samowar, jaki był u gospodarzy, a czasem i trudność dostania go, gdy właścicielom był potrzebny. Skorzystaliśmy z propozycji gospodyni, abyśmy rano i wieczór do nich na czaj przychodzili. Herbata ma być nasza a ich bułki lub chleb i mleko do herbaty. Ta ugoda była nam na rękę i w czasie, gdy tak szczupłymi funduszami rozporządzaliśmy, z radością przystaliśmy. Prykuskę mieliśmy swoją i przez cały miesiąc było to przeważnie naszym ciepłym pożywieniem.

Nie chcieliśmy dać poznać naszym gospodarzom, że z pożywieniem naszym jest tak smutno i że ograniczamy się tylko na wypiciu u nich herbaty rano i wieczór — i nic więcej nie jemy. Gdy często to on, ona lub które z dzieci zaglądnęło do nas, chcieliśmy dać poznać, że my nie takie »dziady«, że coś więcej prócz herbaty jemy, bo żenowałoby nas, gdyby o prawdzie wiedzieli.

Otóż kupiliśmy garnek i miskę dla upozorowania, że w garnku coś gotujemy. Piec był piekarski z przypieckiem, jak wszędzie takie po chatach są we wsi. W piecu rano i wieczór zapalaliśmy dla ogrzania izby — i jak długo paliło się, był przystawiony garnek z wodą do ognia, a na stole porozkładało się pięknie miskę, menażki a obok tego łyżki drewniane; ma to czekać na potrawę, która się właśnie w garnku gotuje. Niech się wydaje, gdyby kto zaglądnął, że będzie u nas obiad lub kolacya. Przestało się palić — garnek z wodą odsuwało się — i gotowe jest jedzenie, na które atoli żołądki nasze burczały!

Uważamy, że gdy dajemy tylko herbatę a oni resztę do niej, co właściwie żywiło nas — w ten sposób oni zostają pokrzywdzeni, przeto wypadało tę krzywdę wynagrodzić; więc nie mając innego zajęcia, chętnie pomagaliśmy gospodarzowi w jego robotach. Jeździliśmy z nim do lasu po drzewo, gdy gospodarza w domu nie było, obchodziliśmy inwentarz, wody nanosiło się, drew narąbało; pomagaliśmy jak mogli, za co czasem gospodyni plackiem z serem lub z omulem poczęstowała nas.

Tyle razy mówiło się o picciu herbaty, więc powiem

o znanym może niejednemu zwyczajowi picia czaju (herbaty) przez Moskali. Piją tam zatem w sposób:

1) Z *nakładko* t. j. nakłada się cukier do szklanki lub filiżanki, czyli słodzoną, jak my pijemy.

2) Z *prykusko*. Wówczas po wypiciu herbaty zakąsa się kawałkiem cukru białego a dla większej jeszcze oszczędności żółtym (lodowatym). Z *prykusko* jest najpowszechniejszy zwyczaj picia herbaty, do czego dobrze przyzwyczailiśmy się i inaczej nawet herbaty nie pijali. Nawet w sferach zamożnych Rosyan trafia się, że w ten sposób czaj sobie słodzą.

3) Z *prylisko* praktykowany ma być w najpodrzedniejszych herbaciarniach, gdzie same szumowiny ze społeczeństwa zbierają się. Wokoło stołu, przy którym indywidua obu płci, straszne wyglądem zasiadły — podają im czaj w drewnianych lakierowanych miseczkach (spodkach). Tam na środku stołu od sufitu zwiesza się sznur, a do niego przytwierdzony kawał cukru lodowatego. Wolno każdemu po wypiciu swego czaju z miseczki przyciągnąć do siebie ten cukier i polizać. Stąd słodzenie sobie tego nektaru w ten sposób nazwano picie czaju »z *prylisko*«. Jednak ponieważ tego nie widziałem sam, a tylko wiem z opowiadania, ręczyć nie mogę za prawdziwość tego zwyczaju.

Czwarty w smutnych okolicznościach bywa a często zazdrość wywołuje, bo ktoś w towarzystwie pije herbatę i ma przed sobą cukier a może i spory kawał i smacznie zakąsuje sobie — zaś inny niema ani okruszyny, a radby zakąsić po herbacie — patrzy więc na tego szczęśliwca, ażali on nie domyśli z nim się podzielić — jednak płonna nadzieja, bo on niedomyślny! Zatem od patrzenia po rosyjsku »*gladiet*« (patrzeć) mówią, że pił czaj z *prygladko*.

5) Bywa jeszcze jeden w użyciu: tam niema zazdrości, bo wszyscy w jednym położeniu znajdują się, bowiem przy picciu herbaty nikt cukru nie ma, a tak piją herbatę nazwano z *prydumko*, od słowa: *dumać*, *marzyć*, *my-*

śleć, bo wówczas marzy się o cukrze. My tak herbatę często piali a dumali wówczas, jakby się to zdał choć kawaleczek cukru, choćby tyle, aby sobie smak jego przypomnieć — lecz niestety i tego nie było!

Życie na Syberyi, biorąc na ogół, nie było drogie: funt mięsa 3—4 kopiejek, tak samo chleb kosztował funt do 4 kop.; nabiał, jaja, mąka, krupy, ziemniaki i inne wiktuały także były tanie. Za kilka rubli miesięcznie można było wyżyć — jednak gdy tych kilku rubli nie było, to i w tej cenie wiktuały stawały się drogimi.

Wkrótce przybyło do nas jeszcze dwóch: Bogusław Pawlikowski z Galicyi i Bolesław Narbut z Litwy. Pawlikowski przywiózł z sobą trochę grosiwa. Kupiliśmy samowar, zaopatrzyli w naczynia do gotowania, kupiło się nieco wiktuałów i już własną kuchnię zaczęliśmy prowadzić. Zajęciem podzieliliśmy się. Mnie przypadło w udziale zająć się gospodarstwem domowym i kuchnią. Kompit miał nieco pojęcia o krawiectwie, bo jego ojciec był krawcem wojskowym i w pracowni miał sposobność przypatrzeć się, jak przykrawują i szyją. Z bradiałek porobił nam świtki, krojem wcale udatne. Mój paltot zniszczony przenicował i przykroił do figury i inne ubrania z nowej materji robił a inne przerabiał ze starych ubrań. Narbut wytrzasnął gdzieś strzelbę i polował — dostarczał nam zwierzyny i ptactwa. Pawlikowski chorowity, szczupły, wyglądający na suchotnika, nie mógł się niczem zająć i wkrótce, gdy mu pieniądze z domu nadeszły, wyjechał do Irkucka dla leczenia się i tam już osiedlił się. Później, gdy i ja przeniosłem się do Irkucka, o czem będzie w dalszem opowiadaniu, widywaliśmy się tam — wyzdrowiał zupełnie i wygląd miał zdrowy, tak mu klimat tamtejszy posłużył. Jako dobry kolega, inteligentny, sympatyczny, bardzo pracowego charakteru, miłą po sobie pamięć w naszych sercach zostawił. Gdy myślą cofam się w te czasy, nie mogę uprzymomnić sobie, abym w irkuckiej gubernii suchotnika spotkał. Słyszałem, że Pawlikowski po powrocie do kraju

miał na suchoty umrzeć, zatem zarazek w innym klimacie odezwał się.

\* \* \*

Po wyjeździe Pawlikowskiego z Kujady przybył do naszego kółka Jaszczołd, imię jego zapomniałem. Z przybyciem tego i ja dostałem zasiłek z domu. Pospłacałem długi i za mieszkanie zapłaciłem, a za resztę uradziliśmy założyć fabrykację papierosów. Po tiurmach, gdzie te papierosy wyrabiali, mieliśmy sposobność nauczyć się tej fabrykacji, zatem wyrób i cała manipulacja nie były nam obce, tylko brakowało wprawy, lecz tej nabyć można. Więc z dobrą otuchą w Imię Boże rozpoczynamy.

Pojechałem do Irukucka po tytoń i bibułkę i inne do tego potrzebne przybory i zaraz fabrykację papierosów rozpoczęliśmy. Zdawało nam się, że gdy każdy szczegół przy tej robocie jest nam znany, z wyrabianiem samem trudności nie będzie, jednak gdyśmy się zabrali do roboty i zanim doszliśmy do jakiejś wprawy, napsuło się dosyć materiału i przez to szkodę znaczną ponieśliśmy — później szło już jak z płotka. Gotowe papierosy układało się setkami w pudełka, te pudełka także sami robiliśmy, zaś małe paczki po 25 sztuk zaklejało się w papier. Wyrób nasz sprzedawaliśmy po sklepikach i kabaczkach (szynkach) a także wiele i w domu się sprzedawało. Z początku fabryka ta nieźle prosperowała; pracowaliśmy bardzo pilnie, aby zarobek wystarczył na życie i zapłacenie mieszkania.

W tym czasie naszych coraz więcej przybywało; a każdy brał się do zajęcia, do jakiego czuł się uzdolnionym lub wreszcie jakie znaleźć mógł. Niektórzy z nich pomagali nam w naszej pracy.

Gospodarz domu często nas odwiedzał; był to człowiek towarzyski, wesoły, dowcipny; lubiał opowiadać dykteryjki, któremi nas bawił przy naszej robocie, także różne zagadki do rozwiązania dawał a tych miał zasób spory. Z tych jedna została mi w pamięci, więc ją przytaczam:

Siedzą gdzieś razem mężczyzna i kobieta; ktoś przychodzi, co tę kobietę znał, a mężczyzna był mu obcy i pyta się tej kobiety: kto ten człowiek? A ona odpowiada: »jego matki matka moja matka, a u mojej matki jedna córka«. Więc kto on?

Podziwialiśmy często rozsądek, dowcip i wrodzoną inteligencję niektórych tamtejszych mieszkańców. Wszak to potomkowie zesłańców politycznych, ludzi w Rosyi najzdolniejszych, wolnomyślnych, z polotem myśli i najinteligentniejszych, a choćby innych przestępców i zbrodniarzy, bądź co bądź ludzie myślący i z jakąś wrodzoną zdolnością, która z pokolenia na pokolenie przechodzi, a że tak jest — to uwidocznia się na tamtejszych mieszkańcach. Przytem zauważyć było można, że jak dobre skłonności i inteligencja wyraźnie wybijały się — tak z drugiej strony złe skłonności znachodziły swoich przedstawicieli w indywidualiach z instynktami zwierzęcymi. I ci ludzie tak znacznie różniący się w zasadach, charakterem i usposobieniem przeznaczeni tam do wspólnego pożycia.

Często napotykało się na spryt, przytomność, pomyślność w różnych kierunkach a również i zdolność poetycką. Przy zabawach z łatwością komponowali okolicznościowe wiersze i słowa do piosenek; nieraz takie wiersze zaprawione wielkim dowcipem a często i sarkazmem. Raz słyszałem, jak przy zabawie parobczak przyciął jednej dziewczynie udatnym wierszem, a ta nie została mu dłużną i w tej samej chwili, tym samym rymem, a zgrabnie i jeszcze udatniej odcięła się jemu, czem młodzieńca niezmiernie skonfundowała; za co od całego grona zabawiających się pochwały i brawa otrzymała — ja jej zdolnością niezwykłą i przytomnością umysłu zdziwiony, biłem także z innymi w dłonie.

Są jednak pomimoto zabobonni, a śmieszne strony w zapatrywaniach gruntują się najczęściej w ich wierze. Jak wyżej wspomniałem, gospodarz nasz często odwiedzał nas. Raz gdy wszedł, spostrzegamy, że oglądnął się po izbie, czy kogo z obcych niema, przyczem uważamy po

jego minie, że chciałby nam coś powiedzieć a widocznie nie ma odwagi — w końcu jednak zdobywa się na nią i pyta się po cichu, czy my jemy gołębie?

Jako kucharz odpowiadam:

— I owszem — z młodych dobre pieczone.

— Kiedy tak, to możecie cichaczem pójść na strych, ale tak ostrożnie, aby tego nikt nie spostrzegł i wylapać choćby wszystkie, bo ogromnie się rozmnożyły i szkodę mi robią. Ale, bójcie się Boga, bądźcie z tem ostrożni i nie wspominajcie nikomu, bo jakby się batuszka (pop) dowiedział, toby mnie do cerkwi nie dopuścił.

Moskale — nie wiem czy gdzieindziej — ale tam uważają za grzech zabijać gołębie a tem więcej jeść, a to jako symbol Ducha Świętego. Także zajęcy nie jedzą, bo niezawodnie musi w nim zły duch siedzieć, kiedy szelma taki mały a jednak tak chyży, że go koń, przecież taki rączy i duży, dopędzić nie może. I tak pierwszych boją się jeść ze względu na Ducha Świętego, a drugich ze względu na ducha złego. Do zajęcy nie strzelają, bo nie wart naboju, ale łowią go w pętlice. Na Syberji jest on w zimie całkiem biały, na wiosnę zaś leni się i porasta sierścią szarą i wtenczas wygląda jak u nas, a na zimę znów pokrywa go biały włos. W ten sposób przyroda chroni go od zagłady przed drapieżnymi zwierzętami, jakich w Syberji taka mnogość. Mają Moskale i wiele innych uprzedzeń i zabobonów śmiesznych, jak wszędzie naród o niskiej kulturze.

Wspomniałem, że gdy się nas zebrało czterech razem a Pawlikowski na naczynia i wiktuały dostarczył funduszów, zaczęliśmy własną kuchnię prowadzić a mnie z własnej ochoty i dekretem kolegów przypadła funkcya kucharza. Wspomnienia o mojej sztuce kulinarnej jeszcze dziś pobudzają mnie do śmiechu i litowania się nad moją nieudolnością w tym fachu. Z powodu tej nieudolności mniej mnie bolał dyshonor ten, gdyż również żaden z kolegów nie mógł się poszczycić choć w niskim stopniu

sztuką kucharską. Najgorsze jednak z wszystkiego, że nie było od kogo porady zasięgnąć, gdy zawiła manipulacya z jakąś potrawą nastąpiła; więc w konieczności musiało się samemu radzić, z czego nieraz smutne i śmieszne zdarzenia wynikały.

Wprawdzie za studenckich czasów zaglądnąłem nieraz do kuchni po wybieganiu się na świeżem powietrzu, ażeby zapytać się, czy rychło obiad lub kolacya będzie i przy tej sposobności coś niecoś się podpatrzyło. Zatem gdy los kazał mi kucharyć, na tem poglądnęciu fundowałem, iż temu zadaniu sprostatam. Ale już pierwszy występ zrobił fiasko. Po generalnej naradzie z kolegami nastąpiła decyzya, że na obiad mają być kluseczki z serem i słoniną omaszczone. Wszak widziałem, jak w kuchni z tem sprawiali się: ciasto misi się, potem wałkuje, kraje i rzuca się do naczynia z wodą i t. d. Owa, wielka rzecz! i ja tak postąpię... Zaraz na pierwszym kroku staje w drodze trudność, bo stolnicy niema. Lecz jest stół; spędzam moich w jeden koniec a na drugim, wyszorowawszy go, rozkładam się z moją robotą. Przy miszeniu ciasta jeden robi uwagę, że mąki za mało, drugi że wody za dużo leją i t. p. Oburzony na te uwagi odzywam się:

— Co wy, hebesy, wiecie, dopiero krytykować wam pozwolę po oblizaniu palców!

O proporcji, ile na cztery osoby trzeba mąki, ile jaj i t. d. żaden nie miał wyobrażenia, więc na chybił trafił wzięło się składników tych, z których miały kluseczki powstać.

Ciasto zamieszane — ale jak roztaczać, gdy wałka niema? Jest na to sposób: kułakiem wałę ciasto, aż się odpowiednio rozplaszczyło, a natenczas pokrajałem i rzucałem do garnka na zimną wodę, przystawiłem do ognia i gotuję. Niecierpliwię się, że prędko zakipieć nie może — dokładam drzewa, dmucham w ogień z całych sił; przy tej energicznej podniecie do zagotowania coś mi się nieprzyjemnie robi, bo zauważyłem, że w domu kucharka by-

łaby się z tem dawno sprawiła. Nareszcie woda z kluskami zaczęła kipieć — teraz pytanie, jak długo gotować? Aby nie były surowe, rozumie się samo przez się, musi dobrze i dość długo wrzeć; a gdy się to stało i biorę się do odcedzania, spostrzegam że... a to co za lichy?! Toż klusek prawie niema, tylko jakaś faramuszka! Stoję zakłopotany, bo głodni czekaliśmy na to jadlo a tu faliment niespodziewany! Gniewało to mnie a szczególnie docinki kolegów i kpiny z mojej pewności:

— Jużesmy palce oblizali — mówią — pomimo to żołądek gwałtu woła!

Niema rady: nastawiłem samowar i po kawałku chleba przy herbacie zjedliśmy, aby głód zaspokoić.

Teraz debata, dlaczego kluski rozgotowały się? Może mąka temu winna, może za mało jaj i inne domysły. Jeden z kolegów wyrywa się, uradowany swem spostrzeżeniem:

— Już wiem! posoliłeś ciasto, a sól topiąc się, spowodowała rozplnięcie się klusek — trzeba było tylko wodę posolić.

— Ha — myślę sobie — może i to być racya!

Zwierzam się naszej gospodyni z nieudanej tej potrawy i o całej manipulacji opowiadam. Gdy dowiedziała się, że ciasto na zimną wodę rzuciłem i długo gotowałem, zaczęła się ogromnie śmiać i mówi:

— Duraczońki moi, kto tak robi? gdybyście na kipiącą wodę dali a nie całą kupą i zamieszali raz, aby się nie zlepily, a nie gotowali tak długo, jak się groch gotuje, toby się nie rozgotowały.

Za sekret postępowania z kluskami faramuszka poszła między świnki gospodyni — a ja rad ze zdobytej wiedzy, mówię kolegom:

— Teraz to już potrafię paradne kluseczki zgotować, a gdy jest ser i słonina, jutro zgotuję wam naprawdę takie, że aż ha! Śmiejecie się? — to śmiecie się! a ja wam mówię, że będą pyszne!

Nazajutrz już pewniejszy siebie, zabieram się do mo-

jej czynności. Jeden z kolegów radzi, aby być pewnym pożądanego skutku:

— Daj jedno jajo więcej, gęściej zamiś, a ciasta, broń Boże, nie posól znów.

Za radą kolegów i gospodyni postąpiłem. Ciasto było tak twarde, że kułak nie pomógł i musiałem od gospodyni wałka pożyczyć; kluski wprawdzie nie rozgotowały się, ale były nie słone a tak twarde, że było można niemi strzelać — jednak młodzież łatwo uporała się z nimi. Po tych próbach trzecia i dalsze edycje tej potrawy już wcale dobrze wypadły. Podobnie było z innymi potrawami, jakie wymyślaliśmy, a których początek był również smutny, zanim po nieudanych próbach doświadczenia nie nabrałem, a natenczas szło już wcale nieźle. W krótkim czasie w gotowaniu — jak dla naszego podniebienia — nabrałem dostatecznej wprawy, a i z własnej inwencji sporządzałem rozmaite potrawy i te chrzciliśmy różnemi mianami. Mięsa, jako artykułu taniego, najwięcej spotrzebowaliśmy. A że te wszystkie dania były niezgorsze a my niewybredni, był dowód, żeśmy z misek sprzątałi do cna a dalszy dowód zasług mych na tem polu, iż dostał mi się od kolegów zaszczytny tytuł »kuchmistrza«.

Zabawniejsza jeszcze historya była w czasie, gdy z Leszczyńskim mieszkałem (o nim będzie się później). Zamierzaliśmy wieprza zabić i w tej ważnej sprawie — jakby przed politycznym spiskiem — z zaproszonymi kolegami poważną naradę odbyliśmy. Każdy z nas chociaż niejasne i mętne miał o tem pojęcie, radził, byle tylko przyczynić się do tego festynu — i głos mieć; radził więc, jak przyrządzać kielbasy, kiszki, salceson i t. d., chociaż dobrze nie wiedział, jak to właściwie ma się robić. Wprawdzie każdy z nas widział w domu tę operacyę, ale daleko mu było choćby do słabych fachowych wiadomości, jak się wieprza sprawić powinno. W końcu postanowiliśmy ofiarę przeznaczoną uśmiercić. Jednak gdy przyszło cios śmiertelny nieborakowi zadać, musiało się o to naszego gospodarza poprosić, bo choć bez skrupułu Moskali uśmier-

caliśmy, na zakłucie wieprza żaden z nas nie mógł się odważyć.

Już paciuk pożegnał się ze światem i do operacji gotów. Oparzenie, rozebranie, choć z biedą, jakoś poszło. Osobno tłuszcz a mięso osobno oddzielone; kiszki, żołądek dokładnie oczyszczone. Wyłania się kwestya, jak kielbasy i kiszki preparuje się, przyczem powstaje spór, bo każdy inaczej radzi. Już mięso na kielbasy posiekane i nadziewka do kiszek przygotowana i przyprawione według naszego uznania, lecz jak kielbasy nadziewać, nie mając do tego ani szpryca ani innego przyrządu? Konieczność rodzi nieraz pomysły — a w tej wpadam na pomysł, że gdyby od flaszki dno oddzielić, mogłaby z niej i szpryca być. No, chłopcy, do dzieła! Daję szpagat mocny, oznaczam miejsce przy dnie flaszki, ubezpieczam tak, aby szpagat nie posuwał się, a tylko na oznaczonem miejscu tarcie było; — piłujcie teraz co sił! Trą aż zasapali się — a gdy uważam, że przez tarcie szpagatem to miejsce dobrze ogrzać się musiało, polełem zimną wodą — i o dziwo! dno flaszki dość równo odpadło; następnie ostre kanty i nierówności stoczyłem, zaaplikowałem z drzewa tłok i jest szpryca, za pomocą której narobiliśmy kielbas. Z kiszkami już bez tego przyrządu uporaliśmy się.

Teraz przychodzi najtrudniejsze zadanie z salcesonem, bo nikt nie wie, jak się go sporządza — zrobić się go przecież musi. Coś jak przez sen wiemy, że bierze się podgardle, uszy, dodaje krwi. Zatem pokrajałem te części, zmieszałem z krwią i zaprawiłem korzeniami na chybił trafił, bez pojęcia o proporcji i jakości korzeni, a całą tę zawartość dałem do żołądka i zaszyłem. Gotuję ten salceson, woda kłębi się. Po dłuższem gotowaniu wbijam sztychulec; krew pokazała się, zatem nie zgotowany jeszcze. Gotuję dalej dość długo, znowu próbuję: krew! A to co takiego? Leszczyński upewnia, że po tak długiem wrzeniu już surowy być nie może, a że krew pokazuje się, nic dziwnego, bo gorąca nie skrzepla jeszcze, jednak gdy zastygnie, przekonam się, że surowy nie będzie. Daję zatem

pod prasę. Na drugi dzień, gdy rozkroilem, w środku był jeszcze niedogotowany, zatem rozkrojony dogotowałem. Dowiedzieliśmy się później, że na salceson przynależne części wprawdzie zgotować trzeba, a my dali surowe. Wszystkie te przeroby nieszczególnie udały się: kielbasa była z nadto z czosnkiem, kiszki za mało słone a z nadto przepieprzone, a salceson surowy i przeładowany korzeniami. Pomimo niedomagań w przyrządzeniu tych smakołyków— wiara nasza, którą na ten »Familienfest« zaprosiliśmy, nie była wybredną i pałaszowali, aż im się uszy trzęsły. Jednak aby dalszego zawodu uniknąć, z zamiaru marynowania szynki zrezygnowaliśmy; mięso i słoninę w części sprzedało się, a co zostało, nasoliło się do dalszego konsumu.

Wracam do naszych papierosów. Jak z początku to przedsiębiorstwo dobrze szło, tak następnie coraz więcej zaczęło słabnąć, a to wskutek tego, że życie więcej kosztowało jak zarobek przynosił, a następstwem tego było, że kapitał obrotowy ciągle uszczuplał się, gdyż na życie z niego brało się, a w końcu, gdy z nikąd zasilek nie przyszedł, wyczerpał się i krach nastąpić musiał. Już było z nami krucho i ostatkami goniliśmy, gdy trafia się nam miejsce do młyna na prostych robotników. Młyn ten urządzony systemem amerykańskim, a zwany tam »krupczacki«, bo z krupek (gryśiku) przednie gatunki mąki wyrabia się, którą my tu nazywamy parową, choćby z wodnego młyna pochodziła.

Niema rady! W konieczności idziemy wszyscy we czwórkę jak byliśmy do tego młyna i stajemy za robotników do bardzo ciężkiej pracy za wynagrodzeniem miesięcznym po trzy ruble i wikt. Na wspomnienie tego wiktu jeszcze dziś po tylu latach obrzydzenie wzbudza się, było to coś wstrętnego, że gorzej być nie może. Dawano nam kapuśniak obrzydliwy, mięso najczęściej cuchnące, kaszę lub groch omaszczony skwarkami z łoju wytopionego na świece. Te skwarki sprowadzano w beczkach opróżnionych z omuli, nawet wewnątrz z ropy nie oczyszczone; były spleśniałe a tak śmierdzące, że odor zdala już dusił. Jakże

taką obrzydliwą omastę było można jeść? Podziwialiśmy moskiewskich robotników, że to jedli, a i dopominali się o przyczynę tej pachnącej omasty. Chleb także niedobry, kwaśny, gorzkawy, czarny, często niedopieczony. Przy takim wikcie było można z głodu umrzeć, gdybyśmy sobie nie radzili w ten sposób, żeśmy z mąki misili placki, te na węglach piekli, popijając herbatą cegiełkową najczęściej z pyrdumką. Czasem gdyśmy wyprosili u zarządcy młyna trochę grysiku, tośmy kaszkę zgotowali i mieliśmy bal, choć była bez omasty i takie jedzenie stanowiło głównie nasz wikt. Braliśmy czasem z kuchni kaszę, ale od czasu, jak znaleźliśmy w niej mysz zgotowaną, zaprzestaliśmy brać i tej kaszy.

Praca przytem była bardzo ciężka, nosiło się mąkę i zboże w dużych workach na czwarte piętro. Żaden z nas nie był do tak ciężkiej pracy przyzwyczajony — a musiał, choć siły nie dopisywały. Ten młyn był jeszcze bardzo prymitywnie urządzone; wynalazki nowsze, ułatwiające pracę ręczną a głównie przyrząd do wyciągania zboża i mąki na wyższe piętra, dopiero miały być zaprowadzone. Gdy się pełny worek zboża lub mąki z dołu na czwarte piętro wydzwigało, to piersi ciężkim oddechem falowały, nogi trzęsły się a każdy muszkuł drgał — a musiało się to wykonać, bo każdy miał pewną ilość takich worków wydzwigać.

Najbardziej dawało się odczuć mieszanie różnych gatunków mąki. Takiej mąki różnych sort sypało się dużą stertę, przy której dwóch do siebie zwróconych stawało z łopatami i od spodu musiało się mąkę brać, a silnie, wysoko, szeroko i daleko rzucać, aby mąka wymieszała się. Przy tej czynności pył mączny całą salę wypełniał, tak, iż biała ciemność powstawała. W czasie takiego forsownego szuflowania, oddech stawał się przyśpieszonym, pył mączny nos i usta zalepiał i pot całego oblewał. Najgorzej, że pył ten do płuc dostawał się, co zdrowiu wielce szkodziło. Po skończonej takiej pracy, gdy człowiek wyszedł cały mąką oblepiony, to wyglądał jak straszdyło w bieli.

Wkrótce przyjechał właściciel tego młyna. Nie pomnę nazwiska, bo o to nikt się nie pyta — to rzecz uboczna — wystarczy wiedzieć imię jego i jego ojca, a już znajomość zawarta. Do niego mówiło się (wyliczało) Aleksander Michajłowicz. Poszliśmy do niego, pokazując cuchnące skwarki i zatechnięty chleb z przedstawieniem, że do takiego wiktu nie jesteśmy przyzwyczajeni i nie jemy go, zatem skąd siły wziąć do tak ciężkiej pracy? A powtóre, gdybyśmy z głodu jeść musieli, to można się potruć. Właściciel grzecznie nas przyjął i nasze zażalenia uwzględnił, bo zaraz zarządcy młyna polecił, aby nam czterem wikt inny dawał z omastą masła lub słoniny, chleb biały i świeże mięso.

Wszczął z nami rozmowę o polityce. Poznajemy, że to człowiek wykształcony, historia nie jest mu obcą, a z mowy jego domyślamy się, że jest zasad liberalnych. Zdziwił nas jego pogląd na powstanie nasze, zupełnie inny, niż reszty Moskali, począwszy od chłopca prostego a skończywszy na gubernatorze. Wyraził się bowiem:

— Różne okoliczności złożyły się na wasze powstanie, a według mego zapatrywania stało się koniecznością, reakcją wskutek represyi rządu naszego; a gdy przytem zagranica podburzała was i łudziła obietnicami wsparcia was — powstaliście lekkomyślnie, bo wcale nieprzygotowani do tego, licząc jedynie na jej poparcie i pomoc. I co się stało? opuściła was wtenczas sromotnie, i powstanie, jak widzicie smutnie dla was skończyło się. Wy zawsze lekkomyślnie postępujecie, że liczycie na obcą pomoc — bądźcie pewni, że ta was zawsze zawiedzie.

Rozmowa toczyła się gładko, bo Narbutt i Jaszczold jak rodowici Rosyanie tym językiem władali i obaj byli wykształceni. Broniliśmy się od zarzutu lekkomyślności i polegania jedynie na obcej pomocy, dając jako dowód naszej siły, że powstanie w r. 1863, pomimo wielce dla nas niesprzyjających okoliczności, trwało blisko półtora roku — a gdyby Austria i Prusy nie wystąpiły były w po-

moc Rosyi dla zgniecenia powstania, kto wie, jakiby obrót ono wzięło?

Po odjeździe właściciela młyna położenie nasze znacznie poprawiło się. Mnie przydzielił zarządca do wialni, gdzie za pomocą przyrządu wiatrowego oddziela się krupki od mąki. Ta manipulacya, choć nie trudna, wymagała jednak wiele uwagi, aby wiatr był równo utrzymany i sypanie mieszaniny na wiatrak równomierne, aby dokładnie krupki od mąki oddzieliły się; również polegała na umiejętności sortowania krupek na gatunki. Już za jedną lekcją byłem z tą procedurą obznajomiony i zaraz otrzymałem podwyższenie płacy. Chociaż to zajęcie wysiłku pracy nie kosztowało, szkodziło jednak zdrowiu, bo ciągle się pyłem mącznym oddychało. Swobodna rozmowa nasza z właścicielem młynu i jego dla nas uprzejmość sprawiły, że zarządca młyna stał się dla nas także grzecznym i inaczej nas traktował a zajęcie nasze w młynie przez to stało się znośniejszem i poprawa wiktury korzystnie na zdrowie działała.

---

## VII.

Leszczyński zjawia się w młynie. — Propozycja jego założenia ze mną sklepu w Jełówce i moja zgoda na to. — Sklepek, zakupno towarów. — Słaby zapas towarów nie wystarcza. — Kredyt u Kuźniecowa w Irkucku. Nadzieja powodzenia. — Kupno konia z uprzężą. — Podział zajęć. — Sprzedaż omuli. — Żydzi w Syberii. — Dąbrowski żyd. — Handel nasz rozwija się. — Jednamy sobie szacunek. — Z powodzeniem i humor lepszy przychodzi. — Pop miejscowy i popadia. — Karmimy wieprze. — Rozszerzamy lokal. — Opis wsi, budynków i mieszkań w Syberii. — Wymrażanie robactwa w mieszkaniach. — Letnie upały i mnogość owadów. — Ochrona przed nimi. — Parowe łaźnie na wsi i po miastach. — Bańszczyk. — Kuźniecowa kupuje wieprze. — Przyjęcie go i Niemca, masarza. — Leszczyński wraca do domu. — Dobry interes z wypasu zachęca postawić drugą partję świnek.

Upłynęło kilka miesięcy od czasu wstąpienia do młyna. Jednego dnia zjawia się Franciszek Leszczyński, który szedł ze mną w jednej partyi i zdaje mi się, że w Tobolsku rozłączyliśmy się — gdzie on został a mnie dalej wysłano. Stawia mi propozycję, abym z nim założył sklep w Jełówce.

— Chętnie — mówię — przystałbym do spółki, gdybym miał pieniądze.

— Tu nie rozchodzi się tyle o pieniądze — odzywa się Leszczyński — ile o twoją zgodę i bez pieniędzy możesz być spółnikiem. Otrzymałem dwieście rubli z domu, założymy sklep i dorabiać się będziemy, a jeśli Bóg dopomoże, zysk będzie wspólny — co, zgoda?

— Zgoda — mówię -- niech Bóg nam dopomaga!

Z chęcią to zaofiarowanie przyjąłem, przecież wolność każdemu jest miłą — choć wiedziałem, że ciężar zajęcia w większej części na mnie spadnie, bo Leszczyński był bez prawej ręki, którą, w armii austriackiej służąc, w bitwie pod Solferino po ramię stracił<sup>1)</sup>. Z miejsca zatem wymówiłem w młynie służbę i do Jełówki udałem się. Żal było mi rozstawać się z kolegami w młynie, którzy dalej tak ciężko pracować musieli. Leszczyński już najął lokal na sklep a przy nim izbę mieszkalną.

Zamówiliśmy zaraz ładę i półki na towary — i udaliśmy się zaraz po potrzebne zapasy dla sklepiku do Irkucka. Sklepiik taki należało na razie zaopatrzyć: w herbatę cegiełkową i liściową, cukier biały i lodowaty, różne korzenie, mydło, krupy, ryż, mąkę krupczatkę, igły, nici, guziki, wstążki, gwoździe, tytoń w paczkach i liściowy, omule, sól, cukierki i świecełka różne i t. d. Później rozszerzyliśmy ten handel i trzymało się perkale, płótna, skóry, przybory szewskie — i co wieś potrzebowała. Zakupna powyższe musieliśmy zastosować do skromnego kapitaliku; jedyne większe zakupno była cała beczka omuli, bo mniej nie było można kupić.

Gdyśmy te towary przywieźli, nie mieliśmy zamiaru sprzedawać, aż pokąd sklep urządzonym nie zostanie. Jednak na nic było nasze postanowienie, bo gdy się we wsi dowiedzieli, że towary już są, zaczęli natarczywie domagać się, aby sprzedaż otworzyć i w tym nieładzie musieliśmy handel rozpocząć. Niedługo tak trwało, bo gdy stolarz lady i półek dostarczył, sprzedaż już prawidłowo zaczęła się. Na razie ograniczony był nasz handel, bo tylko za gotówkę sprzedawać mogliśmy, gdy tam przeważnie zamianę produktów rolniczych i gospodarczych prowadzą, a taka zamiana największy zysk przynosi. Trudno jednak było na taki handel puścić się, bo wnetby towarów zabra-

---

<sup>1)</sup> Był wtenczas w randze porucznika.

kło, a gdy zapasowej gotówki nie było, nasz handel w samym zawiązku zostałby zachwiany.

W tej sytuacji wnet zorientowaliśmy się i przyszli do przekonania, że przy tak objawionem zapotrzebowaniu włożony kapitał jest za mały i tak dalej nie da się prowadzić. Co tu robić? Radzę Leszczyńskiemu, aby pojechał do Irkucka i próbował tam u którego z kupców postarać się o kredyt. Myśl moja była szczęśliwą a także szczęśliwie złożyło się, że w drogę najął się gospodarz, do którego błędząc w nocy na zaimkę trafiłem. Jadąc z nim, Leszczyński zwierza się z kłopotu swego. Ten mówi:

— Znam jednego kupca, nazywa się Kuźniecowa — spróbujemy tam prosić o kredyt, a mam nadzieję, że nie odmówi.

Gdy stanęli na miejscu, obaj idą do niego i Leszczyński przedstawia mu swą prośbę. Kuźniecowa znał tego gospodarza jako uczciwego a także zamożnego — i na jego porękę udzielił większego kredytu z terminem dwumiesięcznym. Dał odrazu dwie beczki omuli, sto cegiełek herbaty i innych towarów poddostatkim, tak że pełną furę naładowali, co wszystko, jak na nasze stosunki, poważną kwotę stanowiło.

Gdy Leszczyński z takim zapasem powrócił, uradowałem się bardzo, bo byłem pewny, że nasz interes dobrze pójdzie, gdyż będziemy mogli prowadzić go i na zamianę, co bardzo rentowne. Nie było obawy, abyśmy w terminie z długu nie uiścili się, a ta pewność robiła nam nadzieję na dalszy kredyt. I rzeczywiście tak się stało, bo przed terminem dług spłaciliśmy i jak było spodziewane, jeszcze większego kredytu Kuźniecowa udzielił.

O Kuźniecowie, który tak znacząco na mój los w Syberyi wpłynął, będzie w dalszem opowiadaniu.

Ponieważ furmanki po towary do miasta także z odstawą zboża do młyna a stamtąd na targ do Irkucka dość drogo nas kosztowały, uradziliśmy, że byłoby korzystniej konia kupić a natenczas będzie można po innych wsiach omule rozwozić i z tego mieć nowy dochód. Niebawem

trafiła się nam dobra sposobność kupić tanio konia z telegą i uprzężą. Cieszyliśmy się tym koniem jak dziecko pierwszą zabawką, a było to pocziwe stworzenie i zadziwiająco mądre. Z tym koniem przybyło dla mnie więcej pracy, bo staranie o niego przeważnie na mnie spadło. Nazwaliśmy go Maćkiem, bo dużo żarł, a rozpieścili tak, że jak który z nas pokazał się, to zaraz rżał, aby mu dać jakiś przysmaczek: chleba z solą lub cukru. Dostaliśmy także pieska, nazywał się Mruczek, a tak się do Maćka przywiązał, że go w dzień i w nocy nie odstępował; wyglądało to, jakby Maćka za swego pana uważał.

Zajęciem podzieliliśmy się. Leszczyński przeważnie sprzedawał w sklepie, jeździł do miasta, wyruszał z omulami po wsiach, a na mnie całe gospodarstwo spoczywało, a zatem: obchodzenie konia, rąbanie drzewa, noszenie wody, gotowanie, sprzątanie a nawet pranie bielizny; a gdy Leszczyński wyjechał, to w międzyczasie zatrudnień moich i w sklepie sprzedawałem, więc z tytułu tych różnorodnych zajęć uważałem siebie za »Mädchen für Alles«.

Leszczyński dość chętnie jeździł z omulami po wsiach. A poważnie wyglądał przejęty ważnością tego zadania: słusznego wzrostu, przystojny brunet z czarną brodą; w zimie w barankowej wysokiej czapce, okryty dachą (szeroka szuba sarnia włosem na wierzch) dumnie spoglądał na Maćka i beczkę z omulami, owoc swych starań. Jadąc przez wieś, wołał:

— Omule, omule — adliczne omule (znakomite), świeże omule!

Na te wołania wybiegały baby z domów i niosły na zamianę to zboże, to przedziwo, jaja i t. p., a także i za gotówkę kupowały. Gdy w jednym miejscu załatwił się — to dalej posuwał i dalej »omule, omule!« wykrzykiwał. Maciek tak poznał tę swoją służbę, że gdy już nikogo przy wozie nie było, sam dalej ruszał — natenczas dalej wołanie omule, omule! rozchodziło się po wsi. Mruczek w tych wycieczkach zawsze brał udział, a gdy go psy opadły, nie chciał wyskoczyć na telegę, lecz chował się pod Ma-

ćka — tam czuł się najbezpieczniej, bo Maciek stał w obronie swego pupila, grożąc napastnikom kopytami i chwytem w zęby.

I ja także po wsiach jeździłem, również przejmowałem się ważnością tego zadania, przystrajając się w powagę — jednak w tem trudno było Leszczyńskiemu dorównać. Gdy tak cały dzień człowiek nawrzeszczał się: omule! omule! i natargował się z wrzaskliwemi babami, to często zachrypnięty powracał, jednak nie żałował tego, bo interes był dobry i kilka worków zboża i innych produktów, a także i trochę kopiejek przywoziliśmy.

Uzbierane zboże woziło się do młyna, a stamtąd mąkę na targ do Irkucka, którą najwięcej na wyrób wódki do gorzelń kupowali. W irkuckiej gubernii było kilka gorzelń, z tych największa Dąbrowskiego, żyda pochodzącego z Litwy.

Gdy mowa o żydach, wspomnę, że żydów tak handlujących jak u nas nie widziałem. Gdziekolwiek w kabaczkach (szynkach) było można spotkać i to trudno rozpoznać, czy żyd, bo bez pejsów; a że wszyscy mężczyźni na Syberyi noszą brody — nie odróżniali się od innych, a także i ubraniem, bo i z tem zupełnie się do Moskali zastosowywali.

Tego Dąbrowskiego mieliśmy sposobność poznać. Pewnego dnia zajeżdża przed nasz dom elegancki tarantas, zaprzężony w trójkę dzielnych rumaków i wchodzi jakaś poważna osobistość w wykwintnem ubraniu i przedstawia się:

— Dąbrowski, jestem Polakiem moźszowego wyznania, pochodzę z Litwy a już 20 lat jak opuściłem moją ojczyznę. Darujcie panowie, że was najeżdżam, ale spowodowała mnie nadzieja spotkania między wami kogo z moich stron i dowiedzenia się, co tam słysząc, choć wiem, że nie dobrze.

Objaśniam go, że my z Galicyi, ale są w tej gminie i z Litwy.

Zaraz zwierza się, że przyszedł tu biedny, a dziś, Bogu dzięki, powodzi mu się nieźle.

— Tak zacząłem pracować, jak panowie, a na wieść, żeście się do tego zręcznie zabrali — przyznam się — że ciekawość poznania was w progi mnie wasze przywiodła.

Poczęstowaliśmy go herbatą i nalewką (ratafią); tę ostatnią chętnie ciągnął. Rozmowa ożywiła się, jakbyśmy się dawno znali. Narzekał na urzędników tutejszych, że łapowniki.

— I mnie nigdy nie pożałowali i darli co mogli, a ile odemnie nabrali, to stanowiłoby pokaźny majątek. Ale kto chce jechać, musi smarować, a to przysłowie najlepiej da się tu dostosować — jednak inaczej trudno tu do czego przyjść.

Po polsku już zapomniał, a silił się koniecznie tym językiem z nami rozmawiać, więc niemiłosiernie go mąsakrował.

Ponieważ chętnie nalewkę ciągnął, dolewaliśmy także chętnie — i spostrzegamy, że głowa robi mu się ciężka, humor staje się niezwykły — ba, już bierze się do całowania, wynurzań, serdeczności; już w rozczuleniu chcąc swój patryotyzm okazać, zaczyna śpiewać: »Jeszcze Polska nie zginęła!« Ze śmiechu bierzemy się za boki — ja klaszczę w dłonie, Leszczyński po udzie sobie. »Brawo, niech żyje!« wołamy, z czego był niezmiernie zadowolony, bo zerwał się z siedzenia, dumnie wyprostował się, tupnął nogą, przy czem twarz nabiegła krwią, oczy błysły i jakby mało polskości było w słowach »Jeszcze Polska!«... zaczyna mazura śpiewać i dziś, dziś, przytupuje nogami. My brawo bijemy i wołamy jeszcze! Zaczynamy teraz we trójkę mazura śpiewać. On żadnego kroku zrobić nie może, tylko na miejscu tupie nogami i to u niego miał być mazur! Mazur ma się kończyć hołupcem, więc zawołałem: hołupiec! Gdy się z tym chciał popisać, zatoczył się i byłby upadł, gdybym go był nie podtrzymał.

— Oj, to ja za młodu chłopiec był zuch! do tańca, do dziewcząt i wszystkiego. Aj waj!

Może się jemu to słowo wyrwało, a najpewniej w po-  
bałamuconej głowie myślał, że to wyraz polski. Po tym  
mazurze siarczystym i zamaszystym zziąjął się nielada  
i sapie. Gdy wysapał się, żegna się z nami.

— Uczęstawialiście mnie, rozweselili, jak dawniej by-  
wało — dzięki wam za to; niema to jak być między swo-  
imi! Bądźcie zdrowi a nie zapominajcie o Dąbrowskim —  
mam dla was serce i dom otwarty, proszę do mnie przy-  
jechać.

Nie było czasu jechać do niego, bo daleko mieszkał,  
a tem mniej chęci, gdyśmy się dowiedzieli, że za jakieś  
zbrodnie do katorgi skazany został a następnie na posie-  
lenie dostał się, gdzie sprytem znacznego dorobił się ma-  
jątku. Później, gdy w Irkucku mieszkałem, widywałem go;  
zawsze serdecznie się witał i wymówki robił, że u niego  
nie byłem.

Handel nasz rozwijał się pomyślnie, długów nie mie-  
liśmy — już stać nas było kupić sobie porządne ubranie  
i lepszą bieliznę. Koledzy odwiedzali nas; pop miejscowy  
dość często a czasem popadja z córkami pod pozorem  
sprawunków do sklepu. Także gołowa pod różnymi pre-  
tekstami zaglądał czasem; a raz zajechał isprawnik przez  
ciekawość — jak mówił — poznania nas bliżej, a może  
z urzędu dla kontroli nas i zabawił, uraczany ratafią, dość  
długo. W gminie taka wizyta zrobiła sensację i w oczach  
włościan powagę naszą podniosła. Już nam nikt nie po-  
wiedział »ty«, lecz — jak mówią — wyliczali, t. j. z sza-  
cunkiem odzywali się. Aby ten szacunek okazać, łączy się  
imię dotyczącego z imieniem ojca jego. Naprzykład: memu  
ojcu na imię Antoni a moje Kornel, otóż do mnie odzy-  
wali się: Kornieli Antonowicz. O nazwisko w odnoszeniu  
ustnem nie pytają się, to potrzebne tylko przy adresowa-  
niu lub na dokumentach; a »gospodin« (pan) mówić do  
kogoś nie jest w zwyczaju.

Podatków żadnych nie płaciliśmy — a prowadzenie  
jakiego przedsiębiorstwa, jak sklepu, nie było krępowane  
żadną ustawą — pozwolenia udzielał isprawnik, nawet

ustnie, a do prośby dołączało się kilka rubli, niby na kosztą konsensu. Za tych kilka rubli, które dało się isprawnikowi rzekomo tytułem kosztów, już jego podwładni szli nam na rękę i sam isprawnik był nam chętny.

Z powodzeniem szła dobra myśl i humor, a choć na obczyźnie i w niewoli, jakieś rozweselenie wstępowało w nasze dusze — a zatem: śmiechy, dowcipy, piosenki, deklamacje, a to przeplatane dykteryjkami i opowiadaniem różnych zdarzeń. Gdy koledzy znaleźli się u nas, wszystko ludzie młodzi, pełni życia, co za humor się rodzi! Powagę natenczas chowało się, a rozfigłowawszy się jak żaki, cośmy nie wyrabiali! Psikusy jeden drugiemu, mocowania się, gimnastyka, przedrzeźnianie ubrane w komizm i przesadę niektórych kolegów i t. p. — to przypominało szkolne czasy podczas pauzy między godzinami, gdy młodość chce swój temperament wyładować. Ale byliśmy nieraz i złośliwi, gdy zebranych wzorkami z ludności tamtejszej, ich zwyczajów, przesądów, naiwności bawiliśmy się znakomicie. Szczególnie mnie i Leszczyńskiemu miejscowy pop i jego rodzina dostarczali materiału do zabawiania się ich kosztem — było więc z czego tkać i za boki się brać.

Miejscowy pop często do nas przychodził; sympatyczny, przystojny mężczyzna, lat około czterdziestu kilku, twarzy pełnej, umiał być wesołym i dowcipnym; posiadał przy tem trochę wiedzy różnej — ale miał dwie niewinne zresztą wady: jedną, że nie wylał za kołnierz, a drugą jeszcze niewinniejszą, że cenił piękno, gdzie je spostrzegł. Dla tych wad, a szczególnie drugiej, Marya Fiodorowna, dostojna jego małżonka, urzędowała mu w domu sceny. Choćby za najskromniejszy uśmiech, posłany w stronę wrogą jej, srogo go prześladowała a jeszcze srożej karciała, bo jeść nie dawała. Krewkość, mówiła, trzeba poskromić ujęciem obroku! Gdy przewinił, wszystko w pokorze zniósł — i głód przecierpiał. Ale... (był sprawiedliwy) niechby spróbowała niesłusznie posądzić go o strzeliste afekta, do których nie poczuwał się — to natenczas na-

srożył się niezwykle i taką awanturę małżonce swej wyprawił, że z domu uciekać musiała, gdyż zwykł się brać do poskromienia buzi nie ujęciem obroku, lecz gorzej — bo dotykalnie... a ona z tem się nie zgadzała i bolących afektów nie aprobowała, bo wstręt do nich miała, jako środka niemiłego, nieestetycznego a niedostrojonego do jej czulej natury. Zatem lepiej było ustąpić i przeczekać, aż zranione serce zagoi się i żal do niej minie.

W chwilach takiego rozstroju w domu, zwłaszcza, gdy wina była po jego stronie, przychodził do nas z żalami swoimi na Maryę Fiodorownę, że go dotąd nie pojęła i zrozumieć nie może, iż on hołduje zasadom altruistycznym, bo gdzież ona wznieść się może do tak szczytnych idei?!

My dobrze poznali ten szczyt jego poświęcenia dla ludzkości a miłości w większej mierze dla istot słabszych; bo gdy był u nas, a przyszła do sklepu jaka z płci pięknej młoda i gładkiego lica — zaraz pod jakimkolwiek pozorem wsunął się do sklepu i poczucie obowiązku odezwało się w nim, aby kupującą zabawić. Natenczas przed nami tłumaczył się i twierdził, że robi to w naszym interesie. My za to musieliśmy, gdy mu żale raniły serce a kurczyły żołądek, pierwsze leczyć kieliszkiem, napełnionym pocieszycielką, a drugie omulem. Przy spożywaniu tego daru bajkalskiego wrywały się z piersi słowa:

— Szczęśliwi ludzie, żaden nie ma Maryi Fiodorowny!

I Marya Fiodorowna przychodziła za sprawunkami do sklepu a czasem z dwiema nadobnymi córami. Starsza była puciołowata, tęga, do ojca podobna, a młodsza, jej gagatek, szczupła, śniada, do niej podobna. Mieli syna Iwanuszkę; łobuz ze szkół uciekł, niczem zając się nie chciał, był zmartwieniem dla rodziców i wstydem dla domu, bo wszystkich kompromitował znajomościami we wsi i ojcu konkurencyę robił — jednak gdy ojciec poza platoniczne znajomości nie posuwał się, to syn i na szeroką wodę puszczał się i bufonował z tego jeszcze.

Popadja, szczupła kobiecina, śmieszna była, gdy chciała się okryć powagą swego dostojęstwa; zawsze pretensjonalnie przystrojona, uśmiechnięta, a z poważnym wyrazem twarzy. Skarżyła się przed nami na lekkomyślność męża i syna; ten syn tyle jej wstydu i zmartwienia robił — zupełnie wdał się w ojca, oj, żeby on miał moją naturę, jakizby to porządny i stateczny był! Jeszcze więcej skarżyła się na swój rodzaj żeński, szczególnie na te młode tak przez nią znienawidzone, te nieznośne, puste kokiety, takie podstępne i zdradliwe, co jej tak życie zatrująją. Przy nienawiści do swego rodzaju była niezwykle gadatliwa; usta nie zamykały się jej, a język trzepotał; nawet gdy nie mówiła, co rzadkością było, bródka spiczasta machinalnie poruszała się. W gadatliwości córki matce nie ustępowały, a przytem ciągle śmiały się i mizdrzyły — a gdy wszystkie trzy języczki w ruch puściły, taki wywarzał się tarachkot, że aż w uszach szumiało! Nie pomagały cukierki, rodzynki i migdały, czem pragnęliśmy buzie zatkać — traktament znikał, a tarachkot nie ustawał!

Pop otiec Pantalej, mąż Maryi Fiodorownej, pomimo złej opinii u małżonki swej, był dobrze zapisany u władzy cerkiewnej, bowiem manewrował tak, aby przyznawano mu, iż swoje obowiązki spełnia »po zakonu«, a poza tem chciał być swobodnym i swym popędem uczuć puszczał wodze. Jednak co komu do tego? — myślał; chyba Maryi Fiodorownie, która za żadną cenę nie chciała zrezygnować z kontroli nad mężem.

Oboje w domu bardzo gościnni i uprzejmi — gdy byli razem, zachowywali przy nas pozory jedności czulego małżeństwa, a każde z nich było pewne, że nie jesteśmy świadomi częstego rozstroju w domu, bo przecież ambicya nie pozwoliłaby drugiej stronie wynurzać się przed obcymi ludźmi z domowych stosunków — i tak nawzajem o sobie myśleli. A że to tak w ich mniemaniu miało się utrzymać, w tem nasza zasługa, bośmy nigdy nie zdra-

dzili tych zwierzeń przed żadną stroną, a pojedynczo od nich uznanie za to posiadliśmy.

Dziwna jest natura ludzka, że człowiek mało kiedy poprzestaje na tem, co posiada, a radby zawsze więcej. Tak było i z nami. Gdy zboża mieliśmy dosyć i odpadki z naszej kuchni marnowały się, bo Mruczek tego spożyć nie mógł, przyszła nam myśl — świnkę trzymać. Ale co to jedna świnka! Tak z jedną jak i z kilkoma zachód ten sam. Zatem kupimy kilka chudych i spróbujemy, czy podołamy i jaka będzie korzyść — i kupiliśmy pięć chudeuszów. Gdy do poprzedniego zajęcia przyszła obsługa świnek, już stało się trudnem wszystkiemu podołać i przyszło do wożenia zboża do młyna i na targ do Irukucka najmywać. Także z rozszerzeniem handlu i lokal trzeba było rozszerzyć, więc gospodarz nasz za dobrem wynagrodzeniem odstąpił całe mieszkanie w parterze a sam przeniósł się na piętro.

Przy sposobności radbym skreślić, jak domy i wieś na Syberyi wyglądają. Domy budowane bywają przy jednej szerokiej ulicy, podobnie jak u nas koloniści Niemcy budują. Domów murowanych nie widziałem, wszystkie drewniane z grubych belek na tak zwane zamki łączone, a między belki te ścielą mech, aby szpar nie było. Dach podwójnie tarcicami kryty. Każde obejście oparkanione lub wysokim częstokołem obwiedzione, a od ulicy brama, która tylko wtedy jest otwartą, gdy się wjeżdża lub wyjeżdża, zresztą zawsze zamknięta; obok bramy furtka do wejścia na podwórze, w którym dom mieszkalny i zabudowania gospodarskie mieszczą się. Zamożniejsi mają domy piętrowe i my w takim mieszkali; a są takie wsie, w których domy są przeważnie piętrowe. W zimie w domach piętrowych w parterze zwykle rodzina mieszka — zaś w domach parterowych mają mieszkania po jednej i po drugiej stronie tego budynku. Z potrzeby stał się zwyczaj, że w piętrowym domu jest na piętrze a w parterowym po drugiej stronie sieni mieszkanie staranniej urządzone, a do komfortu należy, aby tam podłoga była przykryta

zaścielą w rodzaju dywana lub skromniejszą z płótna w pasy albo kraty kolorowe wyrobu domowego utkana. Ta część mieszkania bywa przeznaczona na przyjęcie zaszczytnych gości albo dla zamiany mieszkania w celu wytępienia robactwa a ma nazwę »gornica« i to do niej w święta lub uroczystości rodzinne wprowadzają gości i tam uczują.

Ponieważ w takich mieszkaniach, zbudowanych z drzewa a nietynkowanych, w szparach znajduje schowek dla siebie różnego rodzaju robactwo, jak: szwabry, tarakony, pluskwy, stonogi, świrki i wiele innych — to tamtejsi mieszkańcy, aby pozbyć się tego plugastwa, radzą sobie w ten sposób, że w czasie najsilniejszych mrozów wyprowadzają się do mieszkania wolnego, a w tem, które opuścili, otwierają okna i przestają palić w piecach; natenczas mróz silny wymrozi, co żyje, do szczętu, a gdy znów z drugim mieszkaniem tak samo postąpią, to uwolnią się zupełnie od tej plagi. Myślałby kto, że to mieszkanie raz na zawsze uwolnione zostało od tego robactwa — gdzie-tam! na drugi rok jest to samo — skądś weźmie się i powoli znów się rozmnoży.

Mało widać we wsi drzew albo wcale niema, przez to wieś syberyjska smutno wygląda. Drzew owocowych niema żadnych, bo w tym klimacie zimy nie wytrzymują. Mówię o gubernii irkuckiej, bo w tomskiej i omskiej, położonych na zachodnim południu, gdzie klimat łagodniejszy, są drzewa owocowe, pasieki i t. d. Jednak pomimo tak srożej zimy w irkuckiej gubernii jagody nie giną i jest różnych w lecie wielka obfitość, również masa grzybów wszelakich gatunków. Ze zboża rodzi się tylko jare i obfity plon wydaje, jeśli mróz niedojrzałego jeszcze wcześniej nie zważy. Ozimego zboża nie sieją, bo zimy nie wytrzyma. Wegetacya z wiosną — jak już wspomniałem — budzi się bardzo silnie; z zimy do lata przejście nagłe; wiosny i jesieni prawie niema, tak nagłe są zmiany temperatury. W lecie upały nieznośne a noce parne.

Wszelakiego gatunku owady: muchy, komary, bąki

różnej odmiany i wielkości dokuczają ludziom i zwierzętom; szczególnie drobniutka meszka staje się najdokuczliwszą, bo ukąszenie jej jadowite a trudno uchronić się od niej, gdyż najmniejszym otworem wciśnie się. Na pastwiskach, aby choć w części plagę tę zmniejszyć, rozkładają ognie i przyduszają ogniska, aby tylko dym wytwarzał się. Konie i bydło trapione przez te owady, instynktem pcha się do dymu tego.

Upały trwają około trzech miesięcy i w tym czasie wszystko dojrzewa, a potem zaraz przymrozki przychodzą a za nimi wnet i zima. Zdarza się, że taki przymrozek w sierpniu nastąpi, to pod tę porę zboże jeszcze niedojrzałe a także i jarzyny pomrozi — więc nastąpiłby straszny głód, gdyby nie zarządzenia, iż każda wieś zdała od budynków musi mieć duży spichlerz gminny, który na ten wypadek ma być pełny zboża, z którego zapasów mogłaby gmina żywić się i obsiewy porobić. Potrzebujący zboża pożyczają natenczas ze spichlerza potrzebną ilość, jaką na wiosnę wydają mu na miarę w strych a w jesieni taką samą ilość i na tę samą miarę ma oddać z czubem. Ta nadwyżka ma zwiększać zapas śpichrza i wszelkie deficyty pokryć.

Pod uprawę roli podówczas nawozu nie używali jeszcze, tego wspomóżenia niewyzyskana ziemia nie potrzebowała. Czy teraz tak samo? — wątpię, bo przecież wysilić się musi, rodząc ciągle. Nawóz zatem, gdzie była blisko rzeka, puszczali z wodą, w przeciwnym razie sypali w parowy lub za wsią składali, z czego duże sterty nawozu powstawały. Gospodarze tamtejsi próbowali pola nawozem sprawiać — utrzymywali jednak, że z takiego pola zbiór był gorszy i ziarno mniej dorodne.

Moskale lubią bardzo parową łaźnię, którą »banią« zwać. Każdy gospodarz banię powinien mieć, a drugą rzecz, którą mieć musi: to samowar. On go rozgrzewa, rozweśela, niemal staje się nieodzownym do życia; on jest ogniskiem, około którego rodzina się skupia. Kiedy w dom wstąpić, zawsze samowar gotów na przyjęcie gościa. W bani

powinien się każdy przynajmniej raz na tydzień wyparzyć. W parni takiej przy wysokiej temperaturze bije jeden drugiego brzozowymi różgami, robionemi w lecie, kiedy liść gałązek najmocniej się trzyma. Takich różeg (miotelek) każdy w odpowiednim czasie wielki zapas robi. Wybity potężnie od stóp do głowy — zesieczony niemiłosiernie, czerwony z tego i z gorącej pary jak rak, wybiega na dwór i choćby najsilniejszy mróz, tarza się po śniegu. Para idzie z niego jak z komina! To nic nie szkodzi; po wytarzaniu się w śniegu, gdy się dobrze ochłodził, wraca znów do bani i dalej parzy się — następnie oblewa się zimną wodą, ubiera się w kożuch, biegnie do chaty — i hajda na pałacie! Tam leżąc delektuje się lubością, jaką mu parowa łaźnia sprawiła! I on ma swoje ruskie »dolce far niente«, a tą słodką rozkoszą: bania; po niej pałacie a nieco później czaj, o którym marzył, gdy był jeszcze w bani.

W miastach po parowych łaźniach są specjaliści tak zwani »bańszczycy« do masowania i sieczenia różgami, którzy za niewielką opłatą podejmują się tej operacji. Lecz niech Pan Bóg broni od takiego zbója! Kto nie wie, a poza takse nie da mu napiwku i nie umówi się z nim, że jak powie: »dosyć«, to ma przestać — może ofiarę na śmierć zasiec. Nie pomogą prośby ni groźby — ciągle będzie smagał różgami z obu rąk (bo tak staje uzbrojony), a na prośby i przekleństwa ofiary odpowiada: baryń (wielmożny panie) jeszcze tu nie dotknąłem się, jeszcze tu raz, jeszcze tu konieczne — jeszcze tu trączę — choć niezliczone razy uderzył w to miejsce całą siłą. A taki bańszczyk to chłop jak niedźwiedź, katula człowiekiem i bije różgami bez miłosierdzia — nibyto że go szczerze obchodzi a właściwie w zamiarze wyduszenia wykupnego.

Wyżej w opisie wsi napomknąłem, że mieszkańcy tamtejsi są zmuszeni obejścia swoje wysoko ogradzać przed napadem wilków. Raz mieliśmy sposobność być widzami takiego napadu na wieś Kujadę. Było to w czasie, gdy prowadziliśmy fabrykę papierosów i zwykle przy tej robocie do późnej nocy siedzieliśmy. Naraz słyszymy, że pies

gospodarza niezwykłym głosem ujada a wtem wpada gospodarz i przestraszonym głosem woła: »Wilki we wsi! chodźcie prędko, bierzcie widły, siekierę i strzelbę«. Na ten alarm, ponieważ na dworze był silny mróz, prędko ubraliśmy się ciepło. Uzbrojeni, w co kto chwycił, a gospodarz z gwintówką wypadliśmy na ulicę.

Noc była jasna księżycowa, więc widać było jak w dzień. W całej wsi słyhać przeraźliwe krzyki, strzały, szczekanie i skomlenie psów — ale wilków nie widać. Światło w latarkach miga i silny odgłos dzwonek słyhać; w ten sposób wilki straszą, bowiem one brzęku dzwonek i światła boją się. Dążymy pospiesznie, skąd największy hałas dochodzi; po drodze przyłącza się więcej do nas ludzi uzbrojonych i ze światłem. Wtem nagle spostrzegamy, że naprzeciw nas, ale jeszcze dość daleko, pędzi rażno w naszą stronę jakieś szare stado. To wilki! — krzyczą. Podjęliśmy i my wrzask i brzęk dzwonek silniej odezwał się — i gotujemy się do walki. Nagle gromada stanęła... zapewne spostrzegła nas — i w tej chwili zwróciła się w bok w stronę cerkwi, że tylko mignęło się. Pobiegliśmy w całym pędzie za nimi — jesteśmy już obok cerkwi, rozglądamy się i szukamy, gdzie się skryły — lecz ani śladu ich, niewiadomo gdzie się podziały.

Pędzimy dalej, skąd odgłosy dochodzą i znajdujemy się już za wsią. Na krzyki, światła, brzęk dzwonek i strzały już wilki ze wsi ustąpiły, ale za wsią pod lasem widać je; błyszczą ślepiami i wyją przeraźliwie. Strzały ku nim skierowane widocznie niepokoją je, bo ruch żywy między nimi, że aż się kłębi. Ze wsi niosą wiązki słome, kupkami rozkładają i podpalają. Na widok ognia wycie wilków jeszcze przeraźliwsze odezwało się, ale za chwilę ucichło a czasem tylko hen zdala dolatuje. Gdzieś jakiś odważniejszy wilk przemknie się a w końcu już żadnego nie widać.

W pierwszej chwili z jednej strony wrzaski ludzkie, skomlenie i szczekanie psów, światło w latarniach migające się, odgłos dzwonek, ryk bydła, rżenie koni,

a z pod lasu dochodzące wycie wilków i niepewność, czy ich we wsi niema — podnieciło nasze nerwy a zarazem wojowniczo usposobiło. Cała wieś poruszona, nikt nie śpi, we wszystkich domostwach światło a gwar na ulicy i tym, co zostali w domu, w spokoju pozostać nie pozwala. Nam jednak taka wyprawa, choć bez powodzenia, pierwszy raz w życiu nadarzająca się, pewną emocję sprawiła i stała się niezwykle interesującą tak dalece, że żalowaliśmy, iż do borby z wilkami nie przyszło; a tak wielkie było nasze zainteresowanie się tem, żeśmy na posterunku, pomimo silnego mrozu, przy ogniskach prawie do rana pozostali w nadziei, że się wrócą nieproszeni.

Na drugi dzień znaleziono pod lasem na skraju dwa wilki rozszarpane, może były postrzelone lub ubite a przez swych towarzyszy w wściekłej złości rozszarpane.

Tak ta noc pod niezwykłym wrażeniem przeszła. Mieszkańcy wsi mieli temat przez kilka dni do rozpraw o tych nieproszonych gościach, a snuli z fantazyi powieści, które wcale miejsca nie miały. Wszędzie, gdzie się weszło, mowa o wilkach, a fantastyczne po większej części opowiadania jedni drugim udzielali.

W czasie bytności mej w Syberyi, jadąc, zdarzało mi się widzieć w drodze jednego lub kilku wilków, jednak napadu z ich strony nie było, przeciwnie już z daleka przed brzękiem dzwonek uciekały.

Powyższym opisem przerwałem opowiadanie o gospodarstwie naszym i o świnkach — zatem wracam do tego miejsca. Świnki po kilku miesiącach były już utuczone i czas już je sprzedać.

Kuźniecowa, kupiec w Irkucku, o którym już wspominałem, posiadał tam hurtowny skład herbaty, sklep korzenny, fabrykę papierosów i masarnię. Tę ostatnią prowadził Niemiec Kurlandczyk. Powiadomiliśmy Kuźniecowa, że mamy pięć wieprzów utuczonych na sprzedaż i na to zawiadomienie przyjechał z Niemcem. Leszczyńskiego w domu nie zastali, tylko mnie samego właśnie w porę, gdy wieprzom dawałem zaparzoną osypkę. Kuźniecow

oświadcza, w jakim interesie przyjechał. Wskazałem im wieprze, które są na sprzedaż. Niemiec, jako fachman, ze znanstwem swego zawodu każdego wieprza obmacał i wagę na oko oznaczył. Pyta się Kuźniecowa o Leszczyńskiego, mówię, że pojechał z omulami po wsiach.

— To mi się bardzo podoba — mówi Kuźniecowa — jestem ciekawy, jak on sobie z jedną ręką daje radę?

Gości zaprosiłem do izby. Opiszę przyjęcie, bo to zapewne wpłynęło na dalszy mój los w Syberyi. Aby przyjąć moich gości »czem chata bogata«, zaraz nastawiłem samowar i rozпалиłem na przypiecku. Miałem na szczęście przygotowane dwie porcy mięsa na rozbratle, które miałem usmażyć, gdy Leszczyński powróci. Ogień na przypiecku czeka na spełnienie swego zadania, zatem prędko pokrajałem cebulę na plasterki, dałem masło i mięso na patelnię i nim samowar zakipiał, zapach potrawy rozchodzi się po izbie. Uważam jednak, że tego jedzenia będzie za skąpo, więc prędko sporą porcy jajecznicy usmażyłem. Wszystko to na świeżem bitem maśle. Chleb, bułki do tego a dla Niemca masło z czarką na stole białym obrusem nakrytym położyłem. Podnoszę, że masło było »bite«, bo tam takiego nie znali, nawet maślnicy nigdzie nie zdybałem i nie widziałem, aby chleb z masłem jedli, bo tam używają tylko topionego do potraw i pieczywa. Sprawilem się chwacko, bo niespełna pół godziny jedzenie i herbata na stole. Cieszyło mnie, że z apetytem zajadali, a wierzę, że smakowało im, bo mięso było dobre i świeże a masło również takie. Dla rozweselenia postawiłem flaszkę owocówki. Dorobek nasz pozwolił, że było czem stół nakryć i położyć zastawę ucziwą.

Przy herbacie zapytuje mnie Kuźniecowa, co żądam za wieprze? Już wprzód umówiłem się z Leszczyńskim, jak wieprze sprzedać mamy — więc cenę podałem. Jednak w przewidywaniu, że Kuźniecowa targować się będzie i aby było z czego opuścić, postawiłem wyższą, niż uradziliśmy wziąć. Zdziwiłem się, że Kuźniecowa nic się nie targował, wyjął pieniądze i ile żądałem, zaraz zapłacił.

Był zdziwiony, że nie trzymamy żadnego sługi.

— Nie pojmuję — odzywa się — jak możecie podolać, gdy do tego Leszczyński bez ręki.

— A widzicie, Ilia Stiepanowiczu, że jakoś dajemy sobie radę, bo chęci wspomagają siły.

Bardzo ciekawie przypatrywał się czynności mojej, z którą tak gładko sprawiałem się; prócz bowiem zajęcia goszczeniem, jeszcze w sklepie, gdy kto przyszedł, załatwiałem się.

Wieprze, jak była umowa, na drugi dzień wysłaliśmy do Irkucka.

Po wyjeździe Kuźniecowa niebawem przyjechał Leszczyński; opowiedziałem mu, co zaszło. Obliczyliśmy, że mamy dobry zysk, zatem praca nasza na marne nie poszła. No, kiedy się teraz tak dobrze udało, kupiliśmy drugą partję chudziaków, z którą jeszcze lepiej nam poszło, bo nauczeni doświadczeniem, prędeż i lepiej wykarmiliśmy niż poprzednią.

---

## VIII.

Kuźniecowa kupuje drugą partycę wieprzów. — Propozycya, abym przyjął u niego posadę prykaszczyka. — Z powrotem Leszczyńskiego decyduję się na to. — Korbut i jego żona. — Uczę się po rosyjsku. — Obejmuję posadę u Kuźniecowa. — Nastazya Nikityczna. — Zapatrywanie Kuźniecowa na nasz język i sprawy światowe. — Zabawy i uczta weselna. — Zdziwiony jestem etyką odmienną od naszej. — Zwyczaje, zabawy i wyroby kobiece na wsi. — Analogia tych ze Słowakami na Węgrzech. — Ugoda Kuźniecowa z rządem i ze mną na zakupno zboża. — Sprowadzam się do Tugutui.

Po wytuczeniu tej drugiej partyi wieprzów zawiadamiamy znów Kuźniecowa, że wieprze są na sprzedaż. Na to zawiadomienie jak poprzednio Kuźniecowa z Niemcem przybył i jak wpierw tak i teraz Leszczyńskiego w domu nie zastał. Przyjąłem ich jak mogłem najlepiej, a wieprze jeszcze lepiej sprzedałem. Dziwne mi było, dlaczego Kuźniecowa sam przyjechał wieprze kupować, kiedy tego — jak się dowiedziałem — nigdy nie czynił, bowiem takie zakupna zawsze Niemiec sam załatwiał.

Przy herbacie robi mi Kuźniecowa propozycję, czyli bym nie przyjął u niego w sklepie w Irkucku posady »prykaszczyka« (subjekta). Tak niespodziewanem zaofiowaniem zaskoczony, nie wiedziałem w pierwszej chwili co odpowiedzieć, bo i nęciła mnie ta posada i żał mi było Leszczyńskiego opuszczać, z którym się żyłem, a poznawszy jego piękny, prawy charakter, szczerze pokochałem.

Kuźniecowa, widząc moje wahanie się, zaczął mnie usilnie namawiać, przedstawiać, niemal prosić: że u niego tak ciężkiej pracy nie będzie, znajdę pewne wygody, osobny pokój, usługę, wikt razem z nim i t. p. — i aby mnie zachęcić, ofiarował piękną pensję i widoki na podwyższenie tej. Po chwili namysłu odpowiadam:

— Leszczyńskiego bez jego wiedzy stanowczo nie opuszczę; a także obawiam się przyjąć obowiązek, które-mubym nie sprostął, choćby z tego powodu, że słabo po rosyjsku mówię a pisać wcale nie umiem, bo ja austriacki poddany, a tam języka rosyjskiego nie uczą, a wszak w sklepie władać nim w mowie i piśmie jest konieczne.

— Ależ Kornieli Antonowiczu, jak mówicie, wystarczy — a że jesteście chętni, pisać prędko nauczycie się, bo wykazy towarów pisane przez was wskazują, że wam trudno nie przyjdzie braki uzupełnić.

Po takich namowach Kuźniecowa, popieranym mimiką Niemca, który stojąc za Kuźniecowem, głową, rękami i mruganiem oczów dawał mi znaki zachęcające — zgodziłem się z zastrzeżeniem, że dam stanowczą odpowiedź dopiero po porozumieniu się z Leszczyńskim. Na znak zgody uścisk rąk nastąpił.

Gdy Leszczyński powrócił i opowiedziałem mu, co przed chwilą zaszło, widzę, że posmutniał mój dobry przyjaciel, a mnie natenczas żal się zrobiło opuszczać go. Więc mówię:

— Wiedz, mój drogi, że co w tej sprawie postanowisz, na to zupełnie, bez żadnego żalu i chętnie zgadzam się, bo bądź pewny, że więcej mi na tobie zależy, niż na posiadzie u Kuźniecowa.

Gdyśmy się jednak nad tą sprawą zastanowili, przyszliliśmy do przekonania, że propozycja Kuźniecowa może i dla Leszczyńskiego stać się korzystną, gdyż on przez moje odejście nic nie traci, bo na moje miejsce wielu z naszych znajdzie, a ja przez moją pozycję w Irkucku przyczynić się będę mógł do znalezienia w potrzebie kredytu i dowiedzenia się o tanich źródłach kupna — a nadto

za przykładem Kuźniecowa może wielu z naszych umieszczenie u tamtejszych kupców znaleźćby mogło. Na podstawie tych argumentów uradziliśmy, że posadę u Kuźniecowa przyjąć należy.

W czasie debaty nad tem przyszli odwiedzić nas koledzy z Kujady, między tymi Franciszek Korbut, profesor wyższej szkoły w Wilnie, z którym żona jego dobrowolnie przyszła. Ona niezwyklej dobroci osoba, uważała nas wszystkich, jakbyśmy do jej rodziny należeli. Do każdego z nas odzywała się po imieniu, dodając wyraz »obywatelu«, a my wszyscy do niej »obywatelko«. Przed chwilą radziliśmy, że Korbut najlepiej wyuczyć mnie potrafi po rosyjsku — a wtem jakby na zawołanie i on wchodzi.

— Mowa o wilku a on tu! — odzywam się.

— Oj, nicowaliście mnie, jak widzę!

— Przeciwnie jest — mówię — uradziliśmy, że ty najlepiej potrafisz mnie na kacapa przeniecować.

— Zagadkami mówicie — nic nie rozumiem...

— Zaraz przestanie być zagadką.

I opowiedziałem o zaofiarowanej mi przez Kuźniecowa posadzie. Tem opowiadaniem byli zdziwieni wszyscy i składali mi życzenia. Ja mówię:

— I ja cieszyć się będę i gratulować wam, gdy pójdziecie za moim przykładem.

Na drugi dzień pojechałem do Irkucka uwiadomić Kuźniecowa, że przyjmuję tę posadę, czem widocznie ucieszył się, gdyż mnie radośnie uściskał.

— Ilia Stepanowiczu — mówię — rezerwuję sobie jakiś czas do poduczenia się po rosyjsku, aby obejmując tę posadę, zarazem zadaniu swemu odpowiedzieć tak mógł, jak tego pragnę.

— Słusznie, słusznie, jednak spieszcie się, bo mój przykaszczyk odchodzi niebawem, więc musicie zaraz po nim to miejsce zająć.

Leszczyński znalazł sobie jednego z kolegów, a ja sprowadziłem się do Korbutów i w jednym miesiącu poduczyłem się tyle po rosyjsku, że od biedy mogłem prowa-

dzić książki, a reszty sam douczyłem się, tak, że już korespondencye i wszelkie interesy związane z tym handlem, załatwiałem.

Kuźniecowa był kawalerem około czterdziestu lat, dorysć pokaźny mężczyzna, flegmatyk, rozsądny, w postanowieniu prędko decydujący się, a w obejściu dość gładki. Miał przy sobie ciotkę Nastazę Nikityczną, osobę starszą, żwawą i obrotną. Z handlem tak się zżyła, że potrafiłaby dobrze go prowadzić. Gdy mnie przedstawił jej, przywitała mnie z taką serdecznością, jak dobrego, dawnego znajomego. Śmiejąc się, mówi:

— Kornieli Antonowiczu, musicie mnie nauczyć robić te potrawy, które tak Ilia Stiepanowiczowi smakowały u was.

Ja także śmiejąc się, żartobliwie mówię:

— Dyletant w sztuce kucharskiej sprawiał je, więc nie mogły być tak dobre, a że Ilia Stiepanowicz chwalił, to przez grzeczność może, a może, że po podróży był głodny, a takiemu wszystko smakuje.

A śmiejąc się jeszcze lepiej, mówię:

— Jeśli myślicie, Nastazyo Nikityczno, że coś ze sztuki kucharskiej odemnie skorzystacie, to was zawód spotka, gdyż ona daleko nie sięga — ledwo kilka potraw niewymyślnych z konieczności gotować nauczyłem się i na tem koniec.

— Teraz proszę do nas na obiad — odzywa się.

Po obiedzie, który był smaczny, choć menu nie wykwintne, pyta się mnie, jak mi obiad smakował, bo przecież magister od patelni na tem rozumieć się powinien. Gdy odpowiedziałem, że bardzo dobry, szepnęła mi do ucha:

— Muszę o to starać się, bo mój siostrzeniec wybredny w jedzeniu, a jeszcze większy grymaśnik w wyborze towarzyszek i trudno go ożenić.

Po miesiącu objąłem moją posadę. Dawny subjekt był jeszcze kilka dni ze mną i poinformował o wszystkim. Po ustąpieniu jego zostałem już sam w sklepie tylko

z praktykantem. Z początku Kuźniecowa lub ciotka jego pomagali mi. Później, gdy zobaczyli, iż sam daję sobie radę, prawie nie troszczyli się o sklep. Wobec tego wziąłem cały interes w swoje ręce i już bez odnoszenia się do Kuźniecowa zapisywałem towary z Niżnego-Nowogrodu lub z Moskwy albo zakupywałem w hurtownych składach w Irkucku, również i inne sprawy sam załatwiałem. Masa interesów związanych ze sklepem dawała mi wiele pracy, pomimo to czułem się zadowolony i dobrze mi było, bo Kuźniecowa dla mnie grzeczny i jak uważałem, lubiał mnie, a Nastazya Nikityczna troskliwa o mnie i dogadzała mi.

Czasem przychodzili do mnie koledzy w święto, kiedy sklep był zamknięty i trafiało się, że i Kuźniecowa przyszedł w tę porę do nas, gdyśmy po polsku rozmawiali, czemu się uważnie przysłuchiwał i tak już wsłuchał się, że rozumiał, o czym mówimy. Dziwne miał pojęcie o naszej mowie, bo raz odzywa się:

— Czemu wy nie mówicie jasno, po prostu (priamo), tylko każde słowo przeinaczacie. Bez tego byłoby zrozumiałej i dla was samych łatwiej, niżli każdy wyraz przekręcać i jasne wyrażenie utrudniać sobie.

Poczciewicz w swej naiwności miał pojęcie, że język polski jest przekręcona i spaczona mowa rosyjska, jak żargon żydowski powstał z niemieckiej. Jużto poza zakres handlu wiedza jego daleko nie sięgała — również inteligencją nie grzeszył; on był tylko kupcem — reszta mało go obchodziła. Jako przykład daję jego zapatrywanie się na stosunek polityczny do innych państw. W czasie pobytu naszego w Syberyi zanosilo się na zbrojny konflikt między Austryją i Rosyją. Udziela mi tej wiadomości i mówi:

— Król austryacki zbuntował się przeciw naszemu carowi, a car dla poskromienia Austryi ma nasze wojsko tam wysłać. Będzie źle z królem austryackim, jeśli cara nie przeprosi! (sic).

I tym podobne miał zapatrywania, a tendencyjne wiadomości polityczne czerpał na swojej giełdzie, złożonej z podobnych jemu członków. Jednakoż Nastazya Nikity-

czna miała go za bardzo mądrego i wysoce wykształconego, a zdolności jego pod niebiosa wynosiła. Co on powiedział, było dla niej wyrocznią.

W niedziele lub w święta chodziłem z Kuźniecowerem czasem do jego rodziny, kulturą mało różniącej się od swego kuzyna. W Irkucku miał tej rodziny kilka domów, wszyscy ze stanu kupieckiego i zamożni wszyscy. Między tymi Paweł Iwanowicz Worożejkin, bardzo bogaty przemysłowiec, na wielką skalę prowadził handel omułami. Miał dwóch synów, którzy mu w interesie pomagali i dwie córki z poetycznymi imionami: Wiera i Nadieżda. Wspominam o tem i zapamiętałem sobie te imiona, bo byłem interesowany w stosunku do starszej, gdyż ciotka Kuźniecowa chciała mnie ze swą siostrzenicą swatać. Obie okrągłutkie rumiane blondynki z fijołkowemi oczkami, dowcipne i bardzo wesołe, a przytem wcale nie brzydkie; czasem tej wesołości miały zanadto, bo śmiały się, czy było czy nie było z czego. Broniełem się od tego zamachu na moje kawalerstwo, a Nastazya Nikityczna sypała mi za to burę, bo nie mogła pojąć, jak mogę tak świetną partyę odrzucać. Przy pasyi swatania, jak jej siostrzeniec docinał, nie miała szczęścia, bo i swego siostrzeńca nie mogła usidłać — wszelkie jej zabiegi rozbijały się o jego upór. Również i inne kombinacye kojarzenia różnych ofiar jej manii — zawodziły. Jużto na tem polu pech ją prześladował.

U Worożejkinów zabawiałem się względnie dobrze; często spraszali gości, wycieczki urządzały; w zimie sanowanie i saneczkowanie; w domu tańce, często paradne uczyty in gratiam imienin lub innej okazji, na które Kuźniecowa i mnie zapraszali. Pomimo, że można było tam dobrze się bawić, nie mogłem z całą swobodą i humorem tej wesołości dzielić, bo zawsze jakiś robak w sercu nurtował a na myśl o swoich smutek spadał — przytem nie było mi swojsko, bo trudno przychodziło zastosować się do ich zwyczajów towarzyskich.

Umyślnie jedną ucztę opisać spróbuję, aby w przy-

bliżeniu dać obraz tych zwyczajów, a mianowicie zabawy weselnej.

Pop w Jełówce, o którym już wspominałem, batuszka Pantalej, wydawał córkę starszą za alumna, a na wesele mnie i Leszczyńskiego zaprosił. Leszczyński nie miał ochoty, a przytem była obawa sklep bez opieki zostawić, zatem został w domu, a ja udałem się pobudzony ciekawością poznania towarzystwa i ich obyczajów; szczególnie nęciło mnie bezmierne zachwalanie popa, że towarzystwo będzie doborowe i inteligentne a damy »czudiesne!« Przy ostatniej pochwalę aż mlasnął ustami.

Po ślubie i ceremoniach towarzyszących temu aktowi siedliśmy do stołu obficie zastawionego. Usadowiono nas w przepłatanego; ja dostałem się między dwie panny: ta po prawej ręce ładna, niezwykle wesoła i śmiała — po lewej mniej ładna z perkatym noskiem; wyżej tej ładnej i wesołej siedział jakiś starszy urzędnik, powaga w swoim rodzaju; poniżej tej z noskiem zadartym młody urzędnik świeżo awansowany w nowiuteńkim mundurze, na który od czasu do czasu zarozumiałe spoglądał. Naprzeciw mnie jakaś dama, szczupła, wysoka, z wielką pretensją a dziwacznie ubrana; na palcach masa pierścionków i cała niemożliwie obzłocona; trzyma się prosto jak drut, patrząc na wszystkich z góry, przyczem komiczną fryzurę ciągle poprawia. Jej nie rozchodzi się o fryzurę, bo silnie przyszpilkowana, ale właściwie chodzi jej o to, aby przy tej manipulacyi zwrócić uwagę otoczenia na liczną kolekcję pierścieni przeróżnych, którymi wszystkie palce przyozdobiła. Obok niej siedział tłuscioszek z miną głupkowatą a uśmiechniętą — widocznie z siebie zadowolniony; kroplisty pot oblewał mu czoło, jak patelnia duże, z którego scierał go kraciastą chustką i coś czule swej sąsiadce do ucha szeptał. Po drugiej stronie upierścienionej jakiś pop z ryżą brodą i takimi rozpuszczonymi włosami — ten tylko pilnował, ażeby go żaden kieliszek nie minął. I tak dalej rozmieszczeni młodzi i starzy, poważni i weseli, zadumani, komiczni i różni, co stanowili grono uczujących.

Przy obiedzie za każdą potrawę podawali napitki dla animuszu i rozbudzenia wesołości. Nie mogłem sprostać całemu towarzystwu i pić, gdyż do tego nie byłem przyzwyczajony; przeto oszustwem wykręcałem się, trzymając zawsze pełny kieliszek i za każdym toastem tylko do ust podnosiłem. Już całe towarzystwo »doborowe i inteligentne« podochocone zaczęło śpiewać, mowy wygłaszać, a wesoła rozmowa zamienia się w wrzawę. Rozbudzoną serdeczność pieczętowano całusami, i ja, gdy wlażłem między wrony zakrakałem tak jak ony, aby w oczach sąsiadek nie zostać gburem i w tym względzie o kulturze Polaków (w ich pojęciu) źle nie świadczyć. Za rezerwę moją w okazywaniu tych czułości moje sąsiadki ogromnie gorszyły się i zaczęły mnie sekować i wyśmiewać. Nie mogę obronić się, proszę »nowiuteńskiego munduru«, aby przyszedł mi w pomoc. Na moją prośbę (był galant comme il faut), palnął im taki duser, że w żadnym towarzystwie nie nadaje się do powtórzenia. One równym odcięły się. Słyszając to, zdziwiony — osłupiałem!

Ta ładna trzpiotka wesoła, już wiem, że jej na imię: Sasza, uczepiła się mnie jak Bitepażowa Kompita i kpić sobie zaczęła z mojej skromności. Pyta się:

— Czy u was w Polsce nie całują się?

— Mężczyźni z kobietami — odpowiadam — nie, chyba mąż z żoną lub brat z siostrą.

Na to ona rusza ramionami i mówi:

— Dziwny naród — a jaki zacofany! Ale zaczekaj (odrazu mówi mi »ty« i sobie tak każe mówić, nie pytając się, czy się zgadzam na to), jeśli chcesz zostać porządnym kawalerem, to ja z ciebie zrobię, ale musisz do mnie na naukę przyjechać.

Nic na to nie odpowiadam, zatem drugi raz pyta się:

— Co, przyjedziesz?

Gdy znów nic nie odpowiedziałem, szturknęła mnie w bok. Już zły byłem i porządnym kłapsem odpłaciłem się, za co wcale nie gniewała się — i dalej szarpiąc mnie za rękaw, nalega na odpowiedź:

— No gadaj, nudziarzu!

Na to odrzekłem:

— Za naukę nie mam czem płacić.

— Ha, ha, hi! — śmieje się i nachyla do zadartego noska. — Słyszysz ty, co on plecie — chce za to płacić, co nic nie kosztuje!

I chcąc towarzyszce coś do ucha powiedzieć, aż się na mnie położyła i obie śmieją się serdecznie: ha, ha, hi, hi!

— Jesteś niegrzeczny — przeproś! ale nie po polsku, tylko po naszemu!

I w ten sposób, przeplatany do tego różnemi figlami, np. gdy odwróciłem się w stronę drugą, ze swego talerza zgartywała jedzenie na mój, a zadarty nosk to samo robił, tak, że rzeczywiście nie mogłem dać sobie rady, gdy różnym psikusom końca nie było; a tu i obiad bez końca ciągnie się, a gdy pusta rozmowa i takie figle zająć mnie nie mogły, byłem już znudzony.

Nowiuteńki mundur ciężko pracował, bo po drugiej stronie miał jakąś ciętą sąsiadkę z błyszczącymi czarnymi oczyma. Nawet powaga umundurowana wyżej Saszy — rozchichotał się, sypał duserami i tłustymi conceptami. Często mnie zagadywał, na co Sasza zżymała się, bo przeszkadzał jej w rozmowie i figlach ze mną. Widzę, że moja vis à vis sąsiadki moje złośliwym wzrokiem przy akompaniamencie szyderskiego uśmieszku świdruje i szle pod ich adresem jakieś uwagi, pełne dla nich »uwielbienia«, z których niektóre dochodzą i mego ucha, gdy całość gubi się po drodze tego gwaru. Towarzystwo podochocone nie liczyło się ze słowami; słyszy się wyrazy nie dające się powtórzyć i już bez żadnej żenady prowadzi się rozmowa. Ta jednak nie wywołuje rumieńca na twarzach pań i panienek — a powstaje taka wrzawa, że jeden drugiego nie słyszy.

Nareszcie wstajemy od stołu. Chwała Bogu! Oszołomiony tem wszystkim i zmęczony certowaniem się z moimi sąsiadkami, chciałbym gdzieś schować się i odpocząć. W tej myśli rozglądam się za takim kącikiem — a wtem

dama upierścieniona zastępuje mi drogę i pyta ze znaczącym uśmiechem, jak się przy stole bawiłem.

— Winszuję, winszuję — mówi, cedząc przez zęby — w tak miłym towarzystwie źle się przecież bawić nie można!... Sasza, zauważyłam, już was złapała; lecz że uczułam dla was sympatyę — jako »uczciwa« kobieta muszę przestrzedz: bądźcie o-stro-żni!... aby żal po niewczasie nie nastąpił — bo... ona... — i znaczącem poruszeniem głowy przy trzepnięciu upierścienionej ręki, domyśleć się reszty kazała. Nagle zapytuje mnie:

— Kak was wyliczat' (nazywać)?

— Ja Korneli a mój ojciec Antoni — przedstawiam się, zdziwiony tym zwrotem.

— Kornieli Antonowiczu, czy chcecie poznać moją córeczkę?

— I owszem — odpowiadam.

— Więc wam ją pokażę — i zawołała: — Floruszka!

Floruszka w podskokach przybiegła; matka przedstawiła nas. Wspaniałym z gracyą dygiem, czepiając końcami paluszków sukienki, według ówczesnej tam mody, przywitała mnie — a matka na zgrabny ten popis uśmiechnęła się i zarekomendowała mi córeczkę:

— Oto to — jest rozkoszne i słodkie dziecko!

A ja, gratulując matce takiego nabytku, odzywam się:

— Rozkoszna — to widoczne, a czy słodka — tego nie wiem.

— Zostawiam wam Florę, zapoznajcie się bliżej i bawcie się wesoło. — A do ucha szepnęła mi: — A co? może nie miła? To nie Sasza...

Muszę być posłusznym i rozmawiam z nią. Może się podobać, choć mniej ładna jak Sasza, ale za to ma lepiej w głowie, jest skromniejsza, szykowniejsza, a ładne, duże oczy dodają jej wdzięku.

Ledwo się od Florki odczepiłem, a tu »nowiuteńki mundur« podchodzi i przedstawia się. Wymienia imię swoje, swego ojca, nazwisko a najwyraźniej rangę swoją już wyższą »in spe« awansu przyszłego. Rozmowę rozpoczyna

od krytykowania i wyśmiewania całego towarzystwa. On, co zna Petersburg, co tyle czytał, tyle widział — on wie, jak w świecie — a tu prostactwo, a gdy pijane, to szalona dzicz! A damy? — niema o czem mówić! Każda kucharka w Petersburgu ma więcej szyku i ogłady a nie zadziera tak nosa jak one. Panny: cieleńta i gęsi — a fochy na panny z wysokich sfer.

— I wystawcie sobie, one mają pretensję, abym się w której z nich zakochał — o, niedoczekanie wasze! chybaby która miała dużo rubli, abym do Petersburga świsnąć mógł. Hej, to życie tam — to raj tam! Ta Sasza kokietka, co na was parol zagieła, to córka popa, ot tego grubego — pokazał ręką. — Czy ona już jednemu rzuciła się na szyję? myśli, że tem złapie kogo. A ta tyka, jak komedyantka ubrana a obzłocona cała — to żona kupca; a ten ślamazarny, to jej mąż. Flora, to jej pasierbica; chciałaby się jej gwałtem z domu pozbyć i każdemu przychwala. Ona i mnie ciągnęła, ale ja nie głupi. Waryatka, co ona sobie o mnie myśli? — z oburzeniem powiedział. — Jak się do służę wyższej rangi, co wkrótce nastąpi, to się ożenię, ale nie tak i nie tu. Ten urzędnik, co przy Saszy siedział — to napuszysta sowa, idyota; ja w jednym palcu mam więcej, jak on w całej łepiecie; jaki on tu wielki, a w biurze przed szefem to plackiem pada!

I tak dalej obsmarował całe towarzystwo i nie pominął nikogo bez przypięcia mu łatki. W ten sposób wywiera swoją zemstę i czerni wszystkich, że poznali się na nim jako na typowym blagierze, malkontencie i lichem indywiduum, przez co ignorują go.

Nastąpiły tańce, muzyka nieszczęśliwa. Taniec rozpoczyna się »korowodem«. Pary biorą się za ręce i stają tak jak do poloneza. Wodzirej podochocony a czerwony od nadmiernej ilości wypróżnionych kieliszków, zaintonował jakąś pieśń, a wszyscy za nim śpiewają. Melodya pieśni przyjemna i niezłe głosy słyszeć. Prowadzi to w lewo, to w prawo; zakreśla figury — nareszcie staje i głosi:

— Pociętu!

— Jaki? — pytają się.

— Krugowej!

Zależy od wodzireja, jakim pocałunkiem ma się tańiec zapieczętować: czy każda para ma się z sobą tylko pocałować, czy wszyscy biorący udział w tańcu każdy z każdą — a taki pocałunek nazwany »krugowej«. Po tym tańcu nastąpił kozaczek — następnie polka; puściłem się i ja w tany. Po skończonej polce siadam i rozmawiam z jakimś popem, a wtem niespodziewanie nagle ktoś mi hop! na kolana a równocześnie ręką szyję objął. Aż drgnąłem na to — spoglądnąłem, a to Sasza! a bodajby cię kozuło!.. Skonfundowanemu taką niezwykłą przygodą krew do twarzy uderzyła, zawstydzilem się jak panienka i w zakłopotaniu nie wiem, co z tym fantem na kolanach zrobić? Spostrzegła Szasza to moje zakłopotanie i ambaras, w jaki mnie wprawiła i w głos zaczyna się śmiać ha, ha, ha!.. a patrząc mi ciekawie w oczy, odzywa się:

— A to dopiero dziki młodzieniec... poczerwieniał jak rak, nie wiedzieć czego! Wstydzi się pocałować a z musu sprawia się z tem tak niedołąźnie, że aż hańba... hi hi, hi! jaki świętoszek! A Flory toś się nie wstydził, przy niej nie ponsowiejesz — ale ja, jak się do ciebie przytulę i chcę się popieścić, to się wstydzisz. Widziałam dobrze wasze zalecania, ale z tego nic nie będzie, bo wiedz, że Flora cię nie zastoni a musisz do mnie przyjechać, abym ci to zaspane serce rozbudziła.

Zwraca się do popa, z którym rozmawiałem, i pieszczotliwie odzywa się do niego:

— Nieprawda, batiuszka, że moja nauka nie zaszkodzi mu?

Pop na to seryo:

— No, tak! Przecież naszym posłannictwem jest ludy pouczać i nasze ideały w ich dusze wpajać, a kto się do tej pracy przykłada, ma zasługę przed Bogiem i carem. Dobrze robisz, Saszeńka, że Kornieli Antonowicza chcesz na dostojnego kawalera przerobić, a przy pięknem liczku i mądrej głowce składnie ci to pójdzie.

— Et, co mi z tego, że mnie batuszka chwali, a on mi tego nie mówi, ten, ten nieznośny!... — i całusem zemściła się na mnie.

Ucieszyłem się, gdy ktoś Saszę zabrał do tańca, bo nie wiedziałem już, jak się tej natrętnej dziewczyny pozbyć, a spostrzegła moją niechęć i znudzenie, bo robiła mi wymówki, że jej uczucia nie podzielam. A gdy inne żadne również zabawienia się na jej sposób nie dawały mi spokoju — to już tem znudzony, usunąłem się w najdalszy kącik, skąd mogłem obserwować tak przez popa zachwalane »doborowe towarzystwo a i чудiesne damy«. Ależ w czasie tej zabawy batuszka Pantalej puścił zupełnie wodze swej skłonności do płci pięknej a podniecony trunkami nie krępował się i objawiał to doraźnie; za to Marya Fiodorówna z zazdrości aż pożółkła.

Z tego kącika zastanawiałem się nad zwyczajem całowania tego i sadowienia się na kolanach. Pierwsze tłumaczyłem sobie, że pewnie uświęcone religią, gdy po zmartwychwstaniu Chrystusa pozdrawiają się słowem »Chrystus woskres« i w tej radości całują się — a później spopularyzowało się i weszło w życie narodu, że w chwilach radosnych i poza rezurekcyą ten zwyczaj stał się tak zwykłym i niewinnym jak naprzykład uścisk dłoni. Jednak skąd zwyczaj robienia sobie z czyichś kolan siedzenia? Tego nie mogłem źródła dociec — chybaby uważać to można za pomost do karesów.

Także zadawałem sobie pytanie, skąd u nieznanym mi i nieznanym mnie osób względów i poważania doznałem a u dziewcząt takiego powodzenia i serdeczności.

To się później wyjaśniło, bo figlarny gospodarz domu puścił w kurs, że jestem bardzo bogaty — a ten figiel sprawił, że mogłem się i do serca niejednej dostać, bo takiego chętnie łapie się. Ogólne tam było mniemanie, że Polacy są przeważnie zamożni.

Nad ranem robi się coraz większy zgiełk i zamieszanie. Jedni podchmieleni — drudzy dobrze pijani; krzyki,

śpiewy, śmiechy — miesza się to razem w ogłuszającą wrzawę. Muzyka fałszywie niby polkę rzempoli; na to tempo jedni tańczą polkę a drudzy wycinają kozaczka.

Tam kilku zachrypniętym głosem śpiewa; ówdzie grają w karty; hazard rozpromienił im lica. Jeden już zupełnie zgrany wstał od stołu, pobladł, wargi nerwowo się trzęsą i wymawiają:

— Rozbojniki! a to mnie obrabowali do ostatniej kopyjki — mat' waszu sukinsyny!...

Jakiś pop pijany zwałił się na kanapę i chrapie; obok niego drugi, dobrze alkoholem rozmarzony, kiwając się nad nim, moralizuje go i mruklawie pod nosem bełkocze:

— Fe! batiuszka, luboczka, toście urnęli! coby na to w konsistore? Wygawor użasny wam, wy-ga-wor, lubocz-ka... — i nie dokończył. Głowa ciężka zsunęła się i spoczął na chrapiącym — i teraz już dwóch chrapie!

Grupa kobiet podnieconych trzepie zawzięcie językami; ich energiczna gestykulacja wskazuje na spór czy kłótnię. Dziewczęta w wianku zebrane chichoczą — nie wiedzieć — czy na ucho zwierzają się, czy kogo obmawiają? Z dalszego pokoju dolatują wrzaski kłótni, a odgłos chluśnięcia dłonią po czemś miękkim daje wrażenie, że jeden drugiemu dał policzek i tem na miejscu załatwił sprawę. I taki był przebieg biesiady tej — a koniec: to smutny, to śmieszny — jak komu.

Z wszystkiego, co widziałem i słyszałem, powstał zamęt w mej głowie, że nie mogłem zdać sobie sprawy z tego, czego byłem świadkiem.

Wychowany byłem w rygorze i zapatrywaniach odmiennych na życie towarzyskie, uczono mnie skromności, poszanowania drugich, przyzwoitego zachowania się i innych zalet, podnoszących wartość człowieka — a tu dostałem się naraz w towarzystwo z innemi zapatrywaniem i obyczajami. Inna ich tam etyka sprawiała, że te cnoty były wyśmiewane, gdy zupełna swoboda w mowie i czy-

nach znamionowały postęp w wyemancypowaniu się z krępujących form konwenansów i etykiety.

Bywałem jeszcze na innych podobnych zabawach, jednak opisywać ich nie będę, gdyż były podobne do wyżej przytoczonej. A i tę podaję w tym celu, aby dać obraz, jak się tam ludzie z mianem nadanem sobie »inteligentnych« zachowują i zabawiają.

I na wsi między ludem tamtejszym zwyczajnie nie wiele odbiegły od wyżej wspomnianych — przecież tak bardzo nie rażą — bo tam nie mają pretensyi do lepszego tonu, a przeto mniej się od nich żąda.

Tam dziewczyna, gdy nie ma kawalera, jest bardzo biedna; jest niejako w pogardzie nie tylko u obcych, ale i u rodziny swojej, a co gorsze nawet i u rodziców swoich. Taka w ten sposób upośledzona, jeśli pozbawioną jest wdzięków lub urody — to jakimś wyszczególnieniem stara się nad inne wybić, aby tylko galanta zdobyć i bądź co bądź nie być odosobnioną. Jednak, gdyby się to jej nie udało — staje się wielce pożałowania godną, bo rodzice jej z tego powodu występują z wyrzutami do niej — bo wiem splendor domu na tem cierpi, bo oni przytem ponoszą część sromu za córkę — i oznajmniają tej, już i tak nieszczęsnej:

— Kiedy ciebie ludzie nie lubią, to widać, że i Pan Bóg nie lubi cię — to i my także nie lubimy.

Stąd powstaje między dziewczętami współzawodnictwo, pociągające za sobą intrygi i zawiść, bo jedna drugiej usiłuje kawalera odbić, aby się nim pochwalić. Przy takich zwyczajach anormalnych zachodzi trudność przestrzegania moralności, gdy dziewczętom zostawiona jest wolna ręka.

W zimie podczas wieczorów długich młodzież schodzi się do jednego domu; tam zabawiają się śpiewem, rozmową i opowiadaniem anegdot — a sadzą się przytem na dowcip. Dziewczęta i kobiety z kądzielą przędą jedne, a inne wyszywają na fartuszkach i koszulach różne wzory, najczęściej własnego pomysłu. Specyalnością jest farbo-

wanie owczej wełny w różne kolory, a sekret ten — o ile go kobieta zatrzymać potrafi — nie wychodzi poza próg domu. Tkają z tego dywany, kilimki, chodniki i inne wyroby, które odznaczają się oryginalnością wzorów i mają przez to pokup, że idą aż do Rosyi.

Dziewczyna celująca w tym kunszcie — choćby ładną nie była — może zyskać adoratora, a po zdjęciu tą drogą anatemy odosobnienia staje się miłą Panu Bogu, ludziom i rodzicom!

Podobnie bywa i z parobkami — i ten musi mieć amantkę, a odosobnienie piętnowanem bywa na równi z dziewczętami — więc taki samotnik stara się pozyskać sobie adonisę, aby odosobnionym nie zostać, a w tej sprawie puszczają się także na intrygi i podstępny. Bywało nieraz, że chłopcy w swych zabiegach o dziewczynę, gdy jeden drugiemu podstępem ją odebrać usiłował, pokłócili się a często i poczubili. Nieraz w te sprawy i władza wchodzić się musiała i o słuszości rozstrzygać.

Znalazłem między Słowakami na Węgrzech uderzające podobieństwo co do stosunków miłosnych w tych sprawach: intryg, podstępów i różnych podobnych jak w Syberyi sposobów w zdobywaniu »lubasa lub lubaski« (kochanka, kochanki). Również w wyrobach kobiecych, choć nie zupełnie takich samych, ale wiele podobieństwa znaleźć można. A dziwna ta analogia, gdy uwzględni się przestrzeń, jaka te miejscowości dzieli.

---

U Kuźniecowa w Irkucku byłem około dwóch lat. W czasie tym on i spółka skonstruowali u rządu dostawę zboża na Amur. Po podpisaniu kontraktu przychodzi Kuźniecowa niezwykle ożywiony i uradowany, że umowa przyszła do skutku i że już ją podpisał i zwierza się, że uważa ją za korzystną.

— Teraz zależy mi tylko na tem, abym znalazł kogoś zaufanego do prowadzenia tego interesu. Otóż przy-

szła mi myśl, że jeśli byście chcieli podjąć się tego przedsięwzięcia, chętnie bym wam powierzył. Plan mój jest, aby zboże zakupywać u Burjatów, bo tam najtaniej dostać można. Mam jednego uczciwego, dobrze mi znanego Burjata, z tym możnaby śmiało między nich pojechać, bo choć Burjaci dla obcych są niebezpieczni, jednak gdy kto pod opiekę jednemu z nich odda się, może być zupełnie spokojnym, iż nic mu się złego nie stanie a nawet najmniejsza nieprzyjemność nie spotka. Punkt najlepszy do tej operacji uważam wieś Tugutuję, leżącą na pograniczu zasiedlenia burjackiego i rosyjskiego. Mam nadzieję, że sklep założony tam podobnie jak ma Leszczyński, odpowiedziałby moim planom, gdyż byłby w najbliższym oddaleniu od Burjatów i jedynym w tej stronie, a również na skład zboża nadaje się, bo stamtąd do Burjatów niedaleko. Jeśli zgadzacie się na prowadzenie jednego i drugiego interesu, deklaram się dać wam od czystego zysku, jaki na mnie z interesu zbożowego przypadnie 15<sup>0</sup>/<sub>0</sub>; przytem poborów, jakie teraz macie, nie cofam, oraz całe utrzymanie na mój rachunek. Trzeba będzie, abyście jednego ze swoich do pomocy w sklepie wyszukali a także parobka — a obu także płacić będę. Uważam, że na pokrycie tych wydatków dochód ze sklepu wystarczy.

Odzywam się:

— Jak sądzicie, Ilia Stepanowiczu, ile z interesu zbożowego przy 15 procentach przez was deklarowanych, dla mnie przyspaść może?

— Mam nadzieję — odpowiada Kuźniecowa — że nie mniej pewnie jak 1500 rubli, a gdy dobrze pójdzie, to i więcej.

Uśmiechały mi się widoki na zrobienie choćby skromnej fortunki, a że przytem nic nie traciłem ani ryzykowałem, więc chętnie na tę propozycję zgodziłem się. Kuźniecowa na moje miejsce wziął jednego z naszych, Werychę — a ja do Tugutui Kompita. I tak interes ten załatwiony został.

Zaraz udałem się do Tugutui, obranej wsi przez Kuźniecowa. Tam nająłem dom na mieszkanie i sklep oraz lokal na skład zboża.

Kuźniecowa kupił dla mnie doskonałego konia z uprzężą i nieodzownymi do niej dzwonekami i wraz z telegą cały ten zaprząg przysłał.

---

## IX.

Burjat »družok«. — Jadę z nim między Burjatów. — Ułus. — Jurta. — Zajechaliśmy do starszyny ulusu. — Burjaci, ich rasa, ubiór i zatrudnienie. — Myśliwi, broń i polowania. — Polowanie na niedźwiedzia z nożem. — Chłopiec burjacki demonstruje takie polowanie. — Herbata burjacka. — Napędzam Burjaciątka. — Nocleg w jurcie. — Niepożądana nocna wizyta. — Družka objaśnienie o gościnności burjackiej. — Solidarność Burjatów między sobą. — Obdarowuję domowników i dla mnie podarunek. — Ugoda ze starszyną o zboże. — Drugi nocleg. — Trzeci nocleg u gołowy ulusów. — Przyjęcie tam, rozmowa i ugoda z nim w interesie zbożowym. — Powrót do domu. — Zdanie sprawozdania Kuźniecowskiemu z tej wycieczki. — Dalsze projekta. — Zamiana towarów na zboże i korzyść z tego. — Mowa burjacka, religia. — Szaman. — Obrządek szamański. — Wyrocznia. — Barbarzyński obrządek oburza mnie. — Niemowlęta burjackie. — Staranie o nie ich matek. — Związki małżeńskie. — Piękności burjackie.

Wkrótce zjawił się w Tugutui u mnie Burjat z listem od Kuźniecowa. Miałem z nim pierwszy raz po ulusach wyjechać dla wywiedzenia się, gdzie i jaką ilość zboża można zakupić. Mój Burjat, którego nazwałem »družok« (towarzysz), mówił słabo po rosyjsku a w braku słów w tym języku zastępował je burjackimi, czego ja znów nie rozumiałem — jednak w konieczności porozumieć się musieliśmy. Przed wyruszeniem w tę podróż wywiadowczą wskazał mi, co mogę dla siebie między Burjatami dostać a w resztę z domu zaopatrzyć się — jak i co dla Burjatów na podarunki zabrać, bo tam zwyczaj nie po-

zwala za gościnność płacić, więc musi się podarunkami zrewanżować. Zatem nabrałem cukru, tytoniu w paczkach, papierosów, cukierków, kilka flaszek wódki, trochę błyskotek różnych, wstążek, paciorków — i tak zaopatrzony wyjechałem.

Pod wieczór stanęliśmy w pierwszym ułusie (rodzaj wsi), składającym się może z trzydziestu jurt (budynek mieszkalny), bezładnie rozrzuconych na dość dużym obszarze i zatrzymaliśmy się przed jedną większą. Na odgłos dzwonek wyszło z jurty kilka osób; z jedną z nich zaczął mój drużek rozmawiać. Był to gospodarz tej jurty i starszyna tego ulusu. Z rozmowy między nimi domyśliłem się, że drużek mój objaśnia go, czego przyjechaliśmy. Gospodarz wskazał nam szopę, pod którą do słupa przywiązaliśmy konia.

W Syberii po wyłożeniu konia z zaprzęgu przywiązuje się go do słupa, gdzie tak kilka godzin ma stać i nie dostanie ani jeść ani pić a czasem i pół doby tak uwiązany przestoi. Zwyczaj ten jest wypraktykowany; przy postępowaniu takim koń ochwatu ani kolki nie dostanie, co nastąpiłoby zwłaszcza po forsownej jeździe, gdyby zaraz napoić go i dać jeść; a im więcej spędzony przyjdzie z drogi — tem dłużej upięty pozostaje.

Jurta zewnątrz przedstawiała stożek, z wierzchu którego był otwór dla ujścia dymu. Od dołu aż do góry nakryta tarcicami, a te wyłożone szczelnie do siebie przystającymi darniami, co chronić miało od zimna i od deszczu.

Po załatwieniu się z koniem weszliśmy do środka jurty. Wnętrze jej zbudowane z drzewa (płatew) pochyło ku środkowi ustawionych a w szczycie spartych na wiązaniu, nad którym był otwór dla dymu. W połowie wysokości jurty przy ścianie są rozpory dla wzmocnienia budynku, na tych wsparty końcami drąg, a obok porozwieszane skóry różne, co tam schną; od środka drąga wisiał łańcuch, do którego kociołek przymocowany a pod nim na ziemi ognisko. Ta jurta dość duża, kilka sążni średnicy i dosyć odpowiednio wysoka. Jedne tylko drzwi,

obite wewnątrz i zewnątrz niewyprawioną skórą bydłą; zaś jedno małe okienko i wylot w górze słabo tę jurty oświetlały. U biedniejszych jurty mniej starannie stawiane, jakkolwiek sklecone, byleby był dach nad głową a w zimie ciepło.

Gdy wszedłem do środka jurty, dziwnie mnie nieprzyjemna woń zmieszana z dymem z ogniska uderzyła. Mieszkańcami tej jurty, prócz gospodarza, dwóch parobczaków, dwie kobiety — nie wiem czy jedna czy obie żony gospodarza; dalej wiekowa kobieta, wymarzone straszdyło; dorastająca dziewczyna i kilkoro dzieci; z tych najmłodsze nie wiedzieć co to jest — czy człowiek, czy małpiątko czy dyabłątko — całe nagie a takie strasznie brudne, cuchnące, że strach zbierał!

Burjaci są cery śniadożółtej; czoło niskie, oczy małe, czarne, skośnie osadzone; nos szeroki jakby zapadnięty, usta grube, kości policzkowe wydatne, twarz szeroka. Wyraz twarzy napozór łagodny, nieśmiały, jakby zastraszone; jednak pewien odcień zdradza w niej, że ufać im nie można. Są skryci, chciwi, podejrzliwi, nieufający.

Starsi byli w koszulach czerwonych, tak brudnych, że koloru tego tylko domyślać się było można — a reszta ubrania ze skór. Burjatki nie znają spodnicy a ubierają się jak mężczyźni; dzieci zaś w kaftanach ze skór lub całkiem nago. Nogi przyodziane w »unty« — rodzaj miękkich butów a raczej berlaczy z owczej skóry wełną do środka; podeszwa miękka podwójna bez obcasów. Strój kobiet niewiele się różni od męskiego, główną różnicę stanowi ich fryzura. Włosy posplatane w warkoczyki, oryginalnie poukładane na głowie — a pod tymi warkoczykami przeprowadzona tasiemka, na końcach której poprzyczepiane różne świecefka i monety — i ta ozdoba zastępowała kolczyki. Okryciem głowy w zimie mężczyzn i kobiet futrzana czapka, najczęściej sukнем kryta, ozdobiona lamówką z futerka. W takim stroju trudno nieraz odróżnić mężczyznę od kobiety, zwłaszcza, że pierwsi mają

słaby zarost — a zdala chyba po budowie ciała dadzą się odróżnić.

W podróz ubierają się w zimie w kożuch barani z włosom obfitym — a na kożuch wkładają szeroką szubę ze sarniej skóry na wierzch włosom. Tę szubę nazywają »dachą«. Pantalony takie jak kożuch. Gdy do tego ubrania przyjdą na unty berlacze futrzane, sięgające wyżej kolan i ciepła czapka futrzana zakrywająca głowę, szyję, policzki i brodę — to niema obawy, aby tak okryty mógł zmarznąć.

Taką samą dachę noszą i Moskale a i my się w nią zaopatrywali. Zdaje się, że tę szubę, jako praktyczną — bo przy doskonałem chronieniu od zimna jest przytem lekką, i inni mieszkańcy krajów północnych przyjęli — a ostatnimi czasy moda ta i do nas dostała się.

W lecie mężczyźni i kobiety mają inne ubranie. Składa się ono z krótkiego kaftana, spodni i czapki bez daszka — wszystko domowej roboty; wyjątkowo napotyka się i kapelusze, kupione w mieście. Ubranie to z wyprawionej bez włosa skóry sarniej, owczej, cielęcej lub źrebięcej. Burjaci posiadają sekret znakomitego wyprawiania skór tak, że jest miękką jak aksamit i na deszczu nie twardnieje. Trzeba im przyznać, że w tym kunszcie celują i w kąć Moskali zapędzili. I to pewnie znacznie wpłynęło na to, iż nie czuli potrzeby bielizny i niechętnie ją nawet nosili, jako konserwatyści w swych zasadach. Całe więc ubranie letnie, tylko z trzech kawałków składające się, było bardzo praktyczne — a skromniej i dogodniej czy można być ubranym? Jednak już wówczas (50 lat temu) wpływ moskiewski kładł swój znak, bo Burjaci zaczęli sprzeniewierzać się swym tradycjom, a bliżej Irkucka zamieszkali przyjmowali powoli moskiewskie zwyczaje i nosili już kacapskie czerwone koszule i części ubrań. A także w urządzeniach domowych ten wpływ spstrzegać się dawał.

Z tego wnioskuje, jaka do dziś dnia po upływie pół wieku zająć mogła różnica i ich zwyczaje zmienić. Dziś

może nie poznałbym tych Burjatów z ich obyczajami i szamanami.

Burjaci trudnili się rolnictwem, chowem koni, bydła i owiec a także myśliwstwem. Bogaci mają po kilkadziesiąt koni, bydła i duże stada owiec. Ci, co trudnią się myśliwstwem, są znakomitymi strzelcami, a strzelają tylko z gwin-tówek, małego kalibru kul. Nie lubieli kapsłówek a woleli skałkówki. Nawet po nabyciu nowszego systemu strzelby zaraz ją na skałkówkę przerabiali. Strzelają tylko do sto-jącej zwierzyny i to z podpórki. W tym celu przy końcu osady przytwierdzają do strzelby ruchome na śrubce pręty, zwieszające się po obu stronach lufy, tak, aby tworzyły widełka. Gdy zoczą zwierza stojącego na odległość strzału, jednym wyrzutem strzelby te pręty rozkładają się i two-rzą podporę, a strzał jest tak pewny, że mało kiedy chybi. Do polowania na sarny posługują się świstawkami. Gdy sarna w biegu sunie, a jest na odległość strzału, natenczas Burjat świśnie, a sarna posłyszawszy ten głos, chcąc się zorientować, jaki to i skąd ją doleciał — na małą chwilkę zatrzyma się, a ta chwilka wystarczy mu do złożenia się i strzału, który, jak powiedziałem, rzadko kiedy zawiedzie.

Widziałem w Irkucku na składzie futer skóry sobole, wiewiórcze i inne ze znakiem od kuli tylko na głowie. Jest bowiem staraniem myśliwego, aby w głowę trafić, bo taka skórka nieprzewidywana drożej się płaci. Taki my-śliwy z zawodu, gdy jego zajęciem codziennem tylko po-lowanie — nabiera nadzwyczajnej wprawy w strzelaniu.

Nieraz słyszałem w Syberyi, że chłopcy podrostki wybierają się na niedźwiedzia tylko z nożem. Te opowie-ści myśliwi, którzy się z niedźwiedziem sprawiali, kładą między bajki — i ja uważałem za legendę wysnutą z fan-tazji, pomimo zapewnień o prawdziwości tej wielu poważnych osób w Syberyi. Jednak sposobność, jaka mi się nadarzyła, zachwiała mnie w pewności, po której stronie prawda. Mój druzok opowiadał mi w drodze również o takim po-lowaniu, z czego się śmiałem i kpiłem.

Gdy raz zajechaliśmy do jednej jurty, wskazuje mi

chłopca, że ten już kilka niedźwiedzi nożem położył. Ciekawość wielka zdjęła mnie, jak on takie polowanie urządza, a że sam z nim porozumieć się nie mogłem, biore przeto družka za pośrednika, aby powiedział temu chłopcu, żeby mi choć na migi pokazał, jak on takie polowanie sprawia, za co dostanie tytoniu i cukierków.

Był to zwinny, dobrze zbudowany, kilkunastoletni chłopak. Gdy mu družek powiedział, co od niego żądam, z uśmiechem i radością widoczną, że może pochwalić się swoimi czynami — chętnie się zgadza. Wyniósł zatem trójnog, podobny jak geometrzy do pomiarów używają, tylko niższy i silniejszej konstrukcyi, złożył go i wziął pod ramię. To miało oznaczać, że wybiera się na polowanie na niedźwiedzia. Pokazał mi nóż z rączką rogową silnie okuty; ostrze noża szpicem wygięte nieco w górę a ostre jak brzytwa.

Zaczyna się popis. Chodzi po jurcie z natężonym wzrokiem i niespokojny, jakby wyszukiwał niedźwiedzia, on go bowiem w lesie podobnie wypatruje. Tak chodzi chwilę... Nagle stanął i patrzy pilnie z zaciekawieniem w jedno miejsce. Co to?! Musiał spostrzedz niedźwiedzia, gdyż ruchy niecierpliwe zdradzają to a także radość na twarzy. Wszak to niedźwiedź! on go długo już szuka — i znalazł nareszcie! To spostrzeżenie wstrząsło nim całym, gdyż pewno przyjdzie walka między oboma o życie — to pojedynek na śmierć! Wie, że to nie żarty... a jednak pragnie tego pojedyunku, bo podchodzi do niedźwiedzia i wzywa go na tę walkę. Tak jest przejęty swoją rolą, że wszystkie wrażenia znaczą się na twarzy i jak w kalejdoskopie po niej przesuwiają się. Zaczem czerwoną chustką zaczyna niedźwiedziowi machać w oczy a zarazem bada teren walki: tu przezorność musi być nadzwyczajna — jeden ruch fałszywy a może życiem przypłacić.

Widocznie dopiął celu, bo niedźwiedź rozdrażniony wspiął się na tylnych łapach — zatem pojedynek przyjmuje. Chciałby mi bez słów dać poznać w tej chwili groźnej, jak niedźwiedź wyglądał. Więc twarz swoją kurczowo wy-

krzywił, zęby jak pies pokazał — wyprężył się, rękę do góry podniósł i dłoń z palcami w dół rozczapierzonymi zakrzywia, jak krogulec łapę, gdy ma zdobycz chwycić. Tak pewno chciał swego przeciwnika kłami i pazurami dostać a natenczas zmiażdżyć i rozszarpać go!

Już cofnąć się ani wypada ani może... więc rzuca niedźwiedziowi chustkę jak rękawicę i jest gotów na wszystko!... Chytrość w każdej przygodzie zda się — zatem przyczaja się, jakby kapitulował — i raptem w jednym mgnieniu oka trójnog jest rozłożony — a on pod nim a niedźwiedź nad trójnogiem i nad nim. W mig chwytą z pochwy nóż. Robi nim cięcie szybkie jak błyskawica, rozpruwa niedźwiedziowi brzuch aż wnętrzności wysypały się — i jak błyskawica zręcznym skokiem znalazł się w drugim końcu jurty. Odskoczył daleko, bo niedźwiedź w śmiertelnych zapasach mógłby go chwycić jeszcze. W dodatku, aby przedstawić, że niedźwiedź pokonany i walczy ze śmiercią — sam runął na ziemię i tę ostatnią chwilę niedźwiedzia ilustrował w straszny sposób, udając tegoż konanie: trzepotał kurczowo wszystkimi członkami, i prężył się i charczał, aż ostatnie tchnienie wydał. Tak to polowanie sprawnie i obrazowo przedstawił, że miałem uczucie, jakobym był widzem naocznym prawdziwego takiego polowania.

Podczas tego przedstawienia była w jurcie cała rodzina tego chłopca — wszyscy z żywym zajęciem śledzili ruchy jego i przyglądali się tej scenie. Szczególną uwagę zwrócił na siebie stojący przy mnie 11—12-letni chłopak, zapatrzony w swego brata i z nim całym swem jestestwem złączony. Oczy iskrzyły mu się — lica rozpromienione — z oddechem zapartym badał poruszenia brata. Jak młodzię nasza wrażliwa przejmując się czynami bohaterskimi przodków i marzy, by wstąpić w ich ślady — tak ten chłopiec stał rozmarzony i podniecony myślą o przyszłych może trofeach swoich, jakie brat jego już święcił. Mówił mi mój towarzysz, że takie puszczenie się tylko z nożem na niedźwiedzia nie zawsze się udaje i wielu już śmiercią

tę śmiałość przypłaciło, co jednak innych nie odstrasza, tak są zapaleni i żądni sławy płynącej z pogromu niedźwiedzi.

---

Byliśmy na niezwykłym polowaniu, teraz zapraszam cierpliwego czytelnika do jurty, gdzie zajechałem.

Po naszym przybyciu zaczęli się Burjaci z całego ulusu schodzić z ciekawości, kto i poco przyjechał? Mnie szczególnie obserwowali a nieetykietalnie w oczy zaglądali. Niektórzy z przybyłych trochę po rosyjsku mówili, ale tak niewyraźnie, iż trudno było nam porozumieć się; wówczas mój drużek pośredniczył. Wszyscy mieli maleńkie fajeczki na krótkim cybuszku a kurzyli prosty liściowy tytoń, który za pomocą śliny skręcali w dłoni w małą kuleczkę i tę do fajki wkładali. Gdy na to węgiel rozżarzony położyli, to aż skwirczało, nim się tytoń rozlitł. Ten tytoń nazwany »machorka«, plantowany w Syberyi, jest tak mocny, że co chwila pobudza do plucia, więc ślina im aż po brodzie ściekała. Dym z tego tytoniu nieznośny, a zmieszany z fetorem w jurcie i wonią od Burjatów, wytwarzał tak duszącą i przykrą atmosferę, że nie mogąc znieść tego, wychodziłem często, aby świeżem powietrzem odetchnąć, a czyniłem to pod pozorem popatrzenia do konia.

Mój towarzysz objaśnił przybyszów, w jakim celu przyjechaliśmy, wówczas cisza zapanowała i tylko pykanie z fajek słychać było. Po żywych gestach drużka widać było, jak im przedkładał tak świetny dla nich interes. Niektórzy potakiwali głową, gdy inni kręcili na znak niedowierzania.

W tym czasie jedna z Burjatek, zapewne gospodyni, wzięła spory kawałek łoju, pokrajała w kawałki i wrzuciła do kociołka, zawieszono go nad ogniskiem; gdy ten łój stopił się, wyspała kilka garści mąki i zaczęła kopystką mieszać aż się przyrumieniło; na to wlała miskę śmietany

a pozostałość w misce zgarnęła brudnym, nigdy nie mytym palcem — to razem wszystko wymieszała i naląła wody. Gdy to zakipiało, nastrugała sporą garść herbaty cegiełkowej i wsypała do kociołka, który po żerdzi dalej odsunęła, aby herbata naciągnęła. Przy ognisku opodal stał stół, na którym kilka naczyń glinianych i stos drewnianych miseczek, polakierowanych na czerwono. Te miseczki dość zgrabne, wyrobu chińskiego, tak trwałe, że nie pękają i lakier nie łuszczy się. Gospodyni porozdawała je wszystkim, nie wyłączając mnie; wówczas wszyscy podchodzili z niemi i każdemu warzechą nalewała tej herbaty, jeśli to miano dać jej można.

Na mnie kiwa, abym także podszedł po ten nektar! Co począć? Robię ruch rękoma, że nie chcę, a na to spostrzegam oburzenie gospodyni — bo czyż godzi się gardzić, gdy ona tak to smacznie i apetycznie przyrządziła?! Więc obraza! Jak z tego wybrnąć? Biorę się jednak na sposób i mówię memu družkowi, że teraz u nas post, nie wolno żadnej tłustości jeść, bo Pan Bóg mógłby skarać za złamanie postu. Przy tej ekskuzie podniosłem rękę do góry a drugą na piersiach złożyłem. Mój towarzysz i ci, co po rosyjsku rozumieli, wytłómaczyli mnie i w ten sposób uwolniłem się od tego specyału.

Zaopatrzony na drogę w wiktuały i herbatę, gdy miałem swój kociołek, przystawiłem go do ognia i zaparzyłem swoją herbatę. Obrzydliwe Burjaciątka, gdy otworzyłem torbę, pchały się — a że bestyjstwo strasznie śmierdziało, coprędzej dałem po kawałku cukru; a nie mając innego sposobu dać im poznać, aby szły sobie do dyabła — zrobiłem minę nasrożonego kota — i sykaniem i fukaniem odpędziłem, co dobrze sprawiło, bo poszły sobie tam, gdzie wysyłałem.

W trakcie, gdy gospodyni swych gości tak smacznią herbatką raczyła, gospodarz przyniósł kawał mięsa surowego i położył na stole, a wtedy, kto chciał, odkroił sobie kawałek, siadł na swoim miejscu i biorąc w zęby przy ustach swoim nożem odkrawywał. Każdy Burjat nosi przy

sobie nóż przy pasie lub za cholewą; z fajką i nożem nigdy się nie rozłącza. Zdawało mi się, że usta sobie pokraja, lecz to nigdy nie przytrafia się. Niektórzy wybredniejsi przypiekali sobie mięso na węglach i przy jedzeniu ciamkając popijali herbatą. Przy herbacie całe towarzystwo ożywiło się, nabrali humoru, zapewne coś śmiesznego opowiadali, bo śmiali się do rozpuku; gdy przyszło coś poważniejszego, można było poznać po nastroju ich twarzy.

Widzę, że mój towarzysz zabiera głos — i jak było można zauważyć — o mnie mówił. Pewnie powtarzał to, co odemnie słyszał w drodze, gdy mu opowiadałem, za co na Sybir zesłany zostałem, a mianowicie o wszystkich krzywdach od Moskali doznanych; o mordach, w których nie wyłączały kobiet i dzieci; o więzieniach, torturach, mąsowych wieszaniach, rabowaniu naszego dobytku i t. p. gnębieniu nas — czem doprowadzili do tego, żeśmy w obronie swojej za broń chwycili, a mnie w walce tej do niewoli wzięli i aż tu zesłali. Że o mnie mówił, wnioskowałem z tego, że w czasie opowiadania oczy ich na mnie zwracały się i na niejednej twarzy oburzenie widać było. Kto wie, może na myśl, że i oni zapewne niejedną krzywdę od tych samych wrogów doznali.

Szczęśliw czułem się, gdy zaczęli rozchodzić się, bo powietrze w jurcie z każdą chwilą coraz cięższe stawało się i zadusić mogło.

Byliśmy zmęczeni podróżą a ja w dodatku z fetoru i zaduchu w jurcie jakby zaczadzony, przez co miałem szum w uszach, a głowa stała się tak ciężką, że pragnąłem jaknajprędzej do spoczynku ułożyć się.

Po rozejściu się gości mój druhak przyniósł trochę siana i na przyzbie pod ścianą pościelił dla mnie i dla siebie. Ta przyzba przy ścianie usypana z ziemi, oszalowaniem od wnętrza jurty wzmocniona, przedstawiała długą improwizowaną kanapę do siedzenia i spania. Miałem koc z sobą, którego jedną połowę nakryłem siano, a druga połowa służyć mi miała do przykrycia się. Choć Burjaci rozeszli się, jednak fetor i zaduch dławił. Do podo-

bnego powietrza po etapach przywykłem i mój nos wytrenowany został na działanie wszelkich zapachów, przeto mogłem i ten łatwiej znieść — a przytem przysłowie, że »niema tego złego, coby na dobre nie wyszło«, utwierdziło mnie o jego racyi, gdyż praktyka po etapach teraz bez korzyści nie pozostała.

Ułożyliśmy się do spania — ja obok družka a dalej na tej przyźbie domownicy porozścielali dla siebie skóry na legowiska do spania — rozebrali się do naga i ponakrywali futrami. Ledwo jednak zasnąłem, uczuвам, że ktoś się mej nogi dotyka. Otwieram oczy, a choć ciemno, dostrzegam, jakby zarysowała się postać jakiegoś strasydła w ewowym stroju — i stoi nademną... a od tej postaci bije specyjalna burjacka woń. Przychodzi mi myśl: bodaj czy nie znajdę się w kolizyi wejścia w znajomość z osławioną gościnnością tamtejszych mieszkańców, o czem już tyle słyssałem. A niech licho porwie — a tom wlaż w kabałę! bo może ten gość niepożądany złożyć mi chce wizytę? Byłoby coś strasznego znaleźć się w sytuacji bawienia go! Na to przypuszczenie włosy na głowie stają mi dębem — ciarki po ciele przechodzą! Co począć? jak z tego zamachu na mój spokój uwolnić się? Nie wypada »gwałtu« wołać — bo niebezpiecznie. Myślę zatem sobie: może byłoby lepiej zgrabnie spolitykować? Wszak przed chwilą udało mi się załatwić politycznie z Burjaciątkami, przybrawszy postać nasrożonego kota — a nuż, gdybym teraz udał rozsierzonego psa, to może strasydło zechce to zrozumieć i ustąpi się — i o ile zdolny byłem na to, po psiemu zawarczałem... a równocześnie wrywam nogę moją z objęć ręki, która, jak uczułem, trzymała mnie — głowę pod koc chowam, a znacząc twarde sen — zaczynam chrapać... Wysiłek mój na udanie głosu złośliwego psa został bez skutku, bo widmo ani myśli ustąpić i znów rękę na mej nodze kładzie — nachyla się i tajemniczym szeptem szmermeli mi nad uchem, a ton tego szeptu do myślać się każe, jakoby z ust niewieścich pochodził.

Udaję, że tego ani słyszę ani czuję — i dalej chrapię. Widmo zapewne nie zna się na delikatności, że — ot, tak dla kaprysu komuś słodkiego snu nie przeżywa się, jak ono — już złe widocznie — to czyni, skoro nie na żarty mą nogą wstrząsa — ba! jeszcze przytem gniewliwie pomrukuje, a ten pomruk to nie ma żartobliwego tonu! Myślę sobie: ty gniewem mnie nie zmożesz ani szeptem rozczulisz — a choćbyś tu stało i do rana — choćby cię apopleksya tknęła, ja ci się nie ruszę! masz wiedzieć o tem, że skamieniałem — śpię i basta! To skamienienie moje musiała zhora dobrze zrozumieć, gdy jeszcze złośliwiej szarpnęła mnie — i na szczęście znikła — a za nią i jej woń. Pozbywszy się jednego i drugiego, mogłem już spokojnie zasnąć.

Zbudziwszy się rano, trudno mi przychodzi jasno zdać sobie sprawę z tej nocnej przygody, czy był to sen czy rzeczywistość? Dopiero, gdy drużkowi z tych wrażeń zwierzyłem się, ten mnie objaśnia i mówi:

— Ej, nie sen to... ale na jawie było. Cieszcie się z tego, gdyż to dla was cześć! Bo trzeba wam wiedzieć, że tradycyjna gościnność nakazuje Burjatom gościa swego, którego respektują, z rewerencyą i szczerze przyjąć, a to polega na takich odwiedzinach — i ten honor powinien go uradować, iż tak zacnie ugoszczonym zostaje.

Atoli nasze pojęcia o tej gościnności nie mogą bardzo pogodzić się z przyjętym zwyczajem u Burjatów, bo to ugaszczanie nieraz krzywdzającym wydać się może. Dla gościa zwłaszcza na wyższym stanowisku może być przykrością nie lada, ponieważ jest u Burjatów w ich pojęciu o etykietce zasadą, że honoracyores ma odwiedzać osobą najstarszą wiekiem; mającego nieco mniejsze znaczenie — młodszą; a słudze już najmłodsza te honory sprawuje. W takich okolicznościach z uwagi na gościa czynione zaszczyty porównańby można z winem: im ono starsze, tem lepsze i szacowniejsze; zatem dygnitarz ma dostać starego wina, bo tego wart z tytułu stanowiska swego, a jego służka ma się zadowolnić, gdy

i młodego dostanie. Nie wiadomo jednak, któryby okazał więcej ucieśnienia ze swego wina, podanego według reguły Burjatów.

Dla mnie gdy te zwyczaje okazały się nieponętne, oznajmiłem drużkowi, że rezygnuję raz na zawsze z honorowania takiego, zatem niech się stara, abym na noclegach był wolny od tych szaszcytów, bo ich nie przyjmę. Zapowiedź ta sprawiła, że już nigdzie w ten sposób nagabywany nie byłem.

Burjaci między sobą tradycyi gościnności ściśle przestrzegają i wszyscy w jednym ułusie za jedną rodzinę uważają się; zatem schodzą się często, gwarzą, zabawiają się i goszczą po swojemu. Między sobą są bardzo solidarni, a nie było wypadku, aby jeden drugiego przed Moskałem zdradził, choćby ten nie wiedzieć jaką krzywdę mu wyrządził lub zbrodnię popełnił. Wszelkie sprawy w domu załatwiają i do tych Moskali nie przypuszczają. Są nadzwyczaj skryci i niechętnie ze swoich zwyczajów i tradycyj przed obcymi zwierzają się, przeto trudno ich duchowe życie poznać, a tyle tylko dowiedzieć się można, co się da podpatrzeć.

Po przenocowaniu ruszamy dalej do innych ułusów. Chciałem za nocleg gospodarzowi zapłacić, na co mój towarzysz zrobił uwagę, że za gościnność niema zwyczaju u nich płacić, bo mógłby się gospodarz obrazić, gdyż to znaczyłoby, że z jego gościnności nie jesteśmy radzi — skoro płacić chcemy. Obdarowałem przeto gospodarza tytoniem paczkowym i wódką, a resztę różnemi świecidełkami i cukrem. W zamian za moje upominki gospodyni uraczyła mnie kawałkiem mięsa, które z pod gołego zanadrza wyjęła, a widocznie z tem się dość długo nosiła, gdyż mięso było ciepłe. Na taki upominek nie byłem przygotowany a z obrzydzenia bałem się wziąć do ręki. Jednak musiałem się przemódz z obawy narażenia się na jaką przykrość i zaraz do telegi rzuciłem. Gdy zapytałem się mego drużka, dlaczego w ten sposób na podarki mięso bajcują, to coś niewyraźnie napłół i z tego mądry nie

byłem; urobiłem więc sobie domysł, że zapewne w ten sposób chciała mi dać dowód niezwyklej przyjaźni czy względów, aby to mięso nasiąknięte wonią jej ciała lepiej mi smakowało i przez to pamięć o niej dłużej u mnie trwała.

Nie mogłem rano w żaden sposób poznać, która z Burjatek rolę straszdyła w nocy odgrywała, bo wszystkich zachowanie się było jednakowe.

W sprawie interesu zbożowego oznajmiłem starszynie, u którego nocowałem, aby starał się wywiedzieć w swoim ułusie, ile zboża możnaby zakupić; ma być suche i w dobrym gatunku a za takie podałem cenę z dostawą do Tugutui. Za trud i pośrednictwo oraz gwarancję jakości zboża i dostawy jego, obiecałem dobre wynagrodzenie. Mówię:

— Starajcie się dowiedzieć, ile w tym ułusie będzie zboża do zakupienia; mam to dokładnie wiedzieć, gdy tu drugi raz przybędę do spisania ugody.

Po innych ułusach z każdym starszyną taką umowę zawarłem.

Drugi nocleg wypadł nam już w znacznie oddalonym ułusie od siedzib rosyjskich. Tam, gdzieśmy zajechali, była podobna jurta, podobne zgromadzenie, taka sama herbata i częstowanie mnie nią, również mięso surowe i przypiekane jedli, a fetor w jurcie nie mniejszy. Obdarowałem tak samo gospodarza i domowników, a i dla mnie był również upominek w postaci kawałka mięsa, wyjętego z pod pachy jakiejś starej baby. Oba te kawałki chciałem po drodze wyrzucić — na co mój towarzysz nie pozwolił, twierdząc, że takie podarunki szczęście przynoszą. — Więc weź sobie — rzekłem — czem bardzo się ucieszył, bo już posiadał sam całe szczęście dla mnie przeznaczone i zaraz z radości kawał odkroił i smacznie w drodze zajadał.

Trzeciego już dnia była podróż z powrotem; jechało się inną drogą i przez inne ułusy, gdzie zawierałem po drodze ugody o zboże. Wszystkie ułusy mało się różniły od już poznanych. Trzeci nocleg nad moje spodziewanie

trochę lepsze zrobić wrażenie — zajechaliśmy bowiem do »gołowy« nad tymi wszystkimi ułusami, bardzo bogatego Burjata. Jurta większa i okazalsza od innych; wewnątrz ściany do wysokości metra obite wojłokami, tymi także siedzenia pod ścianą nakryte, co jak wspomniałem wygodne do siedzenia i spania a zastępowało kanapę. Palenisko na środku obmurowane; nad niem kocioł miedziany pobielany. Kilka krzeseł, stół jeden, na którym papiery leżały, a na drugim naczynia kuchenne i samowar. Pod ścianą szafa z półkami, na tych różne naczynia i t. p. sprzęty stanowiły umeblowanie jurty. Na ścianie porozwieszana broń, przeważnie gwintówki i zegar ścienny.

Mieszkańcy tej jurty nosili bieliznę, a choć odziani po burjacku, w porównaniu z innymi Burjatami ubiór ich wydał się wykwinnym. Kobiety w szarawarach, jak to już u nich jest zwyczajem. Starsze dwie kobiety miały na szyi złote duże monety, a na tasiemkach, które zwieszały się niżej ucha, przytwierdzone złote i srebrne monety. Krótki kaftan i szarawary suto wyszyte kolorową wełną w różne oryginalne desenie. Trzecia młodsza od nich, zapewne żona syna, tak samo jak tamte dwie ubrana. Dwoje dziewcząt w podobnym stroju, ale bez złotych ozdób. Chłopiec podrostek najzgrabniej ubrany w lekkim skórzanem ubraniu, jakby w safianowem, wyszywanem w różnokolorowe desenie. Sam gołowa i jego syn już dorosły, w burjackim stroju, jednak zgrabniejszym i porządniejszym jak inni Burjaci noszą — a syn, który do szkół w Irkucku chodził, wyróżniał się tem, że zamiast untów miał buty i na szyi chusteczkę. Ojciec i syn niezłe mówili po moskiewsku; jak kobiety, nie wiem, bo między sobą tylko po burjacku rozmawiały.

Podali samowar — gospodarz spytał się, jaką herbatę pić będę — poprosiłem o liściową. Na prykuskę był cukier biały i lodowaty (żółty); były także bułki i chleb, jednak, gdy przyszło mi na myśl, że może być miszony ręką nigdy nie mytą — jeść a choćby spróbować odwagi nie stało. Mój towarzysz podróży wolał herbatę z kociołka,

w opisany sposób przyrządzoną, którą wszyscy domownicy, prócz mnie, gospodarza i jego starszego syna pili.

Przyszło kilku Burjatów z ułusu i ci zasiedli do tego poczęstunku; a tak wszystkim ta herbata a w dodatku konina (rozumie się surowa) smakowała, że aż językiem mlaskali. Może to należy do dobrego tonu mlaskać i ciamkać przy jedzeniu, zapewne z kurtuazji dla gospodarza, zwłaszcza gdy się jest u takiego dygnitarza! Herbata taka z kociołka a mięso końskie to najlepszy specyał u Burjatów, gdyż inne zwierzęta za mniej delikatne i smaczne uważają.

Gołowa z synem już otarli się o Moskali, gdyż stary przy ubraniu burjackiem miał kamizelkę granatową i był przy zegarku dużym srebrnym i takim łańcuszku grubym, że możnaby na nim psa prowadzić. I wiele innych rzeczy od Moskali przyjęli — a byli komiczni i ogromnie śmieszni w ruchach, w sposobie zachowania form towarzyskich, np. w ukłonach, w podawaniu ręki i t. p., gdy chcieli bardzo kulturalnymi na sposób swych cywilizatorów okazać się.

Przy herbacie przystąpiłem do interesu, w jakim przyjechałem, a o czem już poprzed od drużka dowiedział się — więc mówię, że z ręki Kuźniecowa przyjechałem.

— Ja go znam — przerywa stary — to bogaty kupiec.

— Jeśli go znacie — mówię — to nasz układ składowej pójdzie.

I objaśniłem go o całym interesie, dodając:

— Ten interes będzie i waszym, gdy dopilnujecie i zagwarantujecie ściśle wszystkie ugody, bo za to dobre wynagrodzenie otrzymać możecie.

— To się rozumie — odpowiada — że moja praca i starania powinny być wynagrodzone, gdyż nic daremnie — jak ciągle od naszych czynowników słyszę. A jestem ich pojętym uczniem, więc słusznie żądać mogę, aby moje zabiegi i odpowiedzialność stosownie wynagrodzone zostały. Proszę o warunki.

Więc podałem je. Pamiętam, że długo targowaliśmy się, ale w końcu zgoda nastąpiła.

Gdy dowiedzieli się, że jestem Polak, za sprawy polityczne zesłany — byli ciekawi, co to za »zbrodnia« ta sprawa polityczna? Musiałem ich objaśnić, że to nie żadna zbrodnia, tylko czyn godny uznania i opowiedziałem, jak družkowi, za co zesłano mnie. Bardzo uważnie słuchali mego opowiadania i wypytywali o inne państwa, o których syn w szkole uczył się.

— I temi wszystkimi państwami car rządzi? — pyta się stary.

Wytłumaczyłem mu, że tak nie jest, bo te państwa mają swoich cesarzy lub królów — a nawet są takie, co się same rządzą — a żadne z nich nie podlega władzy cara.

— No, no! czy tylko prawdę mówicie, bo nam inaczej przedstawiają.

I zaczęli coś po burjacku między sobą mówić, a że nakiwali mi dłońmi, miałem to za znak uznania dla mnie, że ich pojęcia o potędze, a tem więcej wpływie cara na cały świat, sprostowałem. My bowiem zawsze staraliśmy się przy każdej sposobności wszczepione pojęcie o potędze Rosyi prostować i aureolę, jaką cara otaczają, do należytego poziomu sprowadzać.

Podczas rozmowy z tymi Burjatami częstowałem ich papierosami a także i kobiety, co chętnie przyjmowały ze wstydliwym uśmiechem, kiwając zabawnie głowami w znak podziękii; wołały jednakowoż swój tytoń w fajeczkach pykać. Burjatki na równi z mężczyznami tytoń kurzą. (Coś podobnego jest u nas między Hucułami). A nawet małym dzieciom fajki podają, aby przyzwyczajały się. Zatem wszyscy od małego do starego hołdują temu nałogowi.

Ten Burjat, gołowa, miał także letnie mieszkanie: dom duży piętrowy, wzorem Moskali postawiony, gdzie w lecie mieszkał; jednak w zimie było mu więcej swojsko w jurcie. Przy letniem mieszkaniu było całe jego gospodarstwo z budynkami na pomieszczenie inwentarza, skła-

dającego się z licznego stada koni, bydła i owiec. Konie i bydło obfitym włosem porośnięte, a owce grubą długą wełną. To wszystko bez względu na taką ostrą zimę trzymane bywa pod szopą a tylko młodsze w chlewach, nie-szczególnie przed zimnem zaopatrzonych; zaś całe obejście wysokiem ogrodzeniem zabezpieczone przed napadem wilków.

Z wycieczki po ułusach wraciłem do domu i Bogu dziękowałem, że w jurtach już nocować nie będę i pod wieczór znalazłem się w Tugutui. Mój Burjat nocował u mnie, a przez tę noc tak smrodem przeszło mieszkanie, że kilka dni czuć go było. Biednym się czułem, bo nie miał swojej herbatki na łojowej zaprażce i musiał jeść, co mu dałem. Ja także przeszedłem smrodem burjackim, że musiałem pójść do łaźni i ubranie na sobie zmienić.

Na drugi dzień pojechaliśmy do Irkucka, aby zdać Kuźniecowski sprawę z naszej wycieczki. Nastazya Nikityczna, gdy jej opowiadałem o życiu Burjatów i o obrzydliwych Burjaciątkach, uśmieła się serdecznie a szczególnie z podarków, jakimi mnie uraczyli. Kuźniecowa był zadowolony z siebie, iż jego pomysł wchodzi w życie i ma widoki powodzenia.

Lecz nie dosyć nam tego, gdyż uradziliśmy, że na drugi raz jedziemy już dwoma saniami — a saniami, gdyż zima zaczynała się — weźmiemy z sobą parobka i nabierzemy różnych towarów, które mieniać będziemy na zboże. Wkrótce urzeczywistniliśmy ten plan, a za wskazówką družka, jakie towary między Burjatami najłatwiej zbyt mieć mogą, wzięliśmy na dwoje sań tych towarów w kilku skrzyniach zamykanych i ruszyliśmy w podróż. Zarazem wzięłem większą kwotę pieniędzy na zadatki. Miałem nadzwyczajną pracę, a na uwadze jeszcze większą przeczorność mieć musiałem, aby mnie nie okradli i nie oszukali. W każdym ułusie z każdym kontrahentem osobną musiałem spisać umowę, którą starszyna pieczętką potwierdzał. Po załatwieniu tego skuteczniało się zamianę na zboże, w czem mój družek był bardzo pomocny — inaczej nie

mógłbym się porozumieć z Burjatami i dać sobie z nimi rady, gdyby nie on, który umiał się targować jak żyd. Ja zaś z parobkiem odbierałem zboże i pilnowaliśmy się przed kradzieżą.

Mój druhek okazał się bardzo sprytny a tak się zapalił do tego handlu, jakby to jego własny interes był. Chociaż przy takiej zamianie była wielka praca a większą jeszcze uwagę musiało się mieć na wszystko, chociaż coś i ukradli i oszukali, pomimo to korzyść była znaczna. Nazybierało się tyle zboża, że na dwoje swoich sań zabrać nie mogłem i musiałem furmanki dla odstawienia do Tugutui najmować. Cały tydzień tłukliśmy się po ulusach, znosząc po noclegach opisane nieprzyjemności w cuchnących jurtach, tak, że z kretesem powonienie zatraciłem a cuchnąłem już Burjatem w zupełności.

Po załatwieniu się z ugodami w ulusach wstąpiłem do burjackiego gołowy dla potwierdzenia tych ugód. Uznał kilka wątpliwych, za resztę deklarował swoją odpowiedzialność. Już otwarciej mnie przyjęli, jako dawnego znajomego i podejrzliwie nie patrzyli na mnie. Stary wynurzał się ze swoimi żalami na czynowników, którzy go — jako zamożnego — dobrze naciągali, a syn nie krępował się i »kładał im po matiuszkie«, t. j. hańbił sposobem moskiewskim.

Kobiety, gdy poczęstowałem je słodką wódką, cukierkami i papierosami, zalotnie do mnie uśmiechały się i nagdakały coś przy komicznych swych ruchach, co przypomniało mi kaczki nasze domowe, gdy się czemś radują: to przysiadając korpusem zniżają głowę z szyją, to podnoszą ją. Wnet ten drób stanął mi w myśli a zarazem Trembecki z rymem swym: »kaczki także, ajakże« — natenczas nie mogłem wstrzymać się od serdecznego śmiechu. I ja także, aby nie pozostać w tyle poza ich etykietą, na ich wzór wachlowałem sobą szarmancko, co widocznie cieszyło je.

Na pożegnanie odezwałem się:

— Bądźcie zdrowe »kaczki« — dziękuję za gościnę »także ajakże«.

Czego one nie rozumiejąc, myślały, że im nieladajaki komplement palnąłem, i zapewne sądziły, iż kiedy się tak uciesznie śmieję, musi być powód nie inny, jak że wielce ich wdziękami ujęty zostałem — i tem swoje ukontentowanie znaczę. Zatem w podziękę jeszcze zamasyściej zaczęły się po kaczemu kiwać, co mnie jeszcze więcej rozśmieszyło. I tak wesoło rozstałem się z niemi.

Pomimo śmiesznych stron Burjatów jakaś łączność duchowa odezwała się w sumieniu mem na myśl, że jeden los wiąże ich z nami, gdy rząd moskiewski w swej żądzy stara się ich wynarodowić — tak jak nas — i aby zgnębić, używa wszelkich niecznych sposobów. I w tej wspólności tegożsamego nieprzyjaciela odzywała się pewna sympatya dla tego dzikiego narodu.

Opuszczając jurte »gołowy«, jak poprzednio tak i teraz obdarowałem wszystkich domowników, a dla mnie w podarunku dostała się owieczka młoda.

\* \* \*

Skontraktowałem natenczas kilka tysięcy pudów zboża.

W czasie bytności tej między Burjatami zostawałem w wielkiej obawie o pieniądze, jakie wziąłem z sobą na zadatki, abym okradziony nie był. Szczęśliwie, że to nie nastąpiło i bez szkody wróciłem.

Tak jeszcze dwa razy jeździłem między Burjatów, doznawszy niewygód i wszelakich przygód — a z zapachów traciłem powonienie.

Z pierwszej wycieczki po Burjatach skreśliłem wrażenia, jakie oni na mnie zrobili. W dalszych nie było wyraźniejszych spostrzeżeń, abym je opisać mógł, więc tylko o niektórych wspomnę, co jaśniej zarysowały się.

Choć wielu z Burjatów przyjęło prawosławie, to i ci jednak swoich szamańskich praktyk nie porzucali, a wielu

z nich przyjmowało chrzest z interesu, gdyż przy chrzcie dostawali różne podarunki, a z urzędu krzyżyk a także koszulę czerwoną, jako znak ucywilizowania. Dlatego zdarzało się, że po kilka razy chrzcili się niejeden, aby zdobyć podarunki. Trudno nad nimi ścisłą kontrolę rozciągnąć, bowiem nazwisko przez Burjata wymówione dla naszego ucha brzmi z innym podobnie, a że wyglądem mało się od siebie różnią, przeto utrudnia to kontrolę. Oszukiwali więc swych cywilizatorów bez skrupułu.

Charakterystycznym jest, że typ mongolski robi na nas wrażenie, jakoby wszyscy byli do siebie z twarzy podobni, a dopiero dłuższe i dokładne obserwowanie i rozpatrzenie się rozpoznać daje różnice indywidualne. Mowa burjacka ma swój odrębny charakter. Nie jest to dźwięk wyrazów, ale właściwie jakiś charkot wydobywający się gdzieś z wnętrza, tak że na powtórzenie tego organa naszej mowy nie są odpowiednio wyrobione. Prysłuchiwałem się nieraz dobrze, aby sobie choć kilka dźwięków przyswoić, ale było to tembardziej trudnem, że prędko mówią.

Zdawało mi się, że już dobrze uchem złapałem jeden wyraz tak często słyszany: »jach-ham-dekch«, co znaczy: witam, żegnam, dziękuję, proszę, dzień dobry i t. d. Był to wyraz uniwersalny w przyjaznem odnoszeniu się. Jednak co mogłem uchem chwycić i wymówić a następnie piórem oddać, zupełnie tak z ich ust nie wychodzi, brzmi nieco odmiennie, bo ten wyraz wymawia jakby się dławili. Mój Burjat uczył mnie po burjacku, a choć wyrazy powoli i najwyraźniej wygłaszał, nie mogłem zupełnie tak powtórzyć, jak on wymawiał. Tę trudność wymawiania tłómaczyłem sobie w ten sposób, że gdybym Anglikowi lub Francuzowi kazał powiedzieć np. prząść, chrząszcz, brmieć, rzeźić, chrzest przyjąć, ślęczeć i t. p., to znalazłby tę samą trudność, jak mnie burjackie wyrazy wymawiać przychodziło.

W zetknięciu się z Burjatami w jednym ułusie byłem raz przypadkowo widzem ceremonii szamańskiej.

Na placu między jurtami zebrali się z całego ułusu wszyscy mieszkańcy; między nimi odznaczał się »szaman« strojem dziwnym w wysokim kołpaku. Od grona tego dość daleko stałem i nie mogłem strojowi jego dobrze się przypatrzeć — a tem trudniej to przychodziło, że wokoło szamana obstąpiono. W środku tego zebrania wbite były cztery grube koły, do których przywiązany był koń nogami do góry.

Nastała uroczysta cisza, bo zaczyna się ceremonia. Szaman wznosi do góry ręce; mówi z początku cicho; później coraz głośniej; następnie robi ruch rękoma, jakby chciał złego ducha w dal od siebie odpędzić. Powtarza to kilkakrotnie, a za każdym razem ruchy te coraz gwałtowniejsze, a słowa głośniejsze i dziksze. Teraz oczy i ręce wznosił do góry i tak już nieruchomo w największej ciszy stoi, że ani drgnie... Zda się, że śledzi słuchem i chce pochwycić gdzieś daleko odzywające się słowa. W zgromadzeniu nastaje cisza grobowa. Wnet szaman wypręża się i ręce, ile może, wznosi do góry, jakby chciał tam kogoś lub coś uchwycić... Trwa to chwilę. Naraz jęknął strasznie. Na ten głos, jakby z pod ziemi wydobywający się, wszyscy struchleli! Na twarzach odbiła się trwoga — pewnie zły duch zjawił się! Szaman ciągle głuche grobowe głosy z siebie wydobywa, a otoczenie skupia się i przerażone czeka, co dalej będzie. Nagle porywa szaman z ogniska, obok rozłożonego, żarzącą głównię i wywija nią na wszystkie strony. W zamachu kołpak spada mu z głowy. Oczy mu się iskrzą, żyły na czole nabrzmiały, hyra rozwierzona — strasznie wygląda! a przytem wyje, ryczy, jęczy. Stacza z kimś okropną, zażartą walkę! W końcu — widać — zwyciężył, bo już spokojnie, jakby w tryumfie, z wzniesioną dumnie do góry głową i głównią w ręce podniesioną zaczyna ofiarowanego konia obchodzić; zrazu powoli — później coraz prędzej przyspiesza kroku a w ślad za nim wszyscy postępują. Wtem zatrzymał się i stoi bez ruchu. Znowu oczy w słup, nerwy drgają mu. Naraz rzuca z ręki głównię i z siebie wierzchnie ubranie, dobywa z za

pasa noża i, wywijając nim w powietrzu, w skokach obiega konia. Wszyscy z uwagą śledzą jego ruchy. Nagle jednym szalonym ruchem rzuca się na konia i rozpruwa mu brzuch. Już zakasał rękawy, sięga do serca i wyrwa je żywcem!

Struchlałem na ten widok — uczucie zgrozy przejęło mnie! Na straszne stękanie konia, gdy mu serce wyrwali, zatykam sobie uszy i uciekam. Po chwili, gdy się nieco uspokoiłem i domyśliłem się, że koń nie żyje, podszedłem bliżej i co widzę? Otóż szaman trzyma w wyciągniętej do góry ręce przed chwilą wyrwane serce i z drgania wróży głosem natchnionym. Krew ścieka mu na ręce. Wszyscy z podanemi naprzód głowami, z otwartymi ustami, zapatrzeni w szamana, z wyrazem najwyższego zaciekawienia słuchają, co im bóstwo przez usta jego objawia? Gdy skończył proroctwo, kraje to serce w kawałki i wszystkich obdziela. Każdy bierze kawałek w zęby i kraje nożem swoim przy ustach. Pożerają chciwie jak wilki.

Widocznie wrózenie szamana coś pomyślnego zwiastowało, gdyż wszyscy z okrzykami radości, w podskokach udali się do jurty. Kilku zatrzymało się dla zdjęcia skóry i poćwiartowania mięsa.

Burjaci boją się swych szamanów, wierzą bowiem, iż są oni pośrednikami między nimi a bóstwem. Mogą złego ducha odpędzić a dobrego sprowadzić.

Tak samo boją się Burjaci prawdziwego Boga, Chrystusa Pana i Świętych a szczególnie św. Mikołaja. Na trakcie do Irkucka spotyka się kaplice, a najwięcej z wizerunkiem św. Mikołaja. Gdy Burjat opok takiej kaplicy przejeżdża, boi się świętemu w jego poważne oblicze spojrzeć, skrada się i chowa za kaplicę, wyciąga rękę w kierunku, gdzie jest skrzynka przymocowana na ofiary, rzuca tam pieniądz — i czempredziej chyłkiem do konia zmyka. W jakiejś odległości od kaplicy odwróci się i dłonią świętemu dziękuje, że nic mu się złego nie stało.

Nie widziałem, aby Burjaci się kiedy myli, a tem wię-

cej łaźni używali. Sądzą, że to nie zdrowo i że wystarczy tłuszczem nasmarować ciało, a brud sam się usunie.

Gdy Burjat chce się żenić, musi sobie żonę kupić. Rodzice sprzedają córkę, jak się u nas np. krowę sprzedaje. Za ładniejszą płaci się drożej. To też kobieta u Burjatów jest w poniżeniu, skoro nabyć ją można, ale Burjat, który ma dużo córek, uchodzi za bogatego.

---

## X.

Odbiór zboża od Burjatów. — Spotykam w drodze brata Ludwika i Cho-  
wańca. — Ich pobyt u mnie. — Odchodzą do Ołonek. — Krążą wieści  
o manifeście. — Ogłoszenie manifestu. — Policmajster chce mnie etapami  
wysłać. — Za interwencją Kuźniecowa zostają trzy miesiące. — Reguluję  
interesy. — Zgłaszam powrót do kraju na własny koszt. — Irkuck. —  
Corso zimowe syberyjskie. — Saneczkowanie. — O niektórych z naszych.  
Wyjazd do kraju. — Drugą połowę drogi etapami. — Warszawa. — Panny  
Bieńkowskie. — Pani Jełowicka. — Dowiaduję się o śmierci ojca mego.  
Wyjazd z Warszawy do Galicyi.

Przez zimę 1867/8 miałem ogromne zajęcie połączone z odpowiedzialnością. Burjaci ciągle zwozili zboże, a dla mnie nie umiejącego po burjacku obrachunek nie był łatwy. Prócz kilku, którzy zawiedli, reszta uczciwie umowy dotrzymała. Z wiosną odsyłałem to zboże do młynów, a stamtąd mąkę do Irkucka. Miałem z tem kłopotu nie mało, bo pomimo przezorności w młynach i w drodze kradli, a wiedziałem, że szkoda pójdzie na mój rachunek.

Gdy pewnego dnia wybrałem się do młyna, w drodze spotykam dwóch naszych piechotę dążących w stronę Tugutui. Poznają, że jeden, to mój starszy brat Ludwik, o którym na początku tego opowiadania wspomniałem, a to, że w Lubelskiem pod Fajstławicami wzięty do niewoli, do robót katorżnych był zesłany, a następnie po kilku latach katorgi przeznaczony na posilenie do Ołonek. Równocześnie mój brat i mnie poznał. Zeskoczyłem do niego

z telagi i złączyliśmy się w uściskach. Co za radość, mój Boże! po tylu latach niewidzenia się przycisnąć tak bardzo ukochanego brata do serca! Nie mogliśmy się dosyć sobą nacieszyć. Serdecznie także przywitałem towarzysza jego, Chowańca, lubo go nie znałem. Opowiadaliśmy sobie o rodzicach, podawali wiadomości z kraju, jakie osobno otrzymywaliśmy, zwierzałyśmy się z różnych przygód, doznanych od czasu wyjścia z domu.

Ludwik przybył do mnie z początkiem lata 1868 r. Już wówczas chodziły słuchy o manifeście, na mocy którego wszyscy zesłańcy zagraniczni mają do kraju swego wracać. Chociaż tego urzędownie nie ogłoszono, już sama wieść o tem pociechą nam była, a myśl, że może wkrótce rodziców i rodzinę swoją zobaczymy, serca radością napełniała.

Gdy koledzy nasi dowiedzieli się, że mój brat jest u mnie — odwiedzali nas tłumnie. Chcieli go poznać, gdyż słyszeli o nim, iż podczas powstania znaczne usługi położył, a w katordze kolegom pomagał i krzepił ich ducha.

Tak upłynęły cztery dni, dla mnie najmilsze w czasie pobytu na Syberyi. Dłużej brat mój pozostać nie mógł, i piątego dnia ze łzami pożegnaliśmy się słowy: do widzenia.

Wkrótce ogłoszono manifest carski, którym wszystkim zagranicznym poddanym pozwolono na powrót do kraju. Oczekuję z niecierpliwością, kiedy mnie urzędownie o tym akcie zawiadomią, a tymczasem gorączkowo załatwiam sprawy swoje: gromadzę zakupione zboże, mielę, odsyłam do Irkucka, ściągam należitości za towary dane na kredyt i inne sprawy załatwiam.

Kuźniecowski oświadczam, że wkrótce będę musiał z nim rozłączyć się — i dlatego pragnąłbym jaknajprędzej pokończyć wszelkie rachunki. On śmieje się z tego i mówi:

— Co wam tak pilno? Byliście tu kilka lat, to i kilka miesięcy różnicy nie robi, a będziecie mieli z czem powrócić.

Ma rację, pomyślałem sobie, choć mnie gorączka powrotu paliła.

W końcu i ja dostaję zawiadanie od policmajstra Irkucka, jako przynależny tam posieleniec. Gdy zgłosiłem się, oznajmia mi, że na mocy manifestu mogę powrócić do kraju swego i pyta się, czy jadę na własny koszt czy na rządowy? W pierwszym razie wydany mi zostanie paszport, w drugim pojedę etapami. Żąda niezwłocznie deklaracji, a w dodatku oświadcza, że w każdym razie wyjazd mój musi nastąpić do tygodnia. Zakłopotalem się tem i mówię, że w tej chwili odpowiedzi dać nie mogę, gdyż jestem z Kuźniecowem interesami zbożowymi związany. Na to policmajster:

— To mnie nic nie obchodzi; zapowiadam wam, że gdy do tygodnia nie złożycie deklaracji, pójdziecie etapami.

Na wspomnienie o etapach aż mi się słabo zrobiło. Mówię Kuźniecowskiemu, co policmajster w sprawie mego wyjazdu powiedział mi i dodaję, że pewnie wygląda łapówki. Na to Kuźniecow oburzony odpowiada:

— Sukinsyn, padlec! Ani kopiejki nie dostanie! Idę zaraz do gubernatora.

Istotnie u gubernatora uzyskał przedłużenie terminu wyjazdu mego do trzech miesięcy. Ten czas wystarczył mi do uporządkowania moich interesów i rachunków. Zatem, co było można, pościągałem z niedostawionego zboża i długów, również z Kuźniecowem byłem w porządku. Jednak z powodu kręactw i nieuczciwości jego spółników, którzy skorzystali z prędkiego mego wyjazdu, mój udział w zysku wypadł o połowę słabiej, niż mi się należało. Ale zrezygnowałem ze wszystkiego, byle tylko jaknajprędzej wyjechać.

Złożyłem deklarację, że jadę na własny koszt; zaszczepiono mi paszport i wkrótce ruszyłem w powrotną drogę do kraju.

---

Na pożegnanie Irkucka chciałbym nieco o tem mieście wspomnieć. Irkuck rozsiadł się na równinie, między Angarą a Irkutem; dosyć rozległe miasto, liczyło wówczas przeszło 40.000 mieszkańców. Od północy osłania je pasmo gór i chroni od mroźnych wiatrów. Ma Irkuck dosyć cerkwi, wszystkie w stylu bizantyńskim z kopułami przeważnie na zielono malowanemi. Jest także kościół rzymskokatolicki, skromny ale schludny. Rozmiarami odznacza się tiumna. Jako nowsze miasto ma Irkuck ulice regulowane, w prostej linii; przez środek miasta prowadzi ulica pryncypalna, równa, długa, szeroka, przy niej domy zamożniejszych kupców i przedsiębiorców; także magazyny, sklepy i t. d. Do pryncypalnej ulicy biegną poprzeczne, pod kątem prostym prowadzone.

W czasie zapust na tej głównej ulicy urządzają rodzaj »corsa«. Pędzą wspaniałe załubnie w trójkę koni zaprzężone. W środku kłusuje »rysak« lub »jednochodziec« w hołbli (kabłąku), a po bokach dwa konie wolno zaprzężone, głowami odwrócone od środkowego; taki zaprząg przedstawia »orła dartego«. Liczne dzwonki przy hołbli i przy bokach koni zawieszono dzwonią muzyką. W szalonym pędzie jedne sanki za drugimi lub obok siebie mkną, aż się miga! Także rysaki w pojedynkę zaprzężone w lekkich sankach usiłują dorównać »orłom dartym«, więc pędzą bez opamiętania! Próżność każe, aby prześcignąć naprzód jadącego, ten nie dopuszcza i zachęca konie, wołając: batiuszki hu ha! — na co konie rączość podwajają; zdaje się, że brzuchami ziemi dosięgają. Gdy uda się prześcignąć, uśmiech tryumfalny okrasia twarz zwycięzcy.

Siedzący w załubniach przystrojeni w pyszne futra. Paniom i pannom mróz zaróżowił lica, a kapuza, szronem ubielona, dodaje urody — rzekłbyś, to kwiaty syberyjskie! Z pomiędzy kapuzy wyzierają oczy i oczęta rozbawione i błyszczące weselem — wszak to maślenna! (zapusty). Jemszczyki (furmani) w oryginalnych rosyjskich strojach, wierzchnia szuba od pasa gęsto fałdowana, czapka duża

także rosyjska; jedno i drugie ubranie lamowane futrem. Taka liberya to szyk!

Nie sądziłem, że tyle wspaniałych zaprzęgów, koni ładnych i pewnie drogich znajdę w mieście tak oddalonym od Europy. Ale nic dziwnego — stać na to urządzających jazdy — bo to są kapitaliści, między nimi milionerzy, dzierżący w swych rękach handel Azji z Europą.

Mają tam w zimie jeszcze inną rozrywkę: saneczkozanie. Bogaci i biedni, starzy i młodzi biorą w niem udział.

---

W czasie, gdy miałem wracać do domu, już wielu naszych mieszkało w Irkucku. Trudnili się rzemiosłem, handlem; restauracje trzymali, fabrykowali papierosy; kilku za przykładem Kuźniecowa przyjęli kupcy na subjektów; byli i fiakrami i t. d. Ci, co mówili po francusku i angielsku — dawali lekcye; niektórzy uczyli muzyki, kilku było lekarzami, kilku założyło warsztat stolarski. Ci tak prędko nauczyli się i wprawili w tem rzemiosło, że już bardzo ładne meble wyrabiali.

Spotykamy się często z zarzutem nam robionym, że brak nam ducha przedsiębiorczości. Na Syberyi pokazało się, że to nieprawda; trzeba tylko musu.

Tam też bez osłony charakter każdego wystąpił, odkryła się dusza. Poznałem ludzi z wielkiem sercem i zaparciem się. Co za śliczny, prawy charakter takiego Franciszka Korbutta albo Dyonizego Henkla i wielu innych! Henkel czuwał nad nami, pracował nad naszą kolonią. Schadzaliśmy się na jego pouczające odczyty. On założył pismo, ochrzczone przez nas »Ogniwo«. Kto miał jaki talent literacki, próbował swych sił, pisząc artykuły, które na zebraniu odczytywał. Artykuły takie, zebrane w jeden zeszyt, stanowiły jeden numer »Ogniwa«. Nad odczytanym artykułem czyniło się uwagi, a krytyka taka była bardzo dla wszystkich pouczającą.

Było między nami czterech synów emigrantów wychowanych we Francyi pod przybranymi nazwiskami: Cal-

lier, Didier, Erard, a czwarty Jaroszyński pod własnym. Ci zawsze byli weseli, a choć nieraz bieda cisnęła, głuszyli ją śpiewem.

Nie długo żyliśmy takim życiem, musiało się nasze kółko rozbić dla chleba, bo gdy nie czyniono nam trudności w wyszukaniu zajęcia, każdy starał się znaleźć sobie pracę, odpowiadającą jego zdolnościom lub jaką mógł dostać. I tak Korbut założył w Kujadzie sklep, a jego żona »obywatelka« piekła smaczny chleb, który posyłała do Irkucka, gdzie chętnie kupowano. Henkel dostał bardzo dobrą posadę nauczyciela języków w Irkucku u Trapieźnikowa, milionera, właściciela kopalń złota. Inni dzielili lepszy lub gorszy los.

Przed wyjazdem pożegnałem się serdecznie z kolegami, również z Kuźniecowem i Nastazyą Nikityczną; żegnając mnie serdecznie, spłakała się i jeszcze w ostatniej chwili wymówki robiła, że nie poszedłem za jej radą i na zawsze w Syberji nie pozostałem. Nadspodziewanie szczerze żegnali mnie Woróżekinowie.

Przed wsiadaniem do tarantasu pocztowego dostałem od Nastazyi Nikitycznej duży kosz z zapasami żywności na drogę, jednak ani pokosztowałem tego, bo na pierwszej stacyi przy przesiadaniu do drugiego zaprzęgu skradli mi ten kosz.

Opuściłem Irkuck i wyruszyłem w drogę do mego kraju, do moich ukochanych. W Irkucku trafił mi się towarzysz Prinio, powracający tak samo jak ja do Polski. Najęliśmy konie pocztowe, a że nie mogliśmy trzeciego towarzysza znaleźć, przez to drożej nas poczta kosztowała, bo czy dwóch czy trzech jedzie — płaci się jednakowo.

To też ledwo połowę drogi na swój koszt odbyłem, a dalszą etapami musiałem. Powrót taki znacznie dłużej trwa, niż podróż na Sybir, gdyż na etapie czeka się na partyę idącą na Sybir i wraca z konwojem, który tę partyę przyprowadził.

W ten sposób podróż moja powrotna trwała blisko pięć miesięcy — a mój brat, choć wcześniej odemnie wy-

ruszył, gdy całą podróż etapami odbył, znacznie później powrócił.

Wiozłem ze sobą spory zapas futer różnych i pamiątek ze Syberyi; część z tego rozkradli mi, a resztę po drodze zmuszony koniecznością, gdy na życie brakło monety, posprzedawałem.

Do Warszawy przybyłem w kwietniu 1869 roku. Z dworca kolejowego zaprowadzono nas na Pragę. Tam przenocowaliśmy a rano pod konwojem udaliśmy się do ratusza.

Na moście łączącym Pragę z Warszawą spostrzegłem stojące dwie panie, z uwagą przypatrujące się naszej kupce konwojowanych. Poznałem odrazu, że to panny Bieńkowskie a one równocześnie i mnie poznały. Pocziwie! wychodziły tak już kilkakrotnie na spotkanie partyi powracających, aby mnie zobaczyć. Szły obok mnie aż do ratusza, a w drodze tej dowiedziałem się, że starsza wyszła za męża za urzędnika sądowego na wyższym stanowisku, a teraz już nazywa się pani Jełowicka. Zaraz porobiły starania o wypuszczenie mnie na wolną stopę i dzięki temu trzy dni bez straży pozostałem w Warszawie.

Od nich otrzymałem wiadomość, że ojciec mój już nie żyje. Z domu nie chciano mi o tem donieść, aby mi serca nie ranić. Ta hiobowa wieść zatruła mi radość z powrotu.

Z konsulatu austriackiego dostałem paszport i wyjechałem koleją do Galicyi. Powitałem strony rodzinne...

KONIEC.

*h. m. w. 1882.*

BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Politt. - Wych.

Biblioteka Główna  
Akademii Obrony Narodowej

24331/2



12-024331-000-0

07-1